



De. II 1.

Sprawa robotnicza.

Według przypuszczalnych obliczeń, Królestwo Polskie posiada w chwili obecnej około 350 tys. robotników fabrycznych. Najmłodsza nasza warstwa narodowa tem większego nabiera dziś znaczenia, im klasa robotników staje się coraz bardziej aktualną sferą społeczeństwa polskiego, im sprawa robotnicza coraz szybciej domaga się rozwiązania w duchu czasu i potrzeb dojrzałych.

Hasłem ogólnem stało się dziś polepszenie warunków pracy i bytu warstw robotniczych, i nie leży dziś już ono w programach jedynie stronnictw socjalistycznych. Dziwnym jednak zbiegiem okoliczności pióra narodowe polskie, jakby unikają zobrazowania stanu obecnej kwestyi robotniczej. Literatura nasza nie posiada zgoła ani jednego dzieła, bezstronnie a wyczerpująco traktującego o stosunkach ekonomicznych i socyalnych głośniei obecnie klasy pracującej. Rzecz oddawna domaga się rozpatrzenia szczegółowego a bezstronnego.

Dla większości, głośniei wypowiadających ogólniki i nazwiska Lassalle'ów, Marxów, Engelsów, zgoła nie znana jest istota naszych warunków robotniczych i socyalnych. To też tem większą jest wina naszych ekonomistów, iż dając wyřęczać się tłómaczom broszur socjalistycznych, sami nie przedsięwiorają prac syntetycznych na swoich, a później obcych opierając się materyałach. Wstydem jest, iż tyle omawiana sprawa nie pobudziła dotąd do wytworzenia u nas istnej powodzi dzieł, rozpraw, polemik.

Półki księgarń zagranicznych uginają się pod ciężarem potężnej literatury robotniczej. Ze szczegółami najmniejszymi rozpatrywano są tam wszystkie zagadnienia zawilej kwestyi i nie ma dnia, aby piśmiennictwa obce nie wzbogacały się nowemi cennemi publikacyami. Z żalem stwierdzić wypada, iż w danym zakresie dawno już wyprzedziło nas nawet piśmiennictwo rosyjskie.

Przystępując do naszych własnych stosunków robotniczych, wypada też do obcej, a nie swojej sięgać literatury. Tem trudniejszym jest stanowisko publicystyki polskiej, która jak drzewo rodzime na swojskiej winna wyrastać glebie i swojskimi karmić się soki. Z licznymi przeszkodami przystępuję do skromnej tej pracy.

I.

Teorya płacy zarobkowej.

Pod wpływem teoryj ekonomicznych, o zależności podaży od popytu, przy ustanawianiu cen towarów handlowych, przez długi czas w nauce utrzymywało się przekonanie, że wynagrodzenie robotników podlega tym samym normom stosunku zapotrzebowania i zaofiarowania towarów wymiennych. Im popyt na robotników się zwiększa, tem i wynagrodzenie staje się lepsze. Przekonanie to głęboko zakorzeniło się zarówno wśród uczonych, jak i szerszej publiczności. Już z istoty tego ekonomicznego rozumowania upadałaby więc niemal możliwość podwyższenia norm płacy w społeczeństwach, gdzie szeregi ludzi, żądnych zarobku, przeważają znacznie zastęp wolnych warsztatów pracy.

W stosunkach polskich, przy istniejącym nadmiarze proletaryatu (powodem ruch emigracyjny), płaca w myśl utrzymujących się teoryj, corocznie obniżać się powinna... Tym sposobem kwestya normowania płacy byłaby u nas najzupełniej załatwiona; należałoby wzmacniać jedynie zakres działalności naszych towarzystw dobroczynności i wspierać nędzniejący z roku na rok polski proletaryat robotniczy. Społeczeństwo stawałoby się bezradne wobec podobnego stanu, naród byłby skazanym na doszczętną degeneracyę klasy pracującej.

Na gruncie teoryi stosunku podaży i zapotrzebowania rąk roboczych powstała jedna z najnamiętniejszych rozpraw Karola Marxa — „Płaca najemna i kapitał,“ w której autor wyraźnie powiada, że „skala wynagrodzenia podnosi się i opada, względnie do popytu i zaofiarowania, zależnie od konkurencyi pomiędzy nabywcą siły roboczej — kapitalistami i sprzedawcami — robotnikami.“ W szeregu licznych paradoksów Marx dochodzi do wniosku, że im bardziej wzrastają dochody fabrykantów, tem więcej jeszcze obniża się płaca robotnicza, bo konkurent-fabrykant czuje się silniejszym jeszcze od konkurenta-robotnika. Przy braku u nas należynej kontr-akcyi naukowej, teorye Marxa mimo woli wsiąkały

w społeczeństwo, stawać się nawet zaczęły przekonaniem, lubo nie hasłem, licznych przeciwników wielkiego twórcy socjalizmu.

Uznanemu za żelazne prawu o „popycie,” kłam tymczasem zadają nowoczesne pojęcia ekonomiczne na Zachodzie. Uczony niemiecki Zwiedineck von Südenhorst, autor wybitnej pracy o „Teoryi i polityce płacy zarobkowej“ staje na gruncie historycznym i logicznie dowodzi, że wynagrodzenie robotników łączy się ściśle z *tradycją* ewolucyjną stosunków przemysłowych danego kraju lub środowiska. „Zapotrzebowanie i podaż okazują wpływ na ustanawianie cen towaru, ale wpływ ich okazuje się *już na tej cenie, jakiej żąda sprzedawca, i jaką proponuje kupujący*. Przy określaniu normy płacy zarobkowej, jak i ceny towaru, stosunek pomiędzy popytem i zaofiarowaniem odgrywa dużą rolę. Ale analogię tę pojmuje błędnie, kto utrzymuje, że zapotrzebowanie i podaż są już decydującymi czynnikami, określającymi poziom płacy.“ Tegoż przekonania jest i ekonomista Konrad Schmidt ¹⁾, który zupełnie słusznie zauważa, że spółzawodnictwem da się tłumaczyć jedynie *wahania płacy* zarobkowej, ale nie istnienie pewnej normy płacy.

Praktyka życiowa najkompletniej potwierdza poglądy obu autorów o płacach zarobkowych. Oprócz poszczególnych wypadków, jest rzeczą wykluczoną, aby fabrykant w miejsce jednego rubla, płacił dwa ruble robotnikowi, jeżeli nie znajduje innych, ubiegających się o miejsce ludzi. „Mało jest również prawdopodobieństwa — pisze Zwiedineck von S. — aby przedsiębiorca mógł wyznaczyć robotnikowi płacę o dziesięć razy mniejszą, jeśli o jedno miejsce ubiega się aż dziesięciu robotników.“ Istnieją pewne normy zwyczajowe, które strzegą zasady o poziomie płacy, praktykowanej w danym mieście. Tradycya ta jest jednak siłą obosieczną. Równie, jak niezawsze okazuje tendencję do zniżek, w niemniejszym zakresie niechętnie, wprost z trudnością, nagina się do wyżek. Tradycyjna, praktykowana stopa zarobkowa rzadko liczy się z wymaganiami i potrzebami danych sfer pracujących. Możliwość życia nie jest bowiem jeszcze probierzem dostateczności płacy. Dowiedzionem jest, iż można żyć nietylko w dostatku, ale i przymierając głodem.

Należy stwierdzić z całą stanowczością, że w życiu gospodarczem uwidocznia się wszędzie pewna tendencya do *stałości* i, że przemiany w niej zachodzą dopiero pod silną presją czynników ewolucyjnych. Fabryki i wogóle przedsiębiorstwa z trudem wiel-

¹⁾ „Der natürliche Arbeitslohn,“ str. 61.

kim dają się naginać do stopniowego normowania płacy, przystosowywanej do nowych warunków życia, cen produktów i zwiększających się wymagań kulturalnych robotnika. Ale lekceważyć też nie można czynników, wpływających na owe stałe normy wynagrodzeń, jak ustalanie się cen towarów, liczenie się z obcymi rynkami i t. d.

Będące zasadniczo w ścisłej z fabrykantami sprzeczności interesy robotników musiały więc z natury rzeczy wynaleźć sobie broń do walki z konserwatywnym i tą kategorią stałych form gospodarczych, które na krzywdę klas pracujących wpływały. Jest więc zupełnie naturalną organizacją spółzawodnictwa słabszej pracy z silniejszym kapitałem. W społeczeństwach zachodnich powaga cywilizacji i interesy harmonii narodowej normują jednak zapasy tej walki. Sam socjalizm zachodni przyjmuje dziś inne, dojrzsze formy ścierania się interesów klasowych i wyrósł z okresu niemowlęctwa ekonomiczno-politycznego, na jakim *quand même* utrzymują go do dziś dnia nasi polscy i międzynarodowi marxiści.

Nawet ściśle partyjna ekonomiczna walka inspirowanej warstwy robotniczej (nie mówię o walce politycznej) musi bowiem wytykać sobie wyraźne granice, oddzielające socjalizm od anarchii i warcholstwa społecznego, takt od bezrozsądku. Usiłowania skierowane ku poprawie warunków zarobkowych muszą też mieć pewne z góry obmyślane ramy, przystosowane do norm uwzględniających się dających, możliwych do urzeczywistnienia w danej gałęzi produkcji. „Postulaty (racjonalnej) reformy gospodarczej — pisze ekonomista polski St. A. Kempner ¹⁾ — dążą do zasady t. zw. płacy minimalnej. W wielu dziedzinach pracy na Zachodzie poczęto już stosować w życiu zasadę wynagrodzenia minimalnego, gdyż ona daje najwięcej rękojmi trwałości losu pracowników. Ma tę zaletę, że rozpoczyna normowanie słusznej ceny od dołu, od najbardziej upośledzonych pracowników i tworzy najniższą granicę, od której odbywa się w dalszym ciągu coraz wyższe awansowanie pracowników, zastosowane do ich wytwórczych kwalifikacji i uzdolnień. *Minimum* płacy wytyka linię demarkacyjną, poniżej której cena pracy spaść nie powinna, zabezpieczając tym sposobem niezłomną wysokość płacy, jako najniższą sumę nasycenia potrzeb jednostki pracującej. Jest to niejako rozstrzygnięcie zagadnienia t. zw. prawa do egzystencji. Ograniczenie wysokości płacy do pewnej granicy minimalnej nie wyklucza swobodnego

¹⁾ „Bezrobocie“ — *Ekonomista* 1905, zeszyt 1.

kształtowania się ceny płacy po nad tę granicę. Powyżej granicy takiej muszą już wchodzić w grę względy na siły i uzdolnienie pracownika.“

Ta, przyjęta w społeczeństwach kulturalnych zasada teorii płacy robotniczej zda się być najsprawiedliwszem rozwiązaniem zawilego unormowywania najmu pracowników przemysłowych. Zasada ta nie zamyka pola do dalszych ewolucyjnych dążeń udoskonalania normy i przystosowywania jej do zmieniających się stosunków ekonomicznych. Kontrola nad określaniem *minimum* płacy nie w rękach jednak hałaśliwego tłumu spoczywać powinna. Strzedz jej muszą instancje kompetentne i nie kierujące się żadnymi względami nad sprawiedliwość i prawdę życiową.

II.

Uposażenie robotników zagranicznych i polskich.

Pod wpływem strejków i wznagającej się organizacji pracy, poczynając od połowy zeszłego stulecia przemysł całego świata począł ulegać znacznym zmianom w ustosunkowaniu płac zarobkowych robotnika. Podług danych „*Office des Travails*“ przeciętne wynagrodzenie robotników pomiędzy rokiem 1850 i 1901 wzrosło w Lyonie z 2 fr. 65 cent. do 5 fr. 43 cent., w Marsylii z 3 fr. 3 cent. do 4 fr. 61 cent. w Troyes z 2 fr. 9 cent. do 4 fr. 69 cent.

Ekonomista francuski Paul Louis ¹⁾ oblicza, że we Francyi, jeżeli zarobki w r. 1900 przyjąć za 100, to w r. 1853 wysokość wynagrodzenia równałaby się — 50. „Nie należy jednak sądzić — dodaje — że we Francyi płaca zarobkowa daje wszędzie możliwość zaspakajania najpilniejszych potrzeb życiowych; strejk w Armentières w r. 1902 wykazał, że robotnicy znajdowali się w stanie ostatniej nędzy.“ Niemniej przecież przeciętna norma wynagrodzenia robotników we Francyi dochodzi ustalającej się stopy i statystycznie dla wszystkich gałęzi da się określić na blizko 4 franki dziennie. Robotnicy w przemyśle tkackim zarabiają średnio 4 fr. 50 cent.

Podług obliczeń tegoż ekonomisty, w Westfalii, pomiędzy rokiem 1888 i 1900 płaca zarobkowa w górnictwie z 3 fr. 36 cent. podniosła się do 5 fr. 25 cent., na Ślązku — z 2 fr. 4 cent. do 4 fr. 46 cent.

¹⁾ „Prawodawstwo robotnicze w krajach nowego i starego świata.“

Niemal podobnymże wahaniom zasadniczym ulegały w tym okresie uposażenia robotników fabrycznych w Królestwie Polskiem.

Zgodnie z wykazami za lata 1867 — 9 zarobek roczny robotnika wynosił ¹⁾:

w przemyśle wełnianym . . .	116 rb.
” ” płóciennym . . .	128 ”
” ” jedwabnym . . .	144 ”
” ” chemicznym . . .	175 ”

w roku 1888, podług wykazów Światłowskiego („Fabrycznyj rabocznyj“) sięgał:

w przemyśle wełnianym	145 rb.	(przędzalnie)
” ” ”	206 ”	(tkalnie)
” ” bawełnianym	175 ”	
” ” metalurgicznym	288 ”	

w roku 1897 podług materyałów statystycznych podanych przez W. Załęskiego ²⁾, zarobki wypłacano:

w przemyśle wełnianym . .	205 rb.
” ” bawełnianym .	228 ”
” ” płóciennym . .	143 do 151 rb.
” ” jedwabnym . .	226 rb.
” ” chemicznym . .	175 ”
” ” metalurgicznym	307 ”

W ostatnich latach (przed strejkami 1905 r.) p. Stanisław Koszutski ³⁾ oznacza przeciętny zarobek jednego robotnika fabrycznego na 239 rb. Lubo więc w ciągu ostatniego czterdziestopięciolecia przeciętna norma zarobków wzrosła w przemyśle naszym w dwójnasób niemal, to jednak przy stopniowem podnoszeniu się cen żywności i mieszkania, dobrobyt klasy pracującej, ściśle biorąc, wzmógł się niewiele i w każdym razie dotychczasowe zaspakajanie potrzeb robotników było niedostateczne.

Badając odżywianie się robotnika polskiego, dr. Sterling znalazł, iż pracownik fabryczny w Łodzi spożywa dziennie:

białka	tłuszczu	węglodanów
106 gramów	42 gramy	511 gramów

¹⁾ *Ekonomista* za rok 1869.

²⁾ „Statystyka Królestwa Polskiego“ Warszawa, 1901, tom drugi.

³⁾ „Rozwój ekonomiczny Królestwa Polskiego“ Warszawa, 1905, str. 231.

Wykaz ten okaże się dość smutnym w porównaniu z odżywianiem się zamożniejszego robotnika angielskiego, który spożywa: ¹⁾

białka	tłuszczu	węglodanów
156 gramów	71 gramów	567 gramów

Również przeciętny robotnik we Francji odżywia się o wiele lepiej od pracownika polskiego. Spożywają tam:

białka	tłuszczu	węglodanów
138 gramów	80 gramów	502 gramy

Dr. E. Kohn ²⁾ doszedł do przekonania, że wśród robotników w Częstochowie i jej okolicach 55,5% odżywia się miernie lub źle, głównie z powodu niedostatecznej ilości substancyj białkowych i tłuszczów w pożywieniu, co nadewszystko zauważyć się daje wśród licznej rzeszy wyrobników (sublokatorów). „Ludzie tej kategorii mięsa prawie wcale nie używają, bo nawet nie w każde święto; to samo można powiedzieć o mleku; tłuszczu zaś w miernej i niedostatecznej ilości.“ Typy robotników polskich o suchotniczym wyglądem, wąskiej klatce piersiowej i przybłąkłych, nie śmiejących się nigdy oczach — to stan poważne, trwożliwe nasuwający myśli. To rozdrażnienie, przyjmujące żywiołowe cechy wybuchów, miotania się z nędzą robotników ma swoje głębokie podstawy w istniejących warunkach życiowych. Sferom społecznie myślącym nie wolno też na widok tych stosunków przysłańać oczy i trwać w zadowoleniu z własnych dostatków. Współczucie i zajmowanie się warstwą robotniczą nie może i nie powinno też być specjalnością lub monopolem naszych frakcyj socjalistycznych, na które zresztą dotąd umiano u nas gniewnie tylko spoglądać, ale nie przeciwdziałać na gruncie podejmowanej akcji czynnej — organizowania robotników, dopominania się o lepsze warunki egzystencji naszej warstwy pracującej.

Dane wyżej pomieszczone nie ilustrują jednak jeszcze samego sposobu życia robotnika polskiego. Oryginalnymi budżetami rozchodów robotniczych uzupełniany więc nasz materiał artystyczny. Dr. J. Michalski lekarz fabryki tow. akc. K. Scheiblera w Łodzi obrazuje wydatki rodziny robotnika, składającej się z 5 osób t. j. małżeństwa z trojgiem dzieci, z których najstarsze ma

¹⁾ Konrad Prószyński „Jak się żywimy.“ Warszawa, 1901.

²⁾ „Zdrowie“ 1892 r., str. 256 i nast.

10 lat. W fabryce pracuje mąż i zarabia 5 rb. 30 kop. tygodniowo (więcej, niż średni zarobek robotnika).

	rb.	kop.
Mieszkanie	1	—
Chleb	1	05
1/4 korca kartofli	—	45
7 kwart mleka	—	49
Mięsa 2 — 3 funtów	—	30—45
Słoniny 1 funt	—	18
Kaszy jęczmiennej 2 kw.	—	12
Kawy 1/4 funta	—	18
Cykoryi paczka	—	11
Cukru 1 funt	—	13
Opał	1	20
Nafta	—	08

Na pozostałe wydatki, z których największe są: ubranie i obuwie, pozostaje od **2 kop do 87 kop.**

Menu takiego robotnika. Śniadanie: 2 szklanki kawy i 3/4 funta chleba. Kawa przygotowuje się następującym sposobem: 5 kwart wody, 1 łut kawy palonej, za 3 grosze cykoryi, 3—4 kawałki cukru i kwarta mleka. Robotnik jada śniadanie o 8-ej godz. rano w fabryce. Obiad: Barszcz z kartoflami. Kapuśniak z kartoflami. Zupa kartoflana. Zacierki z wodą zabelone mlekiem i chleb. Zupy okraszone słoniną dwa razy na tydzień z 1/2 funt. mięsa. W wymienionej fabryce (K. Scheiblera) zwykle jada robotnik obiad w sali jadalnej i ma możliwość odgrzać obiad na piecyku. Kolacya: resztki z obiadu lub kawa z chlebem.

Nieco odmiennym jest tygodniowy budżet rodziny robotnika, składającej się z ojca i matki, pracujących w fabryce (tow. akc. Markus Kolm w Łodzi), kobiety, pilnującej domu i 3 drobnych dzieci. Podług danych; zebranych przez dr. A. Goldmana, zarobek tygodniowy przeciętny obojga rodziców wynosi 7 rubli. Wydatki:

	rb.	kop.
Mieszkanie	—	45
Chleb 52 1/2 funta	1	80
Kartofle 1/4 korca	—	50
Mleko 5 1/2 kwarty	—	37
Mięso 2 funty	—	30
Słonina 2 funty	—	40
Kawa 4 łuty	—	10

	rb.	kop.
Cukier 3 funty.	—	45
Cykorya $\frac{1}{2}$ funta	—	06
Drzewo	—	10
Węgle	—	68
Nafty 3 kwarty	—	24
Barszcz	—	08
Oplata kobiecie	1	00

Na odzież więc i inne wydatki pozostaje tygodniowo **47 kop.** przy nieprzerwanej całej rok pracy.

Menu dzienne takiego robotnika. Śniadanie zabiera z domu i spożywa w fabryce o godz. 8 rano: a) kawa (przygotowuje się wieczorem poprzedniego dnia z 3 kwart wody $\frac{3}{4}$ łąta kawy i cykoryi za 1 kop.). Ilość ta służy dla robotnika i jego żony; kawę odgrzewa się w fabryce, i b) 2 funty chleba. Obiad (spożywają w fabryce zabrany z domu): a) kawa pozostała ze śniadania, b) 2 funty chleba, c) $\frac{1}{4}$ funta smalcu. Kolację (spożywają w domu): $\frac{1}{4}$ kwarty barszczu z żytniej mąki i wody (kupują gotowy) i 2 garnce kartofli.

Tak więc w podanych obu budżetach robotnikowi pozostawało na zabezpieczenie starości, ubranie, obuwie, bieliznę, mydło, sól, książki, gazety, teatr i wszelkie inne potrzeby kulturalne jego rodziny od 2 do 47 - 87 kop. tygodniowo, przy odżywianiu się zresztą więcej niż miernem! Zaznaczyć też należy, iż budżet rodziny robotniczej z tygodniowym zarobkiem 5 rb. 30 kop. do 7 rb. stanowi już pewną normę warstw uprzywilejowanych, w stosunku do pracujących z wynagrodzeniem *od 3 rubli, a nawet 2 rb. 60 kop. tygodniowo.* Jak przedstawia się budżet takiej rodziny?!

Nie potrzeba na to być socjalistą, lecz tylko *człowiekiem*, aby uznać, iż stan taki domagał się bezwzględnej reformy ekonomicznej.

W styczniu 1905 roku, ze wzmożeniem się prądu politycznego i socjalnego, wybuchł w Królestwie historyczny, powszechny strejk pracujących. Robotnicy stawiali różne żądania, niezawsze zresztą należycie i rozsądnie sformułowane, ale w ogólnym rezultacie wynik okazał się dość pomyślnym, i jak w Łodzi np., większość fabrykantów porozumiała się z robotnikami na następujących warunkach: a) 10-godzinny dzień roboczy (zamiast 11 i więcej), b) podwyższenie płacy roboczej w stosunku: 1) dla pracujących na dniówkę, którzy dotąd zarabiali do 3 rb. tygodniowo - o 15^o/_o; dla zarabiających od 3 do 4 rb. tygodniowo - 12 $\frac{1}{2}$ ^o/_o; od 4 do 5 rb. ty-

godniowo — $7\frac{1}{2}\%$; od 6 do 7 rb. tygodniowo 5% ; c) pracujący od sztuki otrzymują podwyżkę w tkalniach — o 5% , w przędzalniach — o 15% . Mniej więcej w tych samych stosunkach poczyniono podwyżki we wszystkich innych środowiskach przemysłowych, tak, iż łącznie ze skróceniem dnia roboczego, zaofiarowano warunki o 10 do 12% dla robotników pomyślniejsze. Dalsze, w przyszłości, unormowywanie płacy łączy się z zależnością od wielu konjunktur społecznych i ekonomicznych. Ale sama zasada dalszej ewolucji winna się opierać nie tylko na obciążaniu budżetów fabrycznych, lecz i zreformowaniu norm płacy różnych kategorii pracujących. Płace nadzorców, kierowników doszły dziś do nazbyt już wygórowanych, wprost nienormalnych wynagrodzeń. Pensye roczne 20, 30, 40-sto tysięcy, gdyby zredukować do 4, 5, 6, maksymalnie 8 tysięcy, a podnosić wzamian najniższe wynagrodzenia od 3 rubli tygodniowo zaczynając otrzymalibyśmy to, do czego dążą dziś ekonomiści europejscy, słusznie nawołując o racjonalniejsze unormowanie skali płacy i ustanowienie *minimum* zarobku.

Nawoływania o prawidłowe oszacowanie pracy, w stosunku do zajmowanych stanowisk w przemyśle, nie mogą już dzisiaj być zbyt oddaloną utopią. Przewartościowanie płacy nie wpłynie nawet na „podrywanie“ przedsiębiorstw, jak to niektórzy przypuszczają. Skala rubryki najmu, w niektórych wypadkach, może zostanie nawet tą samą, zmieni się jedynie ustosunkowanie płac kategorii poszczególnych. W Rosyi wielu dyrektorów w fabrykach pobiera po 75 tys. rubli rocznej pensyi. Oczywiście otrzymują te sumy nie tylko z budżetowym uszczerbkiem fabryki, ale nadewszystko ze szkodą samychże robotników. Wydatkując zbyt wiele na zarząd przedsiębiorstwa, fabryka nie raz nie tylko nie chce, ale *nie może* czynić podwyżek robotnikom. Byłoby nienormalnem żądać, aby analfabeta-zumiatacz miał taką pensyę, co utalentowany, uczony i bardziej odpowiedzialny inżynier, ale jest *niemoralnem* również, aby tenże inżynier nie wiedział co czynić z pieniędzmi (75 tys. rubli rocznie!), kiedy jednocześnie w jegoż oczach robotnik-analfabeta mrze z głodu! Trzy ruble tygodniowej pensyi będzie zawsze za mało, 75 tys., 50 tys., 20 tys. rubli rocznie będzie zawsze za dużo. Sprawiedliwość, etyka, ludzkość muszą mieć swoje znaczenie i — wpływ normujący.

Prawie zupełnie odrębnie od stosunków płacy robotników fabrycznych ustaliły się wynagrodzenia pracowników w górnictwie naszym. W kopalni hr. Renarda¹⁾ w ciągu lat 16 (188 $\frac{2}{3}$ —189 $\frac{7}{8}$ r.)

¹⁾ Stanisław Koszutski „Rozwój ekonomiczny Królestwa Polskiego.“

zarobki przeciętnie wzrosły z 89 kop. do 1 rb. 9 kop. W kopalniach Tow. Francusko-Włoskiego płaca pomiędzy r. 1888 — 1898 wzrosła o 40%. Podług obliczeń wychodzącego w Dąbrowie „Przeglądu Górniczo-Hutniczego“ (tom II № 6) w r. 1904 w Zagłębiu przeciętne zarobki w kopalniach węgla wynosiły dziennie:

górnicy	1 rb. 89 kop.	
pomocnicy pod ziemią	— „ 99 „	
„ na powierzchni	1 „ 01 „	(mężczyźni)
„ „ „	— „ 53 „	(kobiety)

Ogólny, średni zarobek dzienny wynosił 1 rb. 19 kop. w kopalniach węgla kamiennego, zaś 69 kop. w kopalniach węgla brunatnego. Obecnie, po strejku lutowym 1905 r., zarobki pracujących w Zagłębiu Dąbrowskiem wzrosły do 20% i podług osobiście zebranych przezemnie danych, przeciętnie, w kopalniach wynoszą dziennie:

górnicy	2 rb. 50 kop. do 3 rb. — kop.
pomocnicy górników	1 „ — „ do 1 „ 50 „
zwyczajni robotnicy	— „ 80 „
kobiety	— „ 60 „

Ogólna norma wynagrodzeń w kopalniach jest większą od przeciętnych zarobków pracujących w fabrykach, ale nie przedstawia płac wygórowanych. Podług bezstronnych obliczeń osób, blisko stojących warstw robotniczych, w naszych obecnych warunkach, potrzeba 8 rubli tygodniowo, aby żyć, pozbywszy się wida, zaglądnącej do domów nędzy.

III.

Związki zawodowe.

Długi, zacięty bój wiódł proletaryat robotniczy, zanim wywalczyć sobie zdołał prawo ulegalizowania związków asocjacji pracy. Sfery rządowe we wszystkich mocarstwach, nie wyłączając państw najwięcej liberalnych, zawsze bardziej występowały w obronie uzależniających je kapitałów, niżli — dopominającej się opieki pracy, po stronie swojej nie mającej ani prawodawstwa obronnego, ani siły militarnej. Należenie do związków robotniczych, nawet w takich państwach, jak Anglia i Francya, pociągało za sobą odpowiedzialność pod najsroźszymi represjami, w sta-

nowości swojej równającemi się karze za zdradę stanu. Zmiana zapatrywań na rzekome niebezpieczeństwo dla państw, wynikające z ulegalizowania związków, dokonywała się w tempie nad wyraz powolnem. „Jakkolwiek w Anglii — pisze prof. H. Herkner¹⁾ — zmienionym został zakaz stowarzyszania się już w r. 1824, to jednak dopiero znacznie później w latach 1869, 1871, 1875 i 1876 zyskały stowarzyszenia całkowite uznanie prawne. Zakaz koalicji zniesiono we Francyi w r. 1864, lecz prawnie uznano stowarzyszenia zawodowe dopiero w r. 1884. W krajach państwa Niemieckiego uznana została wolność stowarzyszeń na podstawie ustawy przemysłowej z r. 1869.“

Wraz z odnoszonym zwycięstwem słusznych domagań się robotników, związki zawodowe zaczynają coraz silniej się rozwijać i przybierać kształty równoważnika pracy wobec wszechwładztwa współzawodnika — kapitału. Im groźniejszą jednak w nierównym współzawodnictwie stawała się organizacja pracy, tem zacieśniej przeciwko związkom występowali przemysłowcy. W wielu fabrykach w Europie usiłowano zniweczyć zrzeszenia i wręcz odmawiano przyjmowania do pracy robotników, należących do jakichkolwiek bądź związków lub stowarzyszeń. W istocie jednak tak niebezpieczne na pozór zrzeszenia robotnicze nie okazywały się w praktyce tyle niebezpiecznemi, jak to pierwotnie przewidywały rządy i fabrykanci. Wprawdzie, związki stawiały sobie dwa zasadnicze, nie sprzyjające kapitalizmowi cele: podniesienie płacy robotniczej i skrócenie dnia pracy, ale życie wykazało, iż z rozmnażaniem się związków, najsilniejsza broń — strejk robotniczy nie tylko nie była nadużywaną, lecz przeciwnie — używalność jej znacznie się zmniejszyła. Statystyka angielska wykazuje, że podczas, gdy liczba robotników zorganizowanych w stowarzyszeniach wynosiła w r. 1892 razem 1,502,358, w r. 1900 wzrosła do 1,905,116. W tym czasie w odwrotnie proporcjonalnym stosunku malała roczna liczba dni strejkowych w Anglii:

w r. 1892	było	17,381,936	dni strejkowych
„ 1893	„	31,205,062	„ „
„ 1894	„	9,322,096	„ „
„ 1895	„	5,542,652	„ „
„ 1896	„	3,746,368	„ „

¹⁾ „Kwestya społeczna w Zachodniej Europie.“ Przekład polski. Lwów, 1905, str. 398.

w r. 1897	było	10,345,523	dni	strejkowych
„ 1898	„	15,289,478	„	„
„ 1899	„	2,516,416	„	„
„ 1900	„	3,152,694	„	„

Warto zauważyć, że w miarę stopniowego dojrzewiania ruchu robotniczego na Zachodzie, strejk, zwłaszcza zaś bezrobocia powszechne, uważać zaczęto, jako przeżytek nowoczesny, do którego można się jeszcze uciekać, ale tylko w razach ostatecznych, kiedy już wyczerpano wszelkie inne, dogodniejsze sposoby walki o lepszą gwarancję bytu pracujących. Zadaniem głównym związków robotniczych zagranicznych jest organizacja pracy zawodowej, zapewnienie pomocy materialnej w razie kalectwa lub choroby, zabezpieczenie starości, podnoszenie dobrobytu mas, wywalczanie dogodniejszych prawodawstw, organizacja sądów polubownych i urządzanie strejków, ale bynajmniej nie strejków dla strejków.

„Decyzja rozpoczęcia strejku — pisze wybitny uczonec, socjalista, prof. A. Lorja ¹⁾ — należy do najodpowiedzialniejszych postanowień, jakie tylko związek wydawać może. Istotnie, akceptować strejk mogą stowarzyszenia dopiero upewniwszy się, że skuteczność jego jest prawdopodobną. Dla tego też związki zawsze muszą mieć możność zbadać szczegółowo: 1) ilość towarów, znajdujących się na składzie kapitalisty, bo naturalnem jest, że im towaru posiada on więcej, tem dłużej może sprzeciwiać się żądanom robotników, bez żadnej straty dla siebie; 2) zbadać okres czasu, w ciągu którego robotnicy mogą strejkować; 3) liczbę robotników bez pracy, którzy mogą zająć miejsca strejkujących; 4) straty, które bezrobocie wyrządzi strejkującym, t. j. sumę płacy zarobkowej, której się pozbędą; 5) straty, które bezrobocie wyrządzi kapitaliście, t. j. sumę zysków, których on się pozbywa; 6) zbadać podniesienie płacy, na które zgodziłby się kapitalista, jeśliby zdecydował się na żądania robotników.“

Tak więc bezrobocia na Zachodzie mają już swoje wytyczne prawidła, i ekonomicznie rozumując, związki doszły do przeświadczenia, że bezcelowem byłoby domaganie się wyższości w warunkach, jeśli sam przedsiębiorca doszedł do zysków minimalnych, to jest, kiedy dochody jego równają się normie, której obniżenie równałoby się klęsce przemysłu krajowego, lub przez podniesienie cen towarów — wyzbyciu się rynków wywozowych. Zagraniczne

¹⁾ „Ruch robotniczy.“ Oryginał po włosku. Istnieje przekład rosyjski.

stowarzyszenia robotnicze, zwłaszcza tak postawione, jak uspołecznione, pełne kultury *Trades Union'y* angielskie, nie stanowią więc organizacyj bezmyślnie kraj rujnujących. Nie wynoszą walki klasowej i zamachów „na burżuazyję i kapitał“ nad rozum, dobro i ład w ojczyźnie swojej! Owszem, warcholstwo wszelkie zawzięcie tępią, a wnosząc kulturę do mas robotniczych, starają się wszelkie na nią zamachy niweczyć.

Należenie do związku robotniczego w Anglii nie daje jednak praw tylko, lecz wkłada również obowiązki. Zarząd stowarzyszenia zawodowego, przekonawszy się pierwiej o istotnej fachowości i dobrych kwalifikacjach robotnika, zapisuje go do swego związku, ale śledzi jednocześnie, aby wykonywana przez niego w fabryce praca była sumienną i akuratną, aby nie narażała stowarzyszenia na utratę dobrej opinii, a przedsiębiorstwa przemysłowego na straty. Pod tym względem, w Anglii, regulamin związków przestrzegany jest z nadzwyczajną akuratnością. „W r. 1894 — pisze P. Kedrow ¹⁾—maszyniści, korzystając z nieodzowności ich pracy, w jednym wypadku zażądali od fabrykanta nadmiernie wielkiego wynagrodzenia, w innym—wykonywali pracę niedobrze. Fabrykanci zwrócili się ze skargą do zarządu związku robotniczego i w obu razach otrzymali odszkodowanie z funduszków stowarzyszenia. Robotnicy zmuszeni byli uiścić następnie straty, poniesione z ich winy. Wogóle w zakresie łagodzenia sporów z przedsiębiorcami związki uczyniły bardzo wiele: niejednokrotnie z pomocą sądów polubownych dochodziło do porozumienia nawet w tych wypadkach, gdzie spory, zdawało się, muszą zakończyć się strejkami.“

Lubo *Trades Union'y* angielskie z wielkimi dla robotników działają rezultatami, to jednak nie cieszą się one nadmierną sympatią w kołach Socyaldemokracji międzynarodowej, z której sfer, już od Lassalla poczynając, nie jeden bezskuteczny skierowano pocisk. W Niemczech od r. 1868 dr. M. Hirsch organizował związki zawodowe na wzór angielskich, ale Schweitzer, Libknecht, Bebel i inni rozpoczęli współrzedną akcyę w zakładaniu stowarzyszeń robotniczych socyal-demokratycznych. Zwolennicy poglądów mistrza Socyjal-demokracji, Lassalla, głoszą o niższości celów stowarzyszeń angielskich, w porównaniu do wielkich związków niemieckich, które mają wybawić z ucisku całą „klasę“ robotniczą i oddać jej w ręce berło wszechrzędów socyalistyczno-pań-

¹⁾ „Raboczyje sojuzy.“ Moskwa, 1906, str. 8.

stwowych. Na gruncie ściśle klasowym stojąc, dla wielu trudnym jest wybór w przewidywanej „skuteczności zwycięstw proletaryatu.“ W tym względzie nie sposób odmówić trafności uwag syntetycznych uczonego polskiego, prof. Stanisława Głabińskiego: „Związki robotnicze *ogólne* czuwają nad ogólnymi prawami i interesami robotników, mając jednak bardziej klasowy i polityczny charakter, nie mogą żądań ekonomicznych na wzór związków zawodowych zindywidualizować. Z tego powodu wiele takich związków popadło w pewien szablon programowy (np. ośmiogodzinny czas pracy, powszechne i równe prawo głosowania) i przyjęło idee socjalno-demokratyczne, zwrócone przeciw całemu systemowi pracy społecznej, mianowicie przeciw własności prywatnej ziemi i kapitałów, przeciw systemowi wymiany, przeciw wolnej konkurencji, a natomiast za organizacją produkcji społecznej. Zasługą związków socjalno-demokratycznych jest międzynarodowa organizacja proletaryatu robotniczego, wadą ich jest jednostronność programu i celów, która wyłącza od organizacji te wszystkie warstwy robocze, które z przyczyn zasadniczych, lub ze względu na swe doświadczenie ekonomiczne i społeczne, nie zgadzają się na program socjalno-demokratyczny. Związki socjalno-demokratyczne więc nie mogą ogarnąć wszystkich robotników w takim zakresie, jak związki *zawodowe*.“ ¹⁾

Życzyłoby należało, aby w Królestwie Polskiem, wraz z otwierającym się polem do większych swobód i wzmożonej wolności stowarzyszeń, powstające u nas związki robotnicze przystosowywały się do dogodniejszych zasad związków angielskich, zapowiadających szersze korzyści dla pracujących. Z kilkunastu powstałych już w kraju związków zawodowych wnioskowałoby należało, że wśród nas nie brak ludzi, którzy odróżniają dobro ogólnospołeczne od niskich interesów li tylko klasowych. Powstałe dotąd u nas związki stawiają sobie głównie za cel wytyczny: a) zjednoczenie ogółu robotników danego zawodu, b) rozwijanie i wzmacnianie poczucia solidarności robotniczej, c) obronę moralnych i materialnych interesów członków, d) osiągnięcie racjonalnych, materialnych i higienicznych warunków pracy, e) rozwój kulturalny i zawodowy członków. Są to cele zbliżone do zasad naczelnych wszystkich stowarzyszeń robotniczych w Anglii i dobrze też, że wzór ten znajduje u nas zastosowanie, zwłaszcza, że i środki działania mają odpowiadać tym celom; są to: 1) kasa bezrobocia,

¹⁾ Dr. St. Głabiński „*Ekonomika społeczna*.“ Tom I. Lwów 1905, str. 100.

2) kasa pozostających bez pracy, 3) sąd związkowy koleżeński, honorowy i rozjemczy, 4) biuro pośrednictwa w wyszukiwaniu pracy i biuro porad prawnych, 5) biblioteka i czytelnia, 6) szkoły zawodowe i popieranie dążeń naukowych wśród robotników, 7) pogadanki i odczyty, 8) gimnastyka, wycieczki i zabawy, 9) wiece, zjazdy i kongresy robotnicze. Do danego związku należeć mogą jedynie pracujący w zawodzie stowarzyszonych. Warto też podkreślić, że i polskie związki chrześcijańsko-robotnicze nie wyrzekają się strejku, jako środka do walki, o ile on znajduje w odpowiedniej chwili korzystne zastosowanie.

Już w roku 1903 we wszystkich krajach liczone 7 milionów zorganizowanych robotników. Daj Boże, aby ku pożytkowi ogólnemu, związków zawodowych powstawało jaknajwięcej i u nas, ale związków, które organizację rozsądną stawiając na pierwszym planie, wyrzekłyby się waśni politycznej, tak szkodliwie zachwaszczającej wszelką pracę pożyteczną. Przekonania polityczne winny znajdować wyraz po za organizacyami zawodowemi, z którymi indywidualne przekonania nic zgoła nie mogą mieć wspólnego.

IV.

Ruch współdzielczy robotniczy.

Obok podnoszenia stopy płac zarobkowych istnieją inne jeszcze dążenia, zmierzające do wzmoczenia dobrobytu klasy pracującej. Akeya skierowywana ku obniżeniu cen przedmiotów użytku codziennego, w równej więc mierze zasługuje na uwagę, jak i sama działalność związków zawodowych robotniczych. Dostarczać możliwie tanich towarów, nadto w przednim gatunku — stawiają sobie za cel wytyczny, liczenie zagranicą rozpowszechnione i świetnie rozwijające się *stowarzyszenia współdzielcze*. Rozwój wysoce pożytecznych zrzeszeń takich w szczególniejszy zaś sposób znajduje grunt podatny w miastach o ludności fabrycznej. „Rozkwit wielkiego przemysłu — pisze K. Thiess ¹⁾ — stwarza wielkie zwarte tłumy pracujące, posiadające jednakowy poziom i dość stateczny dochód, oraz te same masowe, odczuwane potrzeby. W porównaniu z upadającym rzemiosłem mają one o wiele bardziej zapewnione jutro. Istnieją wśród nich wszystkie warunki dla wspólnego zakupu wiktuałów, węgla, ubiorów, prostszych sprzętów, produktów gospodarskich.“

¹⁾ *Braun's Arch. für Sociale Gesetzgebung*, 1896, str. 56.

Nadmiernie rozwielmożnione pośrednictwo handlowe, przechodzenie towarów przez tysiączne ręce większych i mniejszych składów, sklepów i sklepików pochłaniało dotąd połowę niemal sprzedażnej ceny materyałów. Pośrednictwo—to jeden z największych wrogów, zwłaszcza źle uposażonych warstw pracujących, które z musu składają w ofierze kupiectwu niemal połowę swych całodziennych zarobków. To też pionierzy racjonalnego ruchu współdzielczego, założyciele stowarzyszenia spożywczego w Rochdalu (1844 r.), biedni tkacze angielscy, powodowani ostatnią nędzą, zakładali swoją kooperacyę spożywczą, w celu ogłoszenia walki czynnej nadmiernie rozpanoszonemu pośrednictwu. O rozwijającym się, skromnym zrazu sklepiku rochdalskim (pod Manchesterem), o jego powodzeniu, dobrym gatunku towarów i pobieranych dywidendach mówiono wszędzie w sąsiedztwie: w warsztatach tkackich, w chatach wieśniaków, domach górników. „Pionierzy rochdalscy — pisze L. Krzywicki ¹⁾ — za te same pieniądze odżywiali się lepiej, a to nie uszło uwagi sąsiadów; byli lepiej ubrani, to zaś wyróżniało ich od towarzyszy; żony ich nosiły nowe i wykwintniejsze suknie, a to korciło sąsiadki i skłaniało je do namowy mężów, ażeby zapisywali się do stowarzyszenia.“

Przykład tkaczów rochdalskich znalazł żywe naśladownictwo w Anglii, a następnie w świecie całym. W niesłabnącem tempie ewolucyjnym wszystkie kraje cywilizowane, zwłaszcza zaś miasta przemysłowe, pokrywały się istną siecią stowarzyszeń współdzielczych. Podług obliczeń prof. K. Gide ²⁾, w r. 1901 ogólna liczba kooperatyw, na wzór rochdalskiej powstałych, sięgała na świecie cyfry 12,000 z 5 milionami członków i 2½ miliardami franków obrotu!

Silnie wznagający się ruch współdzielczy i płynące z niego korzyści dla warstw pracujących, bynajmniej nie zaznały poparcia ze strony Socyaldemokracji niemieckiej. Spostrzegłszy, iż idee współdzielcze odwodzą robotników od socjalizmu, a nadto że czynnego apostoła ruchu kooperacyjnego w Niemczech — Hermana Schulze-Delitzsch — proletaryat poczytuje niemal za króla państwa społecznego, przywódca partii marxowskiej, Lassalle, jawnie, choć bezskutecznie, walkę wypowiedział rosnącemu prądowi kooperacyjnemu. Ale „zarzuty Lassalla — pisze prof. Herkner ³⁾ —

¹⁾ „Stowarzyszenia spozywczc.“ Warszawa, 1903, str. 40.

²⁾ „O kooperatywach spozywczych.“ Przekład polski. Warszawa, 1906, str. 26 — 28.

³⁾ „Kwestya społeczna w Zachodniej Europie“ str. 455 — 459.

w formie często odstręczającej wypowiedziane, pod względem rzeczowym po części tylko uzasadnione, stały się przyczyną pożałowania godnego niedoceniań wolnego ruchu współdzielczego w ruchu robotniczym. Jeden z zarzutów, czynionych stowarzyszeniom spożywczym przez Lassalla, polega na tem, że nie są one w możności przyczynić się do istotnej poprawy położenia robotników, dla tego, że w miarę, jak środki utrzymania pod wpływem ich działania tanieją, również płace robocze obniżyć się muszą. Doświadczenie uczy wszakże, że stowarzyszenia spożywcze wpływają w większym stopniu na podwyższenie się wymagań robotników, aniżeli na potaniecie środków utrzymania. *Robotnicy bowiem nie wydają, pod wpływem stowarzyszenia, mniej na utrzymanie, lecz spożywają więcej i w lepszym gatunku.* A zresztą, nawet wówczas, gdyby stowarzyszenia spożywcze wpływać miały na absolutne zmniejszanie się wydatków na środki utrzymania, płace robocze obniżyćby się nie mogły, przynajmniej dla robotników zorganizowanych w stowarzyszeniach zawodowych.“

Lassalle ignoruje społeczne znaczenie stowarzyszeń współdzielczych i nie widzi specjalnie dodatnich cech, bijących od kooperatyw spożywczych. W dążeniach swoich ultra polityczny przywódca socjalizmu zapominał całkowicie o zaletach pedagogicznych i organicznych, źródło swe znajdujących w instytucjach robotniczych współdzielczych. Bezstronnie rozpatrujący rzecz, lubo sam zwolennik socjalizmu, prof. H. Herkner wyraźnie wydziela te cechy dodatnie, w zapale partyjnym zapoznawane przez Lassalla. „Podczas gdy stowarzyszenia zawodowe — pisze H. — dążą do podwyższenia dochodu robotnika, wolne kasy pomocy do zapewnienia mu pewnego dochodu, działają stowarzyszenia spożywcze w tym kierunku, że wzmagają siłę pokupną jego dochodu drogą dostarczania tańszych przedmiotów użytku codziennego, niezbędnych dla jego utrzymania. Byłoby też zapoznawaniem znaczenia stowarzyszeń spożywczych, gdyby uznawano w nich tylko instytucje dla dostawy tańszych środków utrzymania. Są one czemś więcej: działają bowiem wychowawczo na robotników, zniewalając ich przez opłacanie gotówką do *ekonomicznego sposobu życia*; uwalniają one także od niegodnej zależności, w jakiej znajduje się człowiek wobec kredytującego mu kramarza. Stowarzyszenia spożywcze czynią robotnika zdolnym do administracji i dają niejedną ceną rękojmię dla wpływania na ukształtowanie się stosunku najemnego pracy. W wyborze bowiem przedsiębiorstw, którym stowarzyszenia swych zleceń udzielają, można zawsze

uwzględniać położenie robotników w tychże przedsiębiorstwach zatrudnionych.“

Czterdziestoletnie zabiegi, skierowane w celu utrwalenia na gruncie Królestwa Polskiego stowarzyszeń spożywczych, niestety, nad wszelki wyraz słabe dotąd wydawały rezultaty. Przyczyny niepowodzeń kryją się jednak w samej organizacji istniejących, lub upadłych u nas instytucyj współdzielczych. Wbrew przyjętej w Anglii, a w ślad za nią aprobowanej przez większość ekonomistów europejskich, śmiem twierdzić, iż wadą naszych stowarzyszeń było to, co uznawano za żelazną zasadę: sprzedawać towar po cenie detalicznej, przeciętnie na rynkach sklepów handlowych praktykowanej.

Kulturalnie nisko jeszcze stojący u nas robotnik, poprostu nie widział żadnych korzyści z należenia do stowarzyszeń współdzielczych. Płaci gotówką towar, otrzymuje go po zwykłej cenie, a jeśli obiecują mu „dywidendę“, na którą musi rok cały czekać, to od wkładu 10-cio rublowego, ileż może otrzymać? Przy 6%, — 60 kop., przy 10% — 1 rb.! Nie ma więc na co się oglądać. Prosta zaś logika nakazuje, by stowarzyszenia mogły w ten sposób się urządzać, aby móżdż za możliwie najniższą cenę, możliwie najwyższą dostarczać sumę (dobrego) pożywienia, ubrania i t. d., czyli, aby przyczyniać się odrazu do podnoszenia warunków materialnych i zdrowotnych uczestników kooperacyi. W Anglii, przy odmiennych warunkach uposażenia robotnika, w stowarzyszeniach praktykuje się nieraz wprost przeciwny zwyczaj—pobierania wyższych nawet cen za produkty, niż normalnie, i udziałowcy bynajmniej nie gniewają się za to—jest to tylko forma ściągania oszczędności, które w końcu roku robotnik ma skapitalizowane w formie znacznej dywidendy. Ale Królestwo Polskie to jeszcze nie Anglia...

We Francyi i w Rosyi w wielu stowarzyszeniach praktykuje się system odstępowania rabatu swym członkom—jest to zrozumieniem położenia klasy robotniczej, której dochody częstokroć nie wystarczają na minimum pożywienia. Widzimy to zresztą z praktyki wielu naszych kas pożyczkowo-oszczędnościowych, że uprzyśtępnianie cen niektórych sprowadzanych dla członków towarów, przynosi jaknajlepsze rezultaty. W Przedczu podnosi się dobrobyt szewców, bo miejscowe Towarzystwo pożyczkowo-oszczędnościowe sprowadza dla swych członków skóry i sprzedaje je o 5 kop. na funcie taniej, niż tamtejsi kupcy; dostarcza również węgla po cenie zniżonej. Inne Towarzystwo spółdzielcze pośredniczy w sprzedaży herbaty i biszkoptów, dostarczając je członkom o 10—15% taniej, niż w sklepach. Dlaczegoż więc robotnik polski, należąc

do stowarzyszenia, nie może mieć tańszych butów, kaszy, mąki, słoniny, masła... Kooperacya ma walczyć z pośrednictwem, a tymczasem ulega jego cenom. System francuski i rosyjski, być może, nie jest „odpowiednim“, będąc sądzonym z wysokich tronów „teoryi spółdzielczości“, ale życie wskazuje, że w ekonomii wszystko jest pożyteczne, co jest praktyczne, nieodzowne. Przy dobrem potargowaniu się i płaceniu „gotówką“ robotnik może uzyskać rabat nawet w sklepiku prywatnym, tymczasem odmawiają mu go we własnem jego stowarzyszeniu!

Nasze kooperacye spożywcze stanowczo muszą być zreformowane, inaczej nie będą znajdować gruntu pod nogami. Budżety powinny być regulowane tak, jak to ma miejsce we Francyi, gdzie stowarzyszenia udzielają dla członków małe rabaty¹⁾, a resztę dochodów odliczają w części na dywidendę, w części na cele kulturalne, jak urządzenie biblioteki, czytelní, sali gier, odczytów i t. d.

Pięknie rozwijające się w kraju naszym spółdzielcze kółka włościańskie, nigdy nie mogłyby marzyć nawet o tyle szerokiem rozpowszechnieniu, gdyby stawiały zasadę *doraźnych korzyści*, dawanych swoim członkom. Włościanie garną się do spółek, bo mają z góry zapewnienie, że przy zrzeszeniu się, nawozy, nasiona, maszyny, narzędzia—otrzymywać będą po cenach znacznie niższych, niż w sklepach u przekupniów. Korzyści społeczne, kulturalne i narodowe, wypływające z tych zrzeszeń — to rzeczy pochodne, będące nie celem, lecz skutkiem organizacyi kółek włościańskich. Piękne należy godzić z pożytecznem, zwłaszcza, że ten pożytek materialny, to cechy najbardziej magnetyczne we wszystkich sferach, a zwłaszcza tych, co żyć muszą w niedostatku i biedzie.

Ale stowarzyszenia nasze muszą nadto przeprowadzić reformę zasadniczą w samym sposobie administrowania sklepami. Z praktyki dotychczasowych kooperatyw spożywczych w Królestwie wiadomo, że kierownictwo stowarzyszeniami dostawało się nieraz w ręce bardzo zacne, ale najmniej powołane. W Łodzi stowarzyszeniem spożywczem „Ziarno“ dwa razy kierowali dziennikarze, raz prefekt szkół średnich. Założono przedwcześnie aż pięć skle-

¹⁾ Prof. K. Gide występuje przeciwko systemowi obniżania cen w kooperacyach, dowodząc, że zupełnie zbytecznie ściąga to tylko nienawiść właścicieli sklepów. Czyżby jednak prof. G. zapomniał, iż samo założenie kooperacyi nie ma za cel podźwignania pośredników, i że wreszcie już sam fakt powstawania stowarzyszeń i z tem i bez tego sprowadza gniew detalistów-konkurentów?!

pów, urządzonych nadmiernie wykwintnie i posiadających na składzie wino szampańskie, koniak, wytworne delikatesy i t. d., czyli towary, które liczyły na „doborowych“ odbiorców, zamiast utrzymywać się na stopie bardziej ubogiego, ale więcej pożytecznego sklepu z przedmiotami użytku codziennego dla szerokich mas robotniczych. Wybieralne zarządy winny też pełnić misję czysto kontrolującą, kierownictwo zaś sklepów powierzać ludziom płatnym, fachowym, znającym się na cukrze, pieprzu, maśle, soli... Przy takim tylko wyrachowaniem i ekonomicznem zrzeszeniu stowarzyszenia mogłyby liczyć na rozwój. „Ziarno“ łódzkie, jak i wiele innych tego rodzaju instytucyj w kraju upadło, bo błędnie były postawione już w samym założeniu swoim.

I jeszcze jedna uwaga. Stowarzyszenia powinni zakładać sami robotnicy i sami sobą kierować, zbytni protekcyjnalizm inteligencji nie zawsze okazuje się pożądanym i praktycznym. Robotników należy traktować nie jako dzieci, które same nie zdziałać nie potrafią. Sfery inteligentne mogą dawać pierwsze pobudki, zachęcać do zakładania stowarzyszeń; służyć pierwszą w początkach radą. Ale sam bieg stowarzyszeń zostawmy „chłopskiemu rozumowi“, który częstokroć więcej jest wart od naszych głębokich kombinacyj teoretycznych. Pionierzy rochdalscy byli zwykłymi tkaczami!

V.

Kasy chorych.

Omawiając ruch stowarzyszeniowy robotniczy, nie da się pominąć istniejących w Królestwie Polskiem kas pomocy dla chorych, i to tem bardziej, że stanowią one dla nas Polaków pewnego rodzaju dumę, iż wczesnem ich zaprowadzeniem u nas, nie pozostaliśmy w tyle po za ogólnymi prądami, panującymi ówczesnie w Europie. Nie było jeszcze mowy nawet w Rosyi o jakimkolwiek zakładaniu stowarzyszeń wzajemnej pomocy robotników, kiedy u nas, w Królestwie Polskiem, od roku 1821 z inicjatywy Naczelnika urzędu górniczego w Polsce—Stanisława Staszica—powstają tak zwane „kasy bratniej pomocy“.

W głównych zasadach swoich kasy te znacznie różniły się między sobą i, gdy jedne stawiały sobie za zadanie dostarczanie członkom swoim jedynie bezpłatnej pomocy lekarskiej i lekarstw, inne udzielały tej pomocy także rodzinom robotników, a nadto wydawały uczestnikom przez czas choroby zapomogi pieniężne,

oraz jednorazowe zasiłki na pogrzeb; wreszcie jeszcze inne wyznaczały członkom, którzy utracili zdolność do pracy, stałe emerytury, wypłacane, w razie śmierci uczestnika kasy, jego rodzinie. W początkach samych „pomoc bratnie“ istniały jedynie w zakładach górniczych skarbowych, ale rozpowszechniały się stopniowo w kraju, ulegając następnie większym lub mniejszym modyfikacyom, w miarę, jak ustawy coraz więcej upodobniać zaczęto do niemieckich *Knappschaftskassen*, austriackich *Brudersladen*, albo francuskich — *Caisses de secur.* Podług wykazów statystycznych za rok 1898 z ogólnej liczby 38,380 wszystkich robotników w zakładach górniczych w Królestwie, do „kas bratnich“ należało 22,676 osób, czyli 59% ogółu pracujących. W roku 1897 suma wypłat w 18 kasach sięgała sumy 323 tys. rubli. Jest to cyfra poważna, stanowiąca o zakresie działalności stowarzyszeń górniczych.

Niestety, nie da się jednak powiedzieć, aby większość tych kas nie nastęrczała poważniejszych motywów krytycznych. Pewna dowolność w układaniu przez przedsiębiorców statutów kas częstokroć na krzywdę pracujących działa, wywołując ztąd wiele nieporozumień, a często starć nawet. Zależnie od brzmienia ustawy robotnikom strącano na rzecz kasy od 1 do 3% całotygodniowego zarobku. W niektórych zakładach i przedsiębiorstwa same dokładały $\frac{1}{3}$ do 1% sumy wypłacanej tygodniowo wszystkim pracującym (prócz tego zaliczano na rzecz kasy wszystkie kary, ściągane z robotników). Dyrektor kopalni stawał się jednak pełnym gospodarzem kasy, udział przedstawicieli robotników, obniżając w instytucyi samopomocy niemal do zera. Ztąd wynikały całe systemy kalkulacyi przedsiębiorców i zdarzały się „zwyczaj“, gdzie zakłady na koszt kasy robotniczej utrzymywały lekarzy, ambulatorya i t. d., czyli zaoszczędzały sumy, które winny być wydatkowane z własnych funduszów danej kopalni.

Ogłoszone prawo z dnia 22 marca 1892 r. o przestrzeganiu obowiązku, aby lekarze fabryczni opłacani byli z wyłącznych funduszów przedsiębiorców, ograniczyło w części niesprawiedliwe nadszarpywanie kas bratnich, ale nie zażegnało ogółu nieporozumień, wynikających z pracującymi, z racyi tych instytucyj.

Wprawdzie, od chwili wydania nowego prawa główne powody niesnasek zostały ukrócone, a przez wzmożenie się funduszów kas, pracujący akuraciej mają wypłacane zapomogi (dla chorych do 75 kop. dziennie, na pogrzeby 2 do 50 rb., dla inwalidów do 15 rb. miesięcznie, dla wdów po $\frac{3}{4}$ tej normy, a dla sierot do 14 lat od 45 kop. do 4 rb. 50 kop. miesięcznie), ale na-

gromadzało się jeszcze dość powodów natury bardzo różnorodnej. W niektórych zakładach same ustawy kas były głównym powodem niesnasek. W Tow. Sosnowieckiem i Francusko-Włoskiem istniało np. prawo, że członek kasy, samowolnie nie stawiający się do pracy więcej, niż w ciągu dni 14, traci prawo do zapomóg¹⁾. Podobny regulamin paraliżował centralną akcją strejkową robotników. Te i inne powody doprowadziły w r. 1897 do zaburzeń w Zagłębiu Dąbrowskiem, które miały za skutek pomyślniejsze, choć nie całkowicie jeszcze zadawalniające, uregulowanie sprawy kas bratniej pomocy. W dniu 12 grudnia 1900 roku ogłoszono nowe prawo o obowiązku wpłacania do kas przez przedsiębiorstwa $\frac{1}{3}$ tej sumy, którą składają robotnicy. Jednocześnie prawem ogłoszono, iż wybrani delegaci od robotników mają sprawować kontrolę przy zarządzaniu i wydaniu pożyczek z pomocy bratnich.

Podobnie, jak w górnictwie, ułożyły się stosunki w wielkim przemyśle fabrycznym. „Kasy chorych“ robotników oparto na tychże samych zasadach, co bratnie pomoce, z tą tylko różnicą, że „prawnie“ już w przepisach z dnia 15 stycznia 1886 roku zabraniano fabrykantom pobierać sum z kasy chorych na rzecz opłaty pomocy lekarskiej, którą przemysłowcy obowiązani byli nieść z własnych funduszków. Wkrótce potem, na skutek starań inspekcji fabrycznej warszawskiej i piotrkowskiej wypracowano zasadnicze ustawy kas chorych²⁾. W myśl tych przepisów przemysłowcy mają prawo potrącać na rzecz kasy z zarobków pracujących nie więcej nad 1%. Do tych składek dołącza się dobrowolne ofiary fabrykanta i wszelkie ściągane kary. Z tak nagromadzających się funduszków wypłaca się: 1) chorym robotnikom zapomogi w wysokości $\frac{1}{2}$ średniego zarobku dziennego, ale nie dłużej nad 3—6 miesięcy, 2) brzemienym robotnicom taką zapomogę w ciągu 2 tygodni przed i po porodzeniu, 3) zapomogi na pogrzeb zmarłych członków kasy w stosunku 20-krotnego średniego zarobku dziennego, 4) jednoczesne zapomogi we wszystkich tych nieszczęśliwych wypadkach, kiedy robotnicy według prawa mogą korzystać z kapitału karnego.

Urządzenie takich kas obowiązuje wszystkie fabryki w gub. warszawskiej, w których liczba robotników nie mniejszą jest nad

¹⁾ Tirganow. „Kasy wzajemnej pomocy robotników w zakładach górniczych w Królestwie Polskiem“. Petersburg 1900. (po rosyjsku).

²⁾ „*Trudy torgowo-promyszlenn. sjezda*“ 1896, t. VIII, str. 21—22; t. VIII, str. 407—408.

50. W gub. piotrkowskiej nie tylko kasy te nie są obowiązkowe, ale fabrykanci zakładając takowe, nie mają prawa ściągać składek, o ile robotnicy dobrowolnie się na to nie zgodzą ¹⁾).

W Łodzi kasy chorych istnieją przy wszystkich *większych* zakładach przemysłowych. Podług informacji „*Rozwoju*“ (1904 r. № 113) „fabrykant obowiązany jest tam płacić połowę zarobku, o ile robotnik nie może pracować z powodu wypadku, jakiego padł ofiarą w fabryce, a nie z powodu choroby. W tym ostatnim razie może dostać tylko zapomogę z funduszu karnego, o ile on jest, a i ta zwykle nie przenosi rb. 1 kop. 50 na tydzień. Po za tem w razie śmierci dziecka na pogrzeb robotnik dostaje 8 rb., na pogrzeb żony 12 rb., w razie śmierci samego członka kasy—15 rb. ²⁾).

W redakcyi krótkiej wzmianki „*Rozwoju*“ łódzkiego uderzają dwa słowa: „fabrykant płaci“. W rzeczywistości powinno być: kasa chorych płaci. Ale organ miejscowy oddał jedynie charakter samej instytucyi. Istotnie, w przemyśle fabrycznym wielkim stosunki ułożyły się w ten sposób, że w wielu, w większości nawet kas, rzekomi delegaci robotników istnieją tylko na papierze i służą za manekinów do podpisania rachunków w końcu roku. Sam kapitał kasy i jego dysponowanie spoczywa najkompletniej w ręku fabryki, podrywając z jednej strony zaufanie robotników do kasy, zaś z drugiej—narażając ogół pracujących na utratę własnego swego kapitału, w razie bankructwa danego przedsiębiorstwa. W r. 1902 mieliśmy żywy, smutny dowód nierozwagi zapisania na rachunek bieżący sum, składanych przez robotników w cukrowni „Leonów“. Fabryka zbankrutowała, a wraz z nią zachwiało się 175,000 rb. biedaków! „Proszę o zbadanie członków zarządu—wnosił wówczas adw. Czajkowski—w celu wykrycia na kim ciąży odpowiedzialność za roztrwonienie oszczędności robotników i oficyalistów fabrycznych. Wszakżeż fakt taki, jaki się zdarzył obecnie w „Leonowie“ woła o pomstę. Wymaga represyi... Obowiązkiem naszym jest wykazanie odpowiedzialności osób, które do czynów tych rękę przykładaly, bez względu na stan ich i stanowisko społeczne. Są winy, które ogniem i mieczem tępić trzeba, a do nich należy ogałacanie biedaków z pracy całego życia“ (*Echa Płockie*—1902 r. № 81).

¹⁾ „*Trudy torg.-prom.*“ ibidem.

²⁾ Dane „*Rozwoju*“ nie stanowią istotnej normy dla Łodzi. Większość kas stosuje się do zasad, praktykowanych, jak wyżej, w Warszawie.

Ten wypadek i te słowa warto było przypomnieć tu — *pro memoria*. Warto uprzytomnić, iż akcja społeczno-ekonomiczna nie powinna być upodobniana z przedsiębiorstwem, że granicę stawiać jest nie tylko pożytecznem, ale koniecznem.

Nie widzę najmniejszej szkody, jaka wypływałaby miała dla fabryk, gdyby ster kas chorych spoczywał istotnie, a nie w zasadzie, w rękach samychże robotników fabrycznych. Z ust wielu przemysłowców, którzy prawa trzymają się ściśle, niejednokrotnie słyszałem, iż udział robotników w zarządzaniu bezpośrednio funduszami kasy, tylko na dobro i fabrykanta i pracujących wychodzi. Mówiono mi, że robotnicy czynią nader praktyczne i logiczne spostrzeżenia, przeciw słuszności których protestować nie sposób.

Nie będę utrzymywał, że wogóle istniejące fabryczne kasy chorych mogą zastąpić nieodzowną u nas organizację związków zawodowych, które zagarną wszystkich robotników, bez względu czy dotąd kasy w fabrykach swoich posiadali, czy też ich nie mieli, ale nie sposób nie uznać, iż przy rozsądnem prowadzeniu, „kasy chorych“ mogłyby z pożytkiem prosperować i nadal, obok związków, lecz z zastrzeżeniem, iż autonomia kas jest warunkiem pierwszym i meodzownym. W tym duchu występować też powinna i nasza opinia publiczna, która dbać o to musi, aby zawsze sprawę słuszną mieć po swojej stronie i w imię jej dobra walczyć i zwyciężać. Wierzę w to mocno, iż przy jej wpływie udałoby się nieraz dużo więcej przeprowadzić, niż tego zdolne są dośćignąć strejki robotnicze, którymi zresztą organizacyom robotniczym dla ich dobra własnego nadmiernie szafować nie wolno.

VI.

Program organiczny.

Cztery nierozdzielne, wzajem uzupełniające się instancje wiodą do naprawy socyalnych stosunków robotniczych: przez *samopomoc robotników, akcję społeczeństwa, działalność gmin i opiekę prawodawstwa państwowego*.

O instytucjach wzajemnej pomocy robotników zagranicą i potrzebie odpowiedniej akcji u nas, była już mowa w kilku rozdziałach poprzednich. Jest to praca realna, wiodąca do jaknajlepszych rezultatów, ale moralnego poparcia, zachęty i oświadczenia musi znajdować źródło w wypływającej z oświeconych warstw narodu — rozsądnej *akcji społecznej*. Nie ma mowy o jakimkolwiek przeprowadzeniu rozumnego *organicznego* programu

warstw pracujących, gdzie w szeregach robotniczych analfabetyzm zabija wszelkie pobudki kulturalnej pracy. Ale nie dość jest masy uczyć czytać, lecz nadto trzeba dla nich zabiegać o stworzenie właściwej literatury robotniczej, rozjaśniającej najkardynalnniejsze zagadnienia życia, wraz z informacjami o sposobach organizowania się warstw pracujących zagranicą, o zasadach gospodarczości społecznej, podstawach życia narodowego, ekonomicznego, socjalnego, zdrowotnego, słowem ogłoszenia szeregu dzieł, broszur, wydawnictw, sprzyjających cywilizacyjnemu podźwignięciu mas najszerszych. Ta praca twórcza, literacka, musi iść w parze z organizacją uniwersytetów, wykładów robotniczych i t. d.

Akcyja społeczna *czynna* w harmonijnem musi postępować tempie z działalnością społeczną *moralną*. Opinia publiczna narodu, rozporządzając tak wielką potęgą, jaką jest prasa ojczysta, winna stać na straży interesów robotniczych i wnikać, aby krzywda nie działa się nikomu, aby słuszność i sprawiedliwość zawsze znajdowała w społeczeństwie czujnego i bezwzględnego obrońcę.

Nie może być mowy o interesach „klasowych“ tam, gdzie wzgląd na słuszność znajduje przewagę decydującą. Idealna prasa ojczysta nie może więc być „burżuazyjną“, ale polską, narodową i demokratyczną, a przede wszystkim — aż do krańcowości sprawiedliwą. Taką rozporządzając prasą, potężna opinia publiczna może zażegnawać strajki i wywierać wpływ zarówno na chlebowców, jak pracujących, słowem może tworzyć szanowaną i wpływową „izbę wyższą“ narodu, której głos stanowić będzie czynnik decydujący.

Tak potężnie postawiona na straży interesów wszystkich klas narodu—wielka opinia publiczna w kraju może i musi odpowiedni wpływ swój wywierać nie tylko na warstwy społeczne, ale instytucje narodowe.

Pierwszą i najbardziej podstawową w ruchu socjalnym instytucją—po za rodziną—jest ustrój gminny. W ogólnym programie organicznym robotników, autonomiczny ustrój, zwłaszcza naszych miast fabrycznych, będzie miał szerokie i wdzięczne pole do pracy twórczej, lud roboczy uzamożniającej. Nadewszystko zaś domy robotnicze! W roku 1903 należałem do szeregu osób, zajmujących się w Łodzi przeprowadzeniem ankiety „suterynowej“ dla tamtejszego Oddziału Warszawskiego Tow. Hygienicznego. Chodziłem po norach podziemnych dzielnicy najwięcej przez ludność robotniczą zamieszkałej. Przerażająca wilgoć spółzawodniczy tam z brakiem światła, głód z ubóstwem i chorobami mieszkańców. W jednym miejscu znajdowałem leżących na tapczanie dogorywają-

cych z suchot w kwiecie jeszcze lat robotników. Dzieci nieletnie i żony suchotników w wilgoci suterynowej i biedzie spędzają razem całe miesiące. I mamy się nie wyradzać! Komisye wojskowe są w kłopotcie z doborem rekruta w Łodzi, płuca u młodych pokoleń zamierają nie zdążywszy rozwinąć się jeszcze.

Wzorów do naprawy tych stosunków przyszłe samorzady miast naszych szukać muszą zagranicą. „Rada hrabstwa — pisze autor polski o Londynie”)—po za budowę koszar mieszkaniowych, wzięła się gorąco do zakładania kolonij robotniczych zamiejskich w Tooting, Norbury, Surry i Tottenham. Jedną z tych kolonij zwiedzałem w Tooting i śmiało mogę powiedzieć, że jedyne ładne domy (z wyjątkiem londyńskich gmachów publicznych), jakie widziałem w Londynie, tam się znajdują. Koszta budowy tej kolonii wynosić będą około 495,000 funtów a liczba domków 2,000, dostarczą one mieszkań dla 9,532 osób. Oświetlenie będzie elektryczne tak urządzone, że lokatorzy za wrzuceniem do automatu jednego penny mogą przez godzinę palić jedną lampę. W wielu domkach znajdują się pokoje kąpielowe. Prawie każda z tych ślicznych willi ma dwa ogródki, jeden od frontu, drugi od podwórza. Dekoracje drzwi i okien w stylu secesyjnym. Komorne za taki domek, składający się z 3 pokoiów, wynosi 12 do 13 szylingów tygodniowo. Do 31 marca roku 1904 Rada hrabstwa na zreformowanie mieszkań klasy robotniczej wydała przeszło 1,731,904 funtów, czyli więcej aniżeli 17 milionów rubli. Liczba osób, znajdujących w domu rady pomieszczenie, wynosiła na początku 1902-go roku 15,060, a niezadługo po wykonaniu rozpoczętych robót wzrosła do 50,000. Jednocześnie z tą działalnością, Rada hrabstwa coraz baczniej czuwała nad higieną mieszkań robotniczych, będących własnością prywatną.“

Uzdrowić stan mieszkań robotniczych zdolne będą jedynie samorzady naszych miast polskich. One wytworzą też cały zastęp instytucyj w innych jeszcze kierunkach, zmierzających do wzniesienia socyalnych warunków robotników fabrycznych. Miasta stworzą izby pracy robotniczej, biura pośrednictwa, muzea naukowe i wystawy zarówno przemysłu, jak sztuki, wzniosą pałace ludowe, szkoły i teatry, słowem odegrać muszą pierwszorzędną rolę w ekonomicznem i kulturalnem życiu robotników. I nad tem wszystkim opinia publiczna wraz ze swą wyraziicielką, prasą,

*) Jan St. Lewiński „Samorząd miejski w Londynie“. Warszawa, 1905, str. 70—71.

czuwać muszą, aby rady miejskie program organiczny robotników w czynie rozwijały szeroko i bezwzględnie, aby nie kierowały się żadnymi pobudkami, prócz dobra ogółu narodu, nie zaś wyłącznie służyła jego kapitalistom i klasom posiadającym.

Wreszcie czwarta w ruchu robotniczym instancja — prawodawstwo państwowe zawsze odgrywać będzie potężną i wpływową rolę. Księgę praw piszą ludzie i oni ją układają, ale ustawa fabryczna nie może być płodem lekkomyślności i niewyrachowania. Prawo nie powinno być uprzywilejowaniem narzędziem możnych, ale stać na gruncie niezależności od interesów ścierających się klas społecznych¹⁾. Prawo układać więc muszą wszystkie w parlamencie reprezentowane warstwy. Ochrona interesów robotniczych winna mieć swój wyraz w zagwarantowanym prawie państwowem, ale prawo to musi iść w parze z interesami ogólnej zamożności kraju i dobrobytu wszystkich warstw.

Skutkiem zależności naszych rynków przemysłowych od spółzawodnictwa z fabrycznymi obwodami Rosyi, prawodawstwo robotnicze w Królestwie nie może zasadniczo różnić się od ustaw zatwierdzanych dla całego państwa. Jeśliby u nas miał obowiązywać 9-cio godzinny dzień pracy, zaś Izba państwowa ustanowiła dla Cesarstwa 10-cio godzinną pracę, bylibyśmy całkowicie w przemyśle zbankrutowani. Ustawodawcza instytucja narodowa w Warszawie, na punkcie prawodawstwa fabrycznego, będzie więc musiała (zasadniczo) stosować się do obwieszczeń ogólnopaństwowej reprezentacyi.

Cała procedura przeprowadzenia reformy robotniczej wiąże się z kategorjami najprzeróżniejszych konjunktur. Nieuctwem ekonomicznem naszych partyi robotniczych było więc stawianie nagłych żądań w rodzaju *natychmiastowego* zaprowadzenia 8 godz. pracy lub opacznego, wywrotowego ustanawiania norm płacy w przemyśle.

Tak imponujących zdobyczy nie osiąga się w ciągu 24 godzin. Na to potrzeba długich ewolucyjnych prac, które stopniowo,

¹⁾ Dotychczas obowiązujące u nas prawodawstwo musi podlegz radykalnej reformie. Przepisy zarówno o organizowaniu, graniczącej z hurtowym szablonem, pomocy lekarskiej dla robotników fabrycznych, jak niezawsze właściwie stosowane kary na nich, wreszcie cała ochrona małoletnich robotników i kobiet, prawo o strejkach, odszkodowaniach za ponoszone uszkodzenia na zdrowiu i t. d. winny podlegz kompletnym zmianom, zastosowanym do potrzeb ducha czasu i wymagań człowieka.

w czterech zasadniczych instancjach rozwiązanie znajdować muszą. Stanie się też niejedno faktem, co dziś jeszcze wydaje się utopią społeczną. Ale każde wielkie dzieło nadewszystko wymaga czasu; niemniej rozwagi, taktu i rozumu.

Nienawiść i zabójstwo nie są drogowskazami, do tych zapowiadanych wielkich krain, gdzie ma królować miłość i szczęście. Nienawiść i miłość to dwie antytezy. Rabunek nie wiedzie do uczciwości.

Ci, którzy rzucają rękawicę zasadą, że cel uświęca środki, winniby sami na logiczniejszych podstawach budować własne teorie taktyczne. Obecne metody socjalistyczne nie uszczęśliwią też zwycięstwem wielkiej swojej utopii. Rozwiązania sprawy robotniczej spodziewać się można na gruncie ewolucyjnej pracy organicznej, hasłem szerokiego demokratyzmu sprzyjającej.

STEFAN GORSKI.

NAD GŁĘBIAMI.

III.

Kama wróciła z rodzicami do Warszawy. O Augustcie nie pozwałała nikomu wspominać ani słowa. A jeżeli ktoś nieszcześliwie poruszył tę strunę, wpadała w gniew, zamykała się w pokoju i godzinami całemi nie pokazywała się na oczu ani służbie, ani rodzicom, ani znajomym.

August obraził ją śmiertelnie. Przyzwyczajona do hołdów i do lekceważenia drugich, nie spodziewała się, ażeby ktoś, komu ona okazała swoją niełaszkę, porzucił ją, jak zepsutą zabawkę, bez protestu, bez łez, a nawet groźb.

Nieraz, kiedy zanknęta się w swoim pokoju, wyjmowała fotografię, która przedstawiała ją i Augusta w łódce kołyszących się na falach morskich. Płakała wtenczas ze złości, że w podobnej chwili dała się pochwyścić i przykuć do znieawidzonej osoby Augusta.

— On ma taką samą fotografię — myślała z goryczą — i przechwała się przed znajomymi swoją zdobyczą. Przecież trzeba nie mieć oczu, aby nie dostrzedz, jak wtenczas lgnęłam do niego. Położyłam rękę na tem samem wiośle, co on. Pochyliłam się nieznacznie ku niemu, ale mimo to, jak wyraźnie. Takiego samego kroju mam kaszkiet na głowie, jak on...

Załamana ręce w stawach.

— Bezczelny. Umyślnie wybrał taką chwilę, aby potem drwić ze mnie. Bezczelny! żeby tak mnie rzucić przy pierwszej lepszej sposobności! Czekał widocznie na to. Sam starał się mnie rozdrażnić, aby skorzystać z pierwszego słowa i gestu i uciec.

— Nie wróci już nigdy — mówiła do siebie, z nienawiścią patrząc przez okno.

Pilnie czytała dzienniki i przysłuchiwała się rozmowom w salonach, czy nie usłyszy jego nazwiska. Ale dzienniki pisały o wszystkim, tylko nie o nim — w salonach opowiadano sobie tysiące plotek i wymieniano tysiące nazwisk, tylko nie jego.

Nie opuszczała ani jednego reunionu, ani jednego zebrania towarzyskiego, ani jednego koncertu, zahypnotyzowana myślą, że dowie się czegoś o nim.

— Z Warszawy do Krakowa — powtarzała sobie nieustannie — tak przecież niedaleko. Tyłu mam znajomych, którzy muszą z nim spotykać się w Krakowie.

— Co ten nikczemnik porabia?

Ile razy wracała do domu zawiedziona w swych nadziejach, stawała się nieznośna dla otoczenia. Lada drobnostka wywoływała z jej strony zjadliwe, sarkastyczne uwagi. Wszystko, co chwalono, nicowała do szczytu. Chwilami zachowanie się jej miało cechy rozwijającej się choroby nerwowej.

Dostrzegła, że ojciec zaczyna przypatrywać się jej uporczywie i że matka śledzi ją na każdym kroku. Chociaż wiedziała, że robią to z troskliwości o jej zdrowie, nie mogła tego znieść.

— Kamo — szepnęła jej raz matka na koncercie Griega — pan Wiesław Gandorf kłania ci się z pierwszych rzędów.

— Dobrze — rzekła, — lecz spojrzała umyślnie w odwrotną stronę i zadumała się.

— Kamo — za chwilę rzekł ojciec — pan Wiesław pyta ci się, jak spędziłaś lato nad morzem.

Obłą ją rumieniec. W tem pytaniu poczuła pchnięcie sztyletu. Spojrzała wyzywająco w oczy młodemu mężczyźnie, który już stał obok fotelu ojca i bawił go rozmową.

— Jak spędziłam lato? — rzekła.

— Tak — powtarzał uprzejmie pan Wiesław.

— Polowałam na rekiny — odpowiedziała z błyskiem zemsty w oczach — bardzo przyjemny sport, bo rekiny są mało-mówne i o nic nie lubią się pytać. Może dlatego, że nie znają warszawiaków...

— Ale podobno rekiny lubią jeździć łódkami — odparł napadnięty — i mają wybitną skłonność do pozowania fotografom...

To mówiąc zmrużył oczy, uśmiechnął się, uklonił i odszedł lekko kołyszącym się krokiem.

— Widział naszą fotografię, — błysnęła jej myśl w głowie — kto mu ją pokazał? kto mu ją mógł pokazać?

— Muszę dowiedzieć się wszystkiego — powtarzała sobie w duszy przez cały koncert.

Kiedy wypełniono już program i tłumy publiczności poczęły cisnąć się do drzwi, Kama ociągała się długo z wyjściem, śledząc kroki Gandorfa. Bała się, że jej ucieknie i że straci sposobność, na którą tak długo czekała.

— Chodźmy już Kamo — prosiła ją matka.

— Niech mama patrzy, co się dzieje przy wyjściu. Pomną mi suknię.

Gandorf zbliżał się ku niej miękkim, posuwistym krokiem. Uśmiech ironiczny zjawił się na jego ustach, kiedy dostrzegł wyniosłą postać Kamy, bijącej blaskiem młodości.

— Trujący narcyz — pomyślał.

Kama zręcznie zebrała suknię i w ostatniej chwili, kiedy w ukłonach przechodził koło nich, znalazła się koło niego.

— Gniew na mnie mecenasie? — zapytała, uśmiechając się swobodnie i bardzo przyjaźnie, szeleszcząc wspaniałą suknią.

Dreszcz rozkoszy przebiegł Gandorfa od stóp do głów. Spokorniał natychmiast.

— Ktoby śmiał gniewać się na bóstwo — szepnął, starając się dotknąć ramieniem jej obnażonego ramienia. Nie broniła mu tego. Było jej to najzupełniej obojętne.

— Gdybym miał dwadzieścia par oczu, — rzekł po chwili, mieniając się cały pod wzrokiem Kamy — i tak mógłbym oslepnąć patrząc na panią.

— Zbliżka wystarczy panu jedna para ócz — odezwała się przyjaźnie, wesoło.

— Synogarlica z piekła rodem — mruknął do siebie.

— A gdzie pan widział te rekiny na łódce? — zapytała nagle, kiedy topił oczy w jej ustach i szyi.

— Hahaha — zaśmiał się, robiąc tajemniczą minę.

— Jakże panu podobała się nasza fotografia? — poprawiła się natychmiast, akcentując słowo „nasza.“

Gandorf stropił się.

— O jakiej pani mówi fotografii? — rzucił pytanie, aby zyskać na czasie.

— O mojej i pana Augusta Tarowicza — odparła niedbale.

Spojrzał jej w oczy przenikliwie, przeciągle. Czuł, że go pobiła na głowę.

— Mecenasie, trybunał nie czyha na pańską odpowiedź, aby skazać zbrodniarza na karę śmierci — mówiła swobodnie, śmiejąc

się — wracamy z koncertu Griega i bawimy się wspomnieniami. Zatem?

Wyteńczyła całą siłę woli, aby nie dopuścić do skurczu ust. Siadała do karety z ojcem i z matką i już powóz miał ruszyć, kiedy powtórzyła ze ślicznym grymasem ust:

— Zatem skrytobójczy mecenasie...

— Hahaha — roześmiał się — pokazywał mi tę fotografię doktor Sobica. Pani go zna dobrze. Nie mnie, ale jemu należy się słusznie ów przydomek skrytobójczego. Kolega to szkolny pana Augusta Tarowicza.

— Dziękuję mecenasowi — rzekła Kama i zaraz zawołała — Michale jedziemy.

Powóz potoczył się po drewnianym bruku. Kama milczała przez całą drogę, zaciąwszy wzdargliwie usta. Ani ojciec, ani matka nie mieli odwagi zapytać jej, dlaczego dopytywała się o Augusta.

Ale kiedy po wieczerzy każde szło do swego pokoju, pani Kolecka pocałowała córkę na dobranoc czulej niż zwykle i szepnęła jej do ucha:

— Uważaj więcej na siebie.

— Dlaczego mam?

— Po Warszawie mówią, że jesteś zakochana.

— W kim? — zapytała gniewnie:

— W nieznanym z Łódki, powtarzają o tobie ludzie uszczypliwie.

— Dziękuję mamie — rzekła Kama łagodnie i wbrew przypuszczeniom matki, pocałowała ją w rękę.

Pani Koleckiej serce zadrżało z radości.

— Niech ci Bóg dopomoże moje dziecko. Nie dbaj o niego. Znajdziesz takich, którzy będą całowali to miejsce, gdzie stałaś.

— Tylko nie on — pomyślała Kama, zamykając się w swojej sypialni.

Teraz dopiero opuściła ją siła woli i panowania nad sobą.

— Ośmieszyl mnie, ośmieszyl mnie — mówiła do siebie, chodząc tam i napowrót po pokoju.

Rozpacz ją ogarnęła, że jest bezsilną wobec tych wieści, które krążą po Warszawie.

— Sama dałam powód do tego — wyrzucała sobie — straciłam dawniejszą swobodę, przestałam być zajmującą, więcej nad słuchiwałam, jak mówiłam. I dlaczego? poco? poco? że jeden jakiś nędznik uciekł odemnie, jak ucieka się od zadżumionych?

— Robił wszystko, co chciał ze mną. Waryowałam, jak on, narażałam się na obnowę, jak on, po to, aby on mógł tem się przechwalać.

— Jestem bezsilna! — wołała z płaczem.

— Kto on jest? czego chce odemnie? gdzie jest teraz?

Czuła, że gdzieś musi krążyć w pobliżu, że tylko ukrywa się przed nią, aby tem silniej grać jej na nerwach.

— To on puścił naszą fotografię w obieg — a może kazał więcej takich fotografii zrobić? — rozważała.

— Wszyscy wierzą w to, że jestem w nim zakochana!

— Kłamstwo! kłamstwo — szeptała, przygryzając palce w uniesieniu — nigdy go nie kochałam! nigdy!!

Kiedy uspokoiła się trochę, poczęła chłodniej zastanawiać się nad wszystkim.

— Doktor Sobica pokazywał fotografię mecenasowi. Kolega szkolny Augusta.

— Dlaczego Sobica przestał bywać u nas? — nie dałam mu przecież do tego żadnego powodu. Nie zwracałam nawet na niego uwagi.

— Może nie miał czasu? Może nasze progi wydawały mu się za wysokie?

— Chłopski syn — pomyślała lekceważąco — ambitny, zdolny, ale nieobyty.

— Zaprosić go? posłać papę do niego?

Przypomniała sobie, że doktor Sobica miewa odczyty w Muzeum.

— Wiem już, wiem — pomyślała z radością — pójdę w czarnej sukni, z obszewką koło szyi. Broszkę z małym brylantem wbiję do kołnierza, a pozatem nie wezmę ani pierścieni, ani złota, nic, nic. Tak będzie chętniej ze mną rozmawiał.

Przez dwa dni nie wychodziła zupełnie z domu. Myśl, że nareszcie dotrze do źródła swego niepokoju i dowie się pewnych, nie ulegających wątpliwości, szczegółów o Augustcie, podniecała ją ogromnie.

— A jeżeli August jest w Warszawie?

— A jeżeli zobaczę go na odczycie?

Zaparała oddech w piersiach. Takie spotkanie byłoby dla niej katastrofą. Nie miałyby siły spojrzeć w jego stronę. Cała sala zatańczyłaby jej w oczach... Pokazywanoby ich palcami.

Czuła gorączkę w ustach i w oczach. Całym wysiłkiem wyobraźni pracowała nad zagadką, wobec której stanęła.

— Choćbym miała paść trupem, pójdę, — rzekła wreszcie do siebie z dziką ochotą wyzwania losu.

— Wcześniej czy później muszę się z nim spotkać. Zatem lepiej wcześniej.

Myśl widzenia Augusta opanowała ją zupełnie. Nie mogła wziąć żadnej książki do ręki, ani dziennika — zamknęła fortepian, bo gniewał ją długi, nieruchomy rząd białych klawiszy — odpędzała od siebie bez litości psa, który się łaścił koło niej, jak zwykle.

— Po co? po co pójdziesz? — jakiś głos nieświadomej trwogi pytał ją nieraz, kiedy nagle przebudziła się w nocy lub zadumała się w ciągu dnia.

Wtenczas strach ją zdejmował przed tym krokiem i postanowiła zapomnieć o wszystkim. Napróżno jednak. Wszystkie nerwy, wszystkie utajone głosy w piersi krzyczały:

— Idź, idź, on tam będzie.

Nadszedł nareszcie wieczór upragniony. Zapowiedziała rodzicom, że odtąd będzie stale uczęszczała na odczyty do Muzeum, że musi zająć się poważną pracą, bo ją nudzi cześć codziennego życia, a dalej oświadczyła, że nie przyjmuje żadnej opieki nad sobą na czas odczytów; że raz musi zakosztować tego, jak smakuje życie studentki.

Ojciec spróbował sprzeciwić się.

— Albo mi ojciec nie ufa — odparła Kama, przecinając spór jak brzytwą — w takim razie nie mam co robić w domu ojca, albo mi ojciec ufa i da mi zupełną swobodę.

— Zresztą, jeżeli ojcu chodzi o to — dodała — aby mnie kto nie ukradł na nlicy, pozwalam, aby miss Terry odwiozła mnie w powozie, z tym warunkiem, że miss zatrzyma powóz na dwieście kroków przed muzeum i będzie tam cierpliwie czekała na mnie, aż wrócę po godzinie.

— Kamuś, zlituj się nad Terry — rzekła z boleścią pani Kolečka — ona znowu przeziębii sobie nogi. Znowu dostanie darcia w kościach i będzie jęczała po nocach. Teraz wieczory są bardzo zimne.

— Pozwalam wziąć jej futro na nogi — rzekła Kama — a jak jej to nie wystarczy, niech sobie ogrzewa łapy lampką spirytusową. Skończyłam papo i mamó.

Rodzice z kwaśnymi minami musieli poprzestać na takim układzie. Ojcu nawet podobała się do pewnego stopnia eman-

cypacya Kamy. Widział w tem subtelność, że nie chciała razić nikogo arystokratycznemi formami tam, gdzie tego nie zachodziła potrzeba.

*

*

*

Na sali było już kilkadziesiąt osób, kiedy Kama weszła. Rozglądnęła się szybko dokoła. Odetchnęła.

Ani jednej twarzy znajomej.

Usiadła tak, aby Sobica, przechodząc, musiał się z nią spotkać. Kilkanaście jeszcze osób weszło na salę. Za każdym skrzygnięciem drzwi, dreszcz przejmował Kamę. Zamykała oczy. Bała się, że ujrzy naprzeciw siebie Augusta.

— Byle nie on — mówiła ze strachem.

Ale kiedy zawód ją spotkał, coś szeptało w niej z żalem:

— Dlaczego nie on?

Wszedł doktor Sobica.

— Sam, bez niego — w pierwszej chwili pomyślała Kama. Rozpaczliwem spojrzeniem objęła wszystkich. Nigdzie nie ujrzała twarzy Augusta.

— Niema go w Warszawie — szepnęła do siebie.

Doktor Sobica przeszedł szybko obok niej, nie zauważywszy jej obecności.

Dopiero pod koniec odczytu, rozglądając się po sali, zawiesił wzrok na niej. Nie poznawał jej przez dłuższą chwilę. Uśmiechnęła się przyjaźnie i skinęła lekko głową.

Odkłonił się zdziwiony, pobladał i głos zawiesił na chwilę.

Po odczycie, z którego Kama słyszała tylko pojedyncze słowa, doktor Sobica podszedł do niej.

— Pani tu? nie poznałbym nigdy pani, taka pani dziś inna — rzekł spokojnym głosem, ale oczy brunatne błyszczały mu ogniem.

— Bo dziś pan jest w roli nauczyciela, a ja uczennicy — odpowiedziała Kama, uśmiechając się przyjaźnie — a to bardzo zmienia postać rzeczy.

— Może, może, przyznam się jednak szczerze, że pani przybycie było dla mnie wielką niespodzianką. Mogłem przypuszczać, że właśnie *mój* odczyt nie obudzi w pani zajęcia. Znajomych lepiej unikać, nieprawdaż? — dodał głosem, który zadrżał lekko.

— A pan? — zapytała, topiąc w jego oczach gorączkowe spojrzenie.

— O mnie się nie mówi. Co tam ja — odparł z chłodnym przekąsem i zamilkł.

— Chodźmy — rzekła, spostrzegłszy, że sala już pusta i że kilka osób, które pozostały, śledzą ich rozmowę.

— Chodźmy — powtórzył jak echo.

Kiedy znaleźli się na ulicy, Kama ożywiła się. Postanowiła działać. Wiedziała, że ani ojca, ani matki niema w domu, bo pojechali do znajomych.

— Co pan robi dziś wieczór? — zapytała go zniecka, idąc w stronę karety.

— Dużo i nic — rzekł doktor Sobica — pójdę na przechadzkę. Nic, bo będę przez ten czas odpoczywał, dużo, bo prawdopodobnie zmęczone przyzwicie.

— Prawda, pan lubi miłowe wycieczki przedmiejskie — zauważyła.

Sobica popatrzał na nią podejrzliwie. Zdawało mu się, że dźwiewała w jej słowach ironia.

— A tak, atawizm — odparł — mój ojciec i dziadek robili miłe całe, śpiesząc na targ do miasteczka. Takie nawyki nie uchodzą bezkarnie. Odbijają się choćby w dziesiątym pokoleniu.

Kama pochyliła głowę. Znała drażliwość Sobicy pod tym względem, zlekła się więc, że mimowoli już go dotknęła.

— Czy pan zauważył — rzekła — że w Warszawie wszyscy lubią ogromnie chodzić? Mnie się wydaje — dodała umyślnie drwiącym tonem — że my wszyscy, od dołu do góry, mamy ten sam atawizm w kościach i mięśniach. To pamiątka po Adamie i Ewie.

Doktor Sobica przestał się chmurzyć. Chłód i sztywność opuściły go zupełnie.

Odetchnął.

— Pyszne spostrzeżenie — rzekł, śmiejąc się wesoło — ale coby na to powiedziała warszawska noblessa? hahaha!

— Popęłniłaby wielkie głupstwo, broniąc się — mówiła Kama, patrząc mu sprytnie w oczy.

Do ust napłynęła jej krew — policzki zakwitły runieńcami silnymi, w oczach jej paliło się światło.

— Prześlizgnij się — szepnął Sobica, ulegając jej czarowi.

Patrzyła mu pokornie w oczy.

Strach zrodził się w duszy Sobicy. Bał się, że jednym słowem może rozwiać złotą uludę i wyzwąć nielitościwą rzeczywistość.

Pobladł.

Kama stanęła przy powozie. Miss Terry otworzyła drzwiczki z pośpiechem, robiąc jej miejsce obok siebie.

— Chmurzy się doktorze — rzekła przeciągając słowa — co będzie z przechadzką?

— Mnie to nie dziw — odparł smutnym głosem.

— Ojciec i mama — wtrąciła szybko — będą radzi, jeżeli przywieżę doktora ze sobą. Jeżeli znudzisz się doktorze naszym towarzystwem, uciekniesz i znowu nie pokażesz się przez rok albo dwa, jak teraz. Dobrze?

Sobica zmienił się nie do poznania. Twarz skurczyła mu się dziwnie i drgać zaczęła, oczy nabrały ponurego blasku, zesztynniał.

— Nie mogę — odpowiedział chrapliwym tonem — praca czeka na mnie w domu.

— Proszę wsiąść — mówiła przyciszonym głosem — mamy pewne rachunki ze sobą, prawda?

Sama szybko zajęła miejsce obok miss Terry i przytrzymała drzwiczki otwarte. Utopiła w nim swoje duże oczy, takie jasne, takie pociągające, że Sobica uległ im mimowoli.

Postawił nogę na stopniu, zawahał się, lecz już cofnąć się nie mógł, bo wstyd go było. Usiadł naprzeciw kobiet.

Powóz ruszył.

— Mr. Sobica, miss Terry.

Sobica ukłonił się Angielce. Teraz dopiero ją dostrzegł. Odetchnął z widoczną ulgą.

— Możemy mówić zupełnie swobodnie — rzekła Kama po chwili — nasza sąsiadka nie wiele rozumie po polsku, tylko umie kłać zabawnie. Nauczyła się tego od jakiegoś lokaja-pedagoga.

Miss Terry skulona w kącie powozu patrzyła z pod oka na przybysza. Nie kryła zupełnie swego niezadowolenia. Nogi miała otulone w niedźwiedzie futro, choć to były dopiero pierwsze dni października. Zła była, że przez poruszenie się na siedzeniu utraciła cząstkę ciepła.

Powóz toczył się z zawrotną szybkością. Wiatr dmuchał im w oczy, wdzierał się pod suknie wszelkimi szczelinami.

— Miss Kama — rzekła ze złością Angielka — psiaklew Couchnan, leb sklencimy przez on.

— So much the better — odpowiedziała Kama, wybuchając śmiechem.

Angielka obrażona zamknęła oczy i już ani słowa nie odezwała się przez całą drogę.

— Mamy z nią sto pociech — mówiła Kama do Sobicy, błyskając rzędem białych, drobnych zębów. — Trzymamy ją już od lat kilku. Wychowała nas wszystkie. Miała nawet starającego się Polaka, ale rozeszli się, bo złość go w końcu porwała, że nie mógł jej oświadczyć się po polsku. To była cała tragicomedia! Myślałam wtenczas, że umrę ze śmiechu. On był wesoły chłopak i w gorącej wodzie kąpany. Rwał się do całusów. Ona wciąż podejrzliwie patrzyła na niego. Co on zatarł ręce z radości, jej się zdawało, że ją chce sprzedać. Hahaha! Nie mogła pozbyć się tej myśli, że po ślubie wywiezie ją do Rumunii. Powiedziała mu wreszcie: psiaklew, ja nie gupia i została u nas.

Miss Terry otworzyła jedno oko. Sucha, szara jej twarz zadrgała. Dorozumiała się, że mówią o niej. Oko zamknęło się znowu. Ten sam wyraz skrzywienia zjawił się na ustach.

— Nie uległa czarom miłości i oto, co z niej pozostało — dorzuciła Kama wesoło, spojrzawszy przez ramię na swoją sąsiadkę. — To przestroga dla nas młodych.

— Sobica milczał. Dałby dużo za to, aby uciec z powozu. Głos Kamy przenikał go melodyą słodką, odbierał mu krytycyzm i swobodę. Znał ten głos dobrze, jak dobrze.

Powóz wjechał do sieni domu. Sobica chciał jeszcze raz pożegnać się z Kama. Zdejmował go lęk niewypowiedziany, aby nie powtórzyło się to, co już raz przeżył przed rokiem...

— Rodzice zdziwią się bardzo — rzekła Kama — przywiozłam doktora do samego progu mieszkania, a doktor cofa się?

Pochylił głowę zawstydzony i onieśmielony poszedł za nią.

— Niech pan chwilę zatrzyma się w salonie — zapraszała go, kiedy zamknęły się już za nimi drzwi przedpokoju, - zaraz wrócę i przyprowadzę rodziców.

Sobica wszedł do salonu. Zmęczonym wzrokiem powiódł po znajomych mu meblach, dywanach i obrazach. Uśmiech goryczy zawisnął mu na wargach. Dostrzegł fortepian i obok niego palmę szerokolistną, która zwieszała swoje ciemnozielone palce nad białymi klawiszami.

— Wszystko minęło jak sen — szepnął do siebie — ułuda i nicość...

— I po co ja tutaj?

— Aby odwiedzić mogiłkę zakrzepłych wrażeń?

— Aby grzebać na tem samym śmietniku złotych pragnień?...

Łzy zakrepiły się mu w oczach. Tak dawno tu był, a tak niedawno.

— Trzeba być mężczyzną — upominał siebie i ociężałym krokiem podszedł do okna i czoło przytulił do zimnej szyby. Czarne widma drzew chwiały się w ogrodzie.

— Po co mnie tu przywiozła? — powtarzał z niechęcią.

— Dla kaprysu, bo tak jej się podoba.

— A moja siła woli gdzie? przez rok cały unikałem jej i byłbym już nigdy tu nie wrócił.

— Wymknąć się — błysnęła mu myśl w głowie — niema jeszcze nikogo. Służącemu powiem, że musiałem iść telegrafować w pilnej sprawie.

Zaczął gorączkowo nasłuchiwać. Cisza panowała w całym domu.

— Nie chcę jej znać.

Zbliżył się szybko ku drzwiom, rękę położył na klamce.

— Nie uwierzą — pomyślał.

— Będą się śnieli ze mnie, jak z miss Terry.

— Powiedzą: chłop.

Krew zalała mu twarz. Cofnął się i usiadł na najbliższym krześle, zacisnąwszy zęby.

Weszła Kama.

— Pan bez światła? — zapytała.

Przekreśliła śrubę. Elektryczność zalała pokój.

Stanąła przed nim zakłopotana.

— Rodziców niema w domu, ale zapewne wkrótce wrócą.

Sobica wstał, jak pchnięty sprężyną.

— Widzi pani — zdołał wykrztusić.

— Tem lepiej — odpowiedziała zalotnie — tacy starzy znajomi, jak my, mamy sobie niejedno do powiedzenia.

— O tu siądźmy — rzekła — pod palmą. Pamięta pan ów wieczór, kiedy uczyłam doktora bostona?

Sobica zadrżał. W mgle wyobraźni zamajaczyła mu głowa Kamy w aureoli bujnych włosów, uśmiechnięta, tuż, tuż przy jego twarzy. Czuł jej oddech gorący na policzkach.

— Wtenczas tańczyła z tobą — coś cicho szeptało mu w duszy — i była, jak dobry duch dla ciebie...

Otwarł oczy szeroko. Widmo znikło, ale przed sobą widział zato ją żywą. Szła wdzięcznym elastycznym krokiem ku palmie. Pierś podniosła mu się z uczucia rozkoszy.

— Łotr jestem — pomyślał — a to mój dobry duch...

Poszedł za nią.

— Nie uwierzy pan — zaczęła mówić — z jaką rozkoszą wracałam do Warszawy. Bawiłam się nieźle w Blanckenbergu,

ale tam rozprasza się człowiek. Po całym nadmiarze wzruszeń pozostaje tylko wrażenie pustki i niepokoju. Rzadko bywa inaczej. Rzadko spotyka się kogoś, kto wyrasta nad pospolitość...

Sobica uczuł klócie w sercu. Błysk ponury zaświecił w jego źrenicach przez mgnienie oka.

— Czy pan zna pana Augusta Tarowicza? — rzuciła zniechęta pytanie.

— Tak — odparł twardo.

— Dziwny człowiek.

— Tak, może — odpowiedział, usiłując opanować wzruszenie, które poczęło nim owładać.

— To był mój nieodłączny herold w Blanckenbergu — odezwała się.

Głos jej zadrżał, choć usiłowała być swobodną do ostatniej chwili.

Sobica utkwił oczy nieruchomo w pniu palmy. Coś mu oddech zaparło — jakaś kula ognista zapadała się powoli w głąb jego świadomości, paląc wszystko, co spotykała na drodze.

— Zna go pan bliżej? — zapytała po chwili, niższym głosem, aby pokryć wzruszenie.

— Mój znajomy z lat uniwersyteckich — rzekł Sobica. — Wypadki polityczne zmusiły mnie do kończenia nauk w Krakowie. Tam go poznałem.

— Ach tak. I on mi także coś wspominał o panu, ale już nic nie przypominam sobie — skłamała.

— Pan widział się z nim niedawno może? — zapytała, całym wysiłkiem woli panując nad głosem, aby nie załamał się na jakimś słowie.

Sobica mimowoli wstał nagle, rękę przeciągając po czole.

— Tak, niedawno — rzekł.

Unikał spojrzenia Kamy. Był niespokojny. Czuł, że stracił samowiedzę myśli i ruchów.

Usiadł, nerwowo zaciskając palce, złożone jak do modlitwy.

— Bawiliśmy się, jak dwoje młodych wariatów — mówiła dalej Kama podnieconym głosem. — To szalenie w ciebie myśliciele. Miss Terry miewała co noc sny okropne o mnie. Hahaha. Ojciec i mama chcieli mnie wywieźć do Norwegii, ale oparłam się i na złość wszystkim dałam się fotografować z panem Augustem w Łódce — hahaha — marzycielska fotografia — hahaha.

— Mam ją — wykrzyknął Sobica, lecz zbladł i natychmiast zaprzeczył — nie, nie, chciałem powiedzieć, że widziałem ją u niego.

Kamie cisnęły się na usta słowa:

— Dlaczego tak nikczemnie kłamiesz? Masz fotografię przy sobie. Pokazywałeś ją całej Warszawie.

Ale żal jej się zrobiło Sobicy. Rozumiała, iż był niewinny. Nadto, bała się go spłoszyć...

— I czy uwierzy pan, że po tej całej kanonadzie i wybrykach rozlecieliśmy się, jak dwie piłki — on w swoją stronę, ja w swoją. Zupełnie tak, jakby ktoś rozdarł suknię jedwabną, trzask i już są dwie połówki — mówiła, komicznie ilustrując swoje słowa ruchami.

Sobica nie spuszczała z niej wzroku. Na dnie jego duszy huczała burza wewnętrzna. Usta zaciął, ręce zaś jeszcze bardziej kurczowo zacisnął.

— Hahaha, śmiech mię zbiera — ciągnęła dalej Kama — jak pomyślę o tem. I cóż porabia teraz moje pendant krakowskie? zastrzeliło się? otruło? czy obmawia mnie po cukierniach?

— Nie ze mną o pani nie mówił — rzekł Sobica, jakimś dziwnie świszczącym głosem.

— Nie mówił? — zawołała Kama i zerwała się z krzesła — więc skąd pan wie?

— Co??

Kama, silnie wzburzona, przeszła przez pokój. Wiedziała, że zdradziła się niepotrzebnie, ale w tej chwili już na nic nie zważała. Myśl, że August zapomniał o niej zupełnie, zabolą ją nad wyraz. Wszystkiego innego spodziewała się raczej, ale nigdy takiej obojętności, takiego lekceważenia.

— Doktorze — mówiła, kiedy stanęła przed nim z rozpalonymi oczami — co to za człowiek? powiedz mi? pan go znasz od lat kilku. Żyłeś z nim, patrzyłeś na niego zblizka. Co to za człowiek? Zaciekawia mnie jego osoba, bo chyba niema nikogo, kogoby nie zaciekawiała. Nietylko ja, ale ojciec i mama i wszyscy nasi znajomi, którzy go poznali w Blanckenbergu, dopytują się o niego. Co on porabia teraz? gdzie jest?

— Co porabia? — odparł — kiedy byłem w Krakowie przed dwoma tygodniami, nie dopuszczał nikogo do siebie. Zamknął się w domu na cztery spusty. Ogarnęła go widoczna apatya. To się u niego często zdarza. Gdzie jest teraz, nie wiem. Może w Krakowie, może w Neapolu...

— Dużo mówiliście ze sobą? — nastawała.

— Dużo.

— I ani słowa nie wspominał?

— O kim?

— Choćby o swoich znajomych z Blanckenbergu, choćby o mnie, nic? nic?

— Czy pani tak bardzo zależy na tem, co powiem? — zapytał Sobica rozdrażnionym głosem.

— Czy ja wiem sama jak powiedzieć? może wiele, może nic. Zajmuje mnie ten człowiek, jak każda zagadka. Kto mi rozwiąże zagadkę, zgasi go zupełnie w mojej pamięci. Doktorze... Może ty masz tę moc w ręku swoim, aby zgasić jego wspomnienie...

Sobica wstał także. Nie mógł już usiedzieć na tem samem miejscu. Fotel palił go jakimś nieuchwytnym ogniem. Krew biła mu młotem w skroniach... Pot wystąpił mu na czoło. To, co słyszał, przerażało go. Wszystkie jego przypuszczenia, przekształcały się w rzeczywistość bezbrzeżnie dla niego bolesną.

— Ja mam tę moc, aby zgasić jego wspomnienie — pomyślał z piekącą go ironią.

— Co właściwie pani chce, abym powiedział — rzekł, opierając się o framugę okna — nie wiem, co było między państwem, nie wiem, co panią może boleć, a co radować, nie wiem, czy mam śmiać się, czy szydzić. Mnie trudno mówić, rozumie pani? może temu i owemu, obojętnie stojącemu na boku, przyszłoby to łatwo, ale mnie trudno.

Słowa wychodziły z jego ust dziwnie chrapliwie. Kama niecierpliwie spojrzała mu w oczy.

— Co panu?

— Nic, wolałbym wiedzieć, co pani dolega?

— Więc nic nie mówił z panem, zupełnie nic o swoim pobycie w Blanckenbergu? — pytała, przystępując do niego.

— Dlaczego pani tak natarczywie powtarza to pytanie? — odezwał się Sobica, czując, że blednie.

— Dlatego — zawołała namiętnie — że nienawidzę tego człowieka! nienawidzę go!

— W oczach Sobicy zaświecił jakiś straszny blask i zniknął w tej samej chwili. Usta mu drgnęły, ale ani słowo nie przeszło przez zaciśnięte zęby.

Kama cofnęła się, przerażona zmienionym wyrazem twarzy doktora. Strach załopotał jej w sercu.

— Co mu jest? — powtarzała w myśli z gorączkową zaciętością — co mu jest? dlaczego taki straszny?

Nagle, jak błyskawica buchnęła ogniem utajona myśl.

Kocha mnie.

Cofnęła się instynktownie.

— Ten człowiek pod oknem kocha mnie — powtarzała w głębi duszy z uczuciem nagłej, dzikiej radości — dlatego unikał mnie, zeszedł mi z oczu, nie chciał prosić...

— Doktorze, doktorze — mówiły jej usta machinalnie, kiedy zrobił krok ku niej. Nie mogła zdobyć się na żadne inne słowo. To nagłe uświadomienie odebrało jej siły. Szukała oczami oparcia. Usiadła na pobliskiej kanapie. Rozważała, co ma począć w chwili, kiedy Sobica wybuchnie.

Doktor jeszcze jeden krok zrobił ku niej, lecz opanował się szalonym wysiłkiem woli i zajął to samo miejsce we framudze okna.

— August — rzekł, zduszonym głosem — nie wymienił mi żadnego nazwiska. Nie powiedział mi nawet, gdzie bawił. To tylko mi powiedział, że lato spędził w dantejskim piekle. Kogo miał na myśli, nie wiem.

— I więcej nic, ani słowa? — zapytała Kama, podrażniona jego słowami.

— Nic.

Zerwała się z kanapy, spojrzała mu w oczy z pogardą i rzuciła słowa, które paliły jej już gardło oddawna.

— Pan kłamie!

Sobica zbladł straszliwie.

— Kto? — wyksztusił.

— Pan! po dwieście razy pan!!

— Dlaczego? — miał jeszcze przytomność powiedzieć.

— Dlatego, że pan masz fotografię naszą i obnosisz ją po Warszawie! w jaki sposób przyszedłeś pan do jej posiadania? musiał z panem mówić o wszystkim, musiał się chełpić, musiał ją panu darować!! Dlatego, powtarzam panu, że pan kłamie.

Sobica mienił się na twarzy. Nie mógł ani słowa wyrzec. Zaprotestował ręką. Wreszcie krzyknął:

— Nie!

Ten jeden krótki dźwięk uderzył w Kamę, jak rzucony ręką ciężki kamień.

— Więc jak? — zapytała zmieszana.

Podszedł do niej. Na czole wystąpiły mu grube żyły. W gardle huczało mu rżenie. Oczy rozwarłe szeroko świeciły bielmem.

— Ukradłem mu fotografię — powiedział chrapliwie.

Kama pobladła. Sobica topił w niej wzrok, w którym przewałała się długo powściągana namiętność. Blask ten nie był jej obcym. Z przerażeniem czekała na to, co mogło nastąpić.

Ale ogień znowu zgasł w szarych oczach doktora.

— Teraz mogę iść, co? — rzekł brutalnie.

Nie czekając na odpowiedź, zwrócił się ku drzwiom bez słowa pożegnania.

Kama była zdumiona. Groza wiała od tego człowieka, który odchodził teraz, unosząc w duszy wszystko. Przerazona radość ścisnęła jej gardło. Chciało jej się płakać.

— Przecież tak być nie może — wyszeptwała.

Sobica usłyszał te słowa. Odwrócił się błądy, wyczerpany.

— Doktorze, — mówiła, drgającym ze wzruszenia głosem — tak nie godzi się postępować ze mną.

Milczał.

— Przecież nie obraziłam doktora ani jednym słowem.

— Ale ja nie mam ani słowa więcej do powiedzenia.

— Ani słowa?

Szalone pragnienie wyrwania tajemnicy z ust doktora o władnęło ją całą. Takiego mężczyzny nie napotkała jeszcze w życiu. Wszyscy mieli na ustach to słowo „kocham,“ które zatraciło już dla niej wszelką wartość. A Sobica milczał. Wolał zdusić w sobie całą mękę, jak jednym słowem się zdradzić.

— Doktorze, nie odchodź tak.

— Ze mną się nie igra — szepnął blademi wargami — ze mną źle jest igrać.

— Jak Bóg na niebie — zawołała — ani mi to przez głowę nie przeszło. Więc po co być tak okrutnym dla siebie i dla mnie.

— Mam jeden majątek na świecie — rzekł dobitnie — a tym jest duma. Nikomu nie dam jej poniżyć. Nikomu i nigdy... i dlatego nigdy o nic nikogo nie proszę... to wystarczy... na dobranoc.

— Doktorze!

Wyszedł, lekko pochyliwszy głowę, taki sam dziki i ponury, jak był.

Kama załamała ręce na głowie.

— A teraz co? a teraz co? — powtarzała gorączkowo.

IV.

Deszcz jesienny, targany wichrem, to znowu przelewający się z rozpaczliwą monotonią nieruchomo, martwo — rozbił swoje namioty nad Krakowem. Mijały godziny, mijały dnie, a z dymiącej opony spadały zimne, szare łzy na ulice. Wyludniło się miasto, kamienice, smagane strugami wody, raziły brutalnie oczy

biodrami poczerniałemi od wilgoci. Bruki lśniły kamieniami oślizłymi. Nagość bezczelna, która w słońcu zatracala swoją szpetność, rzucała się ohydnie każdemu w źrenice. Klony i kasztany odarte z liści, bodły wilgotne, mgliste powietrze, czarnymi, pokurczonymi członkami. Plantacye świeciły z pod zrudziałej trawy rozmokniętem łonem ziemi. Pomniki zabite deskami wołały:

— Przechodniu, oto kiedy czas twój przyjdzie, znajdziesz spokój pośród białych desek, jak i my znalazłyśmy...

August wyszedł na przechadzkę. Czuł się bezpiecznym od napaści znajomych. Przejmujący chłód i deszcz usuwały mu z drogi natrętnych.

Odkąd opuścił dom Michasi i zamieszkał u ojca, odciął się od ludzi zupełnie. W dzień nikt go nie spotkał na ulicy. Siedział w swoim pokoju i robił notatki do studjum psychologicznego: „O wartościach życia współczesnego“ lub godzinami całemi leżał na sofie apatyczny i obojętny na wszystko.

W pierwszej chwili po powrocie z Mięckowic chciał napisać list do Michasi i przeprosić ją za swoje rozdrażnienie. Czuł, że to, co było całkiem rzeczą jasną dla niego, niezrozumiałem było dla siostry. Ale na myśl, że wpadnie znowu na ten sam ton czułościowości co zawsze, zaciął się i nie odezwał się do niej ani jednym słowem.

— Wrażliwość mnie zabija — rozumował, idąc wolnym krokiem główną aleją plantacyj w stronę Zamku — możeby nawet coś dobrego wykluło się ze mnie, gdybym nie ulegał tak łatwo zmiennym uczuciom.

Kłęb zimnego powietrza, przesyconego mgłą i kroplami deszczu, uderzył z boku w niego.

August uśmiechnął się spokojnie. Rozkoszował się tą wilgocią jędrną, zuchwałą, która wciskała się we włosy, uszy i w rękawy ubrania.

— Gdybym był tak odpornym, jak teraz? gdyby bezsilne były wobec mnie dyabelne oczy Kamy tak, jak ten deszcz? gdybym słuchał spokojnie jej namiętnego tonu, jak słucham tego wiatru i gwizdu gałęzi?

— Może wszystko poszłoby inaczej. Może Kama... patrzyłaby mi pokorniej w oczy... Może nie śmiałyby... przynosić psa nademnie.

Wzdrygnął się boleśnie, stanął. Patrzył przed siebie nieruchomo, nic nie widząc. Mglą zaszył mu oczy.

— Czy ona kiedy pomyślała o mnie?

— Może żałuje?

— Otacza ją rój wielbicieli tak jak zawsze, a dusza jej łamie się, jak akrobata...

Uśmiechnął się gorzko.

— Gdybym jednak wiedział, że w głębi jej istoty śpi dobry duch...

Wzdrygnął się cały, siłą woli przywołał się do pamięci, spostrzegł że stoi, szybkim więc krokiem zaczął iść przed siebie.

— Znowu to samo — wymyślał sobie — znowu ta sama czułośćkowość.

A tumany deszczu jesiennego i wycie wichru na wijących się konwulsyjnie gałęziach krzyczało na cały głos rozpaczliwie:

— Porwałbyś ją... porwałbyś ją... na koniec świata...

August pochylił głowę. Ten krzyk szumiał mu w uszach, jak piekielna muzyka.

— Precz, precz — powtarzał wściekły.

Rozejrzał się dokoła, szukając przedmiotu, na którym mógłby skupić swoją uwagę i uwolnić się od wspomnień.

Aleja skończyła się. Przed nim wyrastały ogromne ściany Wawelu. Szalejąca wichura wgryzała się w krużganki, framugi i poddasza — biła szaremi, skłębionymi miotłami deszczu o mury i szyby. Rozbestwiony taniec mgły, wycia i jęku hulał dokoła wież.

— Mały człowieku — szły na niego szeptem od ogromnych ścian — jakże zasłuchany jesteś w siebie i w swoje lilipucie gorczyce? czemu jesteś? dokąd idziesz? gdzie zajdziesz?

Kiś wielka zimnego deszczu uderzyła w twarz Augusta. Machinalnie otarł oczy i policzki i tą samą drogą którą przyszedł, wracał.

— Trzeba się podnieść na duchu — mówił sam do siebie — trzeba odwrócić się od tego, co było i stać się nowym człowiekiem.

Oczy mu zapłonęły. Po mięśniach przebiegł mu dreszcz rozkoszy. Pragnienie starcia się z jakąś przeciwną, potężną siłą podnosiła mu pierś.

— Byłem dotychczas gagatkiem. Lada wrażenie brałem za wielkie uczucie. Dramatyzowałem wszystko, co dotyczyło mnie bezpośrednio. Lada głupia dziewczyna wyrastała natychmiast na moją Beatrycę.

Hahaha — zaśmiał się sam do siebie — po Ludwisi Marynia, po Maryni Fela, po Feli Kukusia, po Kukusi Kama — hahaha — miałem w życiu pięć Beatrycze — a jeszcze krok dalej miałbym szóstą w Miętkowicach...

— Narwany człowieku — wymyślał sobie — gdzie logika? gdzie poszanowanie dla samego siebie? pięć Beatrycze w życiu?

gdzież do dyabła tyle ideałów wyskrobałeś na tym marnym padole ziemskim?

— Czy pamiętasz tamte? — jakiś głos szepnął nieśmiało w tajnikach jego duszy — nie pamiętasz ani jednej twarzy. Bo tantych nie kochałeś — bo tamte w tobie się kochały, a ty to tylko odczuwałeś. Ale Kama — czy zapomniałeś twarz Kamy? czy zapomniałeś, jakie drobne a liliowe ma ręce? czy zapomniałeś, jak pochylała kształtną głowę, kiedy niebieskie oczy topiła w tobie? czy pamiętasz, jak wiatr rozsypał jej raz włosy, które pomagałeś jej zebrać?

— Nie pamiętam — powtarzał z głuchym uporem, zamykając oczy, do których cisnęły się obrazy wspomnień.

— A czy pamiętasz słodycz pierwszego wydartego pocałunku?? — ten sam głos brzęczał przenikliwie.

August zbladł, lecz w tej samej chwili prąd gorącej krwi obiegł go od stóp do głów. Zaciął usta, na które wichura rzucała zimne krople deszczu. W gardle czuł ogień. Serce pracowało zawzięcie. Po czole, skroniach i policzkach przebiegały mu płomienie.

— Gdzie ucieknę? — szepnął do siebie z rozpaczą.

Wszystkie refleksye, wspomnienia, cały most logicznych rozumowań, po którym zdawało mu się, że przeszedł na brzeg trzeźwej działalności, zapadł się w nicość. Do oczu wdzierala mu się natarczywie twarz Kamy.

Przerażony wrócił do domu

— Dwa miesiące męki napróżno — rzekł do siebie, kiedy klucz przekreślił w zamku.

— To samo piekielne wspomnienie zżera mi nerwy.

Usiadł przy oknie, opierając głowę o ścianę.

Ale nie mógł patrzeć na ulicę. Każda sylwetka kobiety, przechodzącej chodnikiem, zdawała mu się być Kama.

Zerwał się z krzesła i rozpoczął ten sam nielitościwy pochód po pokoju, którym mordował się do unuzenia prawie codziennie.

— Zatem co? co? co? — krzyknął na cały głos, aby zagłuszyć tysiąc innych myśli, które pchały mu się do głowy.

— Jeszcze tak jeden miesiąc — rozmyślał — albo dwa, a choćby trzy lub cztery, a przyjdę do zupełnego rozstroju nerwowego. Właśnie wtenczas, kiedy mi się zdaje, że już zupełnie jestem ze sobą w porządku, wraca ta fala powrotna.

— Co to jest? co to jest?

Czy ja ją Kocham??

Stanął na środku pokoju, dłońmi ścisnąwszy skronie i myślał całym wysiłkiem mózgu.

Ani jeden błysk świadomości nie dał mu na to pytanie żadnej odpowiedzi.

— Nie wiem — jęknął i dalej krążył po pokoju.

— Kiedy ją porównywał z mojami myślami, kiedy ją stawiał obok siebie nad tym prądem wielkich idei, które mi duszę rozpierają, kiedy w bezsennych nocach podają jej ręce na żywot wspólny, zdaje mi się być jakimś cieniem marnym, więdnie mi, jak liść cudownego narcyżu, żółknie i odpada.

— Ona nie dla mnie!

— Zdławi mnie swoją nicością duchową. Zbrzydzi mi wszystko to, co kocham, zabije moje dobre instynkty i chęci.

— Albo być czemś bez niej, albo razem z nią zmarnieć, jak nędzny chwast.

— Widzę to przeraźliwie jasno.

Plecami oparł się o ścianę, tuląc głowę do chłodnego tapetu.

— A wrócę do niej, kopnie mnie.

Wyciągnął pięść i groził tej dalekiej, która, jak złe mani-dło, nachodziła go za dnia i po nocach.

— Nigdy nie wrócę.

Zerwał się z miejsca. Błyskawica jasnej myśli olśniła go. Z tryumfem rzekł do siebie:

— To będzie pierwszy mój czyn w życiu.

Fala energii przeniknęła go nawskroś. Zdumiał się, jak wszystkie płomienie wyroste ze wzburzonej krwi i z rozdrażnionej wyobraźni pogasły.

— Kto chce zwyciężać, winien zacząć zwycięstwo od siebie.

Duma napełniła go całego. Czuł, że jeden tylko krok dzielił go od wymarzonej przyszłości.

— A więc w tem tkwiłaby tajemnica podniesienia ducha? opanować zmysły i oczy zwrócić ku ogromnym rzeczom? — pytał sam siebie.

Chciało mu się płakać i śmiać zarazem z radości.

— Uratowany jestem — powtarzał przez łyzy.

Prąd wartkiej myśli biegł przez jego mózg. Hodowane przez lata całe serdeczne pragnienia, wypieszczone fantazyą i gorącym sercem dobre uczynki, karmione rozmyślaniami i lekturą poglądy, entuzjazm płynący z krwi plemiennej i obracający w czyn najbardziej szlachetne i karkołomne pomysły — wzięły w posiadanie całą jego duszę.

— Czyż trzeba być określonym urzędowo człowiekiem, aby działać — rozumował — czyż trzeba mieć stempel na sobie i być ujętym w ramy ściśle określonego obowiązku, aby być użytecz-

nym? a kto będzie tym, kto nie kółkiem będzie w maszynie, ale wolnym duchem, idącym ku wizjom przyszłości?...

— Ku jakiej przyszłości? jak to pojmujesz? — stawiał sobie krytyczne pytanie.

— Raz już trzeba skończyć z tą mgłą uczuciową, która nie ma kształtów. Twoje wizje muszą mieć twarz i postać i chód, muszą między ludzi iść, więc jakież są?

— Jakie? jakie?

Mózg jego pracował z niesłychanym podnieceniem. Przelatujące idee odrzucał lub brał pod skalpel krytycyzmu. Wyrastała w ten sposób tłumna mieszanina jakichś niedokończonych, dziwacznych postaci myślowych, które zwiły się i kurczyły pod gwałtownym atakiem rozumowań. To, co w marzeniach fantastycznych zachwycało go nieraz i zdawało się niedoścignionym ideałem doskonałości, postawione nagle pod pręgierzem zuchwałej świadomości, rozsypywało się w proch... A im dłużej trwała ta bolesna dyagnoza, tem straszliwiej mściła się chłodna trzeźwość nad pięknymi urojeniami dawniejszemi.

— Tyle ich przepełniało mię nawskroś, tyle ich podnosiło mi pierś gorączką czynu, gdzież są teraz? wszystkie takie małe i nikłe?

— A może inne były, o których zapomniałem?

Skupił blask świadomości w jedną smugę światła i przechodził razem z nią przez pola pamięci — ale znajdował tylko szczątki lub pokrzywione karykatury tych idei, które go dawniej wzruszały.

— Czemże więc było to — zastanawiał się — co w godzinach samotności wzruszało mię i napełniało tęsknotą do czynienia wielkich rzeczy? czem były te wszystkie upojenia przedwczesne, które dawały mi smak zwycięstw i unosiły moje uczucia i fantazję w dziedzinę cudownych przeobrażeń? czem to wszystko było?

Długo z zaciętością szukał odpowiedzi w głębi siebie samego. Wyteżał wszystkie władze umysłu, aby nie wypuścić z rąk tego wątku rozumowań, który wiódł go przez labirynt sprzecznych poglądów, jak nieć Aryadny.

— Szukałeś wyrazu — szepnął cicho jakiś głos w najgłębszych tajnikach jego duszy.

— Szukałeś formy, drogi...

Odetchnął.

— Niestracone są zatem lata mojej młodości — myślał — a już gotowy byłem przekląć je. Intuicyjnie lgnąłem do przyszłości tajemniczej i usiłowałem zedrzeć z niej zasłonę. Pozosta-

to mi po tych wszystkich próbach zamiłowanie do przypatrywania się rzeczom odległym i do obejmowania szerokich widnokręgów... pozostało mi ukochanie i pożądanie lepszych form życia...

Ból rozkoszy przeniknął go całego.

— Przemienić życie. Zrobić je szlachetniejszym, lepszym...

Muzyka wzruszenia rozegrała mu się w piersiach.

— Kocham ludzi — szeptał — kocham ich bolesne rozterki, kocham ich straszną walkę o niktzemny, codzienny byt, kocham te poniżenia helotów o chleb jutrzejszy.

— Łamię się i giną...

-- Ulżyć im — krzyczało w nim serce — ulżyć, bo padają z wyczerpania, bo psują się przez krzywdy... ulżyć im...

Placz począł nim targać ogromny. Rozszłochały się w jego duszy wszystkie utajone uniłowania, wszystkie obumarłe, zobojętniałe porywy współczucia. W gorących łzach kapał się jego duch i oczyszczał.

— W świat! — wołał głos wewnątrz.

Zerwał się i słuchał długo siebie samego.

— Gdzie iść i co czynić mam? zapytał wreszcie siebie z przerażeniem.

— Gdzie iść? i co czynić mam?

— Z kim?

— Dlaczego z kim? dlaczego nie sam?

-- Pzyzwyczajenie, cień Michasi.

Ale na dnie coś szeptało w nim znanymi mu dźwiękami... Zasłuchał się, wyławiał to echo idące z głębi świadomości... w oczach bysnęła mu twarz słodka pani Natalii...

— Z nią — głos szepnął.

Zadrżał.

— Dlaczego nie sam, lecz wiecznie ktoś przy mnie — pomyślał ironicznie — nie Michasia, to Kama, nie Kama, to pani Natalia, nie pani Natalia będzie inna!

— Dlaczego??

— Precz z czułościowością. Już to raz dobrze powiedziałem Michasi. Czułościowość zabijała całą moją energię. Teraz czas już zabrać się do działania. Muszę się przyjrzeć, jak drudzy pracują, jak męczą się, jak giną — muszę przejść przez piekło dantejskie nie moich własnych malutkich uczuć, ale przez piekło dantejskie, w którym rozgrywają się małe i wielkie tragedye...

— Moje notatki „O wartościach życia“ są może krytycznie piękne, ale w rzeczywistości całkiem fałszywe...

Staął w oknie i patrzył na miasto.

— Tam iść i począć z nimi żyć.

Uspokoił się zupełnie. Myśl o Kamie zniknęła, natknąwszy się na szyderczy uśmiech. Barwne wspomnienia o niej poblądły i utraciły swój powab.

Rozejrzał się po swoim pokoju, jak po celi pustelniczej, w której trwał długo na pokucie.

— Wrócę tu — szepnął do siebie z dumą — ale inny.

Pukanie do drzwi wyrwało go z zamyślenia. Szybkim, elastycznym krokiem, z podniesioną głową, z rozpalonemi oczami podszedł do drzwi i odkręcił klucz w zamku.

Do pokoju wszedł doktor Sobica dziwnie zmieniony na twarzy i chudy.

August cofnął się mimowoli.

— Ty tu? — zapytał.

— Jak widzisz — odrzekł doktor stłumionym głosem. Nie wyrzucisz mnie za drzwi?

— Siadaj — rzekł August — nie bierz mi za złe mojego zdziwienia, ale byłeś niedawno w Krakowie, wiem także, że masz mnóstwo pracy w Warszawie, więc...

Sobica usiadł ociężale na podanem mu krześle. Patrzał z pod oka na Augusta, unikając jego wzroku. Brwi ściągały mu się co chwila skurczem nerwowym.

— Co cię sprowadziło? — mów — rzekł August, siadając obok niego.

Doktor skrzywił usta do uśmiechu, ale na wargach zjawiała się tylko bolesna linia goryczy.

— Postawiłeś trudne pytanie — odparł. Takie właśnie, na które przez całą drogę szukałem odpowiedzi, ale nie mogłem jej znaleźć.

August zastanowił się nad tem, co by go mogło tak bardzo rozstroić. Uderzył go wyraz twarzy doktora, jego zachowanie się niezwykle i nieśmiałość.

— Byłżeby to ten sam Sobica zawsze brutalnie otwarty i brutalnie szczery? — pytał sam siebie.

— Słuchaj stary — rzekł do niego — z Warszawy nie przyjeżdża się do Krakowa dla fantazyi. Przed miesiącem byłeś tutaj w sprawach czysto naukowych, ale teraz? Na dnie musi być powód głębszy.

Sobica podparł głowę na stole obiema dłońmi i wbił wzrok w posiniąłą od deszczu szybę okna.

— Jestem chory — szepnął.

August zadrżał.

— Andrzej — wykrzyknął mimowoli. Obejrzał się na drzwi, na dzwonek, nie wiedział co począć.

Sobica skinął na niego ręką, aby się uspokoił — wziął go za rękę, przyciągnął do siebie i po chwili rzekł posiniałemi wargami:

— Otóż widzisz przyszyła na mnie choroba pospolita. Zżera mię. Wybuchła przed dwoma laty. Zdawało mi się, że już ją opanowałem. Odciałem wszelką łączność ze źródłem choroby. Byłem już nawet pewny zupełnego powrotu do zdrowia. Teraz wybuchła na nowo z taką siłą, że zdaje mi się, iż to mój koniec nadchodzi.

August porwał go za głowę i popatrzył mu w oczy. Były mętne, na dnie ich tłuło się widmo boleści.

— Rozkazuj — powiedział zmieniony na twarzy — zrobię wszystko co zechcesz.

Sobica wstał. Nie spojrzął nawet na Augusta. Przeszedł przez pokój tam i napowrót.

— Nie męcz się — szepnął August.

Doktor stanął przed nim. Po raz pierwszy utopił w nim swój wzrok długo, uporeczywie.

— Auguście — rzekł po chwili — czy pamiętasz te lata spędzone razem na naukach? czy pamiętasz nasze rozmowy zaciekle, bijące się o słowo, jak o wielką wygraną? czy żyje w tobie coś z tego dawnego Augusta, który nie miał przedemną żadnych tajemnic?

— Jestem dla ciebie tem, czem zawsze byłem.

— To dobrze. A więc posłuchaj:

— Usiadł przy stole. Ujął znowu głowę w obie dłonie, oparłszy się o stół i oczy utopił.

— Przed dwoma laty, kiedy powtórzyłem mój doktorat krakowski w Petersburgu i uzyskałem prawo praktyki w Królestwie, poznałem w Warszawie pannę, która wywarła na mnie wpływ straszny od pierwszej chwili.

— Nie dziw się — mówił dalej z goryczą — nie ostrzelałem się z temi rzeczami tak jak wy. Nie miałem na to czasu, aby flirtować. Znałem kobietę z prosektoryum, znałem zwiędniętego trupa, którego krajałem. Znałem także tę uliczną kobietę, która szuka mężczyzny dla zarobku i którą porzuca się, jak zgniły owoc z niesmakiem na ustach. Ale kobiety tej, która ma czar młodości, która jak kwiat chyli się do słońca miłości, nie dotknięta lancetem ani pokalana sprzedajnością — takiej nie znałem. To były dla mnie lotne świtezianki, krążące nad czystą wodą.

August słuchał go ze współczuciem.

— Ale rozumiesz — ciągnął dalej doktor — jak to podobno bywa, zanim miałem czas zastanowić się, co się ze mną dzieje, zanim zdołałem zdać sobie sprawę wśród jakich warunków, słyszysz? powtarzam, wśród jakich warunków potoczy się cały dalszy proces, było zapóźno. Stała się dla mnie wszystkim.

— Śmieszne słowo „wszystkiem“ prawda? — mówił z goryczą, zwracając twarz w stronę Augusta — ale cóż, tak jednak było. Teraz powiem ci, że panna ma rodziców, którzy dorobili się majątku milionowego, którzy zapomnieli z czego wyszli, od czego zaczęli i odcieśli się chińskim murem materyjalnej niezależności od nas proletaryuszów zarobkujących.

August mimowoli podniósł się z siedzenia. Słowa Sobicy piekły go. On tego nie zaznał.

— Hahaha, rozumiesz — odezwał się znowu doktor po chwili milczenia — ja, praktykujący lekarz w szpitalach warszawskich, zarabiający miesięcznie 50 rubli, a w nadzwyczajnych okresach śmiertelności 60 rubli, miałem starać się o rękę tej panny, której rodzice należeli do arystokracji dorobkiewiczów! Czy słyszałeś o czemś bardziej potwornem? Jeszcze taki proletaryusz jak ja zakochany w pannie o dziedzicznej fortunie i mitrze ma prawo do szacunku, bo siła kontrastu przemawia za nim, ma za sobą kolory bajki. Ale cywilizowany chłop jak ja, lekarz zarabiający na dziurę mieszkalną na trzeciem lub czwartem piętrze i ona, córka może także chłopca, może mieszczanina, który dochrapał się fortuny i odrazu stał się w stosunku do takich jak ja Panem Bogiem — czy można wyobrazić sobie coś gorszego pod względem ustosunkowania?

— Otóż mój drogi, ja mam swoją ambicję, ambicję wykształconego chłopca, na którego u nas wskazuje się palcami w salonie i o którym mówi się za plecami sąsiada: chłop, jakby to było zbrodnią dokonaną przeciw prawom świata. Mam tę ambicję. To, co się działo w mojej duszy zakopałem na dno samo. Po roku zerwałem wszelkie stosunki, przestałem naprzykrzać się, przestałem odbierać apetyt mamie i papie. Wziąłem się do pracy. Prosektoryum, łóżko chorego na tyfus, biegunkę albo raka, pozieleniałe od wilgoci dziury wyrobników, które Opatrzność uszczęśliwiała czterdziestu dwoma stopniami gorączki, to było moje pole bitwy. Jak pies od rana do wieczora gonilem za tą strawą obowiązku i wrażeń. Trup młodej dziewczki pełniętej w brzuch nożem, z której wypływały czerwone wnętrzości i posiniały noworodek, albo trup wyschniętej staruszki, którą głód na ulicy zabił i z której skórę zdejmuje się jak wosk, bo tuż pod

nią piszczele czyściutkie wyrzynają się jak gotyk; albo trup murarza, który uważał za stosowue rozbić łeb o bruk przy budowie pałacu—to były czary życia, jakimi pasłem się codzien. I tak przeganiałem wspomnienia o niej z dnia na dzień, tydzień po tygodniu. Coraz rzadziej odwiedzał mnie jej cień. Już przestał stawać między mną a umierającymi. Czasem jeszcze, kiedy wyczerpany rzuciłem się w swojej dziupli na łóżko o dwunastej lub pierwszej w nocy, stawała jej postać przy mnie i tuliła głowę do mojej ręki. Paliła mnie ta ręka, jak paliła! — powoli i to powtarzało się coraz rzadziej...

August słuchał przybity, złamany. Słowa doktora padały mu kropla po kropli w serce, jak rozżarzony ołów. Mówić nie mógł — ból ścisnął mu gardło.

— Co się stało, spytasz? — rzekł Sobica świszczącym głosem — przyszła sama na mój wykład i zawiozła mnie do siebie. Uległem, pojechałem — i odtąd wszystko poszło wniwecz. Koniec ze mną. Po nocach wyję z bólu i rozpaczy, gryzę poduszkę, gotów jestem kraść, byle wyrównać różnice majątkowe między nami, gotów jestem zaprzec się ojca i moich braci, byle zetrzeć z siebie stygmat chłopstwa — w dzień nad trupami i chorymi tańczą mi jej oczy — słyszę jej głos, pachną mi jej włosy — koło mnie chodzi już obłąd.

— Andrzej! — jęknął August przestań już mówić. Rozumiem ciebie Andrzej — krzyczał przez łyzy — dam ci majątek, bierz.

Sobica spojrział na niego wściekłymi oczami. Zerwał się jak szalony z miejsca.

— Milcz — ryknął zduszonym głosem — kradnę i zabijam, zebrzę ale tylko tam w swojej podłej dziupli, na jawie albo we śnie, ale nie wśród ludzi!

August cofnął się pobladły.

Sobicy zakreśliły się łyzy w oczach, płacz luezał mu w pierśsiach, wahał się, wreszcie otwarł ramiona a August padł mu w objęcia i przytulił twarz do jego rozpalonego policzka. Spazmatyczny szloch wydobywał się z piersi Andrzeja.

— Bratem ci jestem — szeptał August — nigdy nie przestalem nim być... Uspokój się, pomówimy. Znam ludzi w Warszawie. Trafimy do nich. Zrobię wszystko dla ciebie, co będę mógł.

Sobica uścisnął mu rękę. Opanował się.

— A teraz — rzekł — powiem ci jeszcze jedną rzecz, bardzo podłą, bo ją zataiłem. Nie umyślnie, ale mi przez gardło przecisnął się nie chciała. Mimo to, podła.

— Mów.

Sobica popatrzał mu z pokorą rozpacziwą w oczy, jakby chciał wyczytać w nich wyrok śmierci lub życia.

— Czy ty znasz Kamę Kolecką? — zapytał chrapliwie — i czem ona jest dla ciebie?

August zdrętwiał. Jakaś dłoń lodowata nagle objęła mu serce i zmroziła mu krew. Czuł, jak krople chłodne spadały mu w głąb wewnętrzną jedna po drugiej. Zbladł.

— Znam — odpowiedział zmienionym głosem.

— Wiem, sama mi to mówiła, ale czem jest dla ciebie?

August przeciągnął ręką po czole. Miał odpowiedź na ustach, ale nie mógł jej wymówić.

Sobica położył mu rękę na ramieniu. Patrzył mu teraz natarczywie w oczy.

— Nie przyjechałem prosić cię o pomoc, o nie! tacy jak ja sami dają sobie radę w życiu. Chciałem cię zapytać, czy jest twoją, czy — zawahał się, lecz skończył głucho — niczyją.

— Mów — rzekł twardo, potrząsając nim — nie potrzebuję żadnej łaski. Zerwałeś z nią zupełnie, czy też zerwałeś, jak ja przed rokiem? Ona mówiła o tobie dużo i gorąco. Powiedziałem ci wszystko. Teraz ty mów. Co jest między wami? flirt, czy to, co we mnie?

Błyskawica świadomości przeleciała przez mózg Augusta.

— Mówiła o tobie dużo i gorąco — echo jakieś wewnętrzne szeptało.

— A twoja przyszłość? — nagle zagadnęła pamięć i bluznęła mu w twarz chłodnym wiewem.

August był już panem siebie. Wziął za rękę Sobicę, uściśnął go mocno i rzekł sucho:

— Porzuciłem ją, bo ona nie dla mnie.

— Nigdy do niej nie wrócę.

Sobica zatrząsał się. Opuściły go siły wszystkie. Oparł się z wysiłkiem o krzesło, musiał usiąść.

— Dziękuję ci — szepnął.

August nabrał pewności siebie.

— Podobała mi się, może kochałem nawet, ale to było przeletnie. Od dwóch miesięcy nie staram się nawet dowiedzieć, co porabia w Warszawie.

— Jeżeli to nazwiesz miłością — dodał ze śmiechem ironicznym — w takim razie jestem zakochany.

Sobica u'miechnął się lekko.

— A ty co myślisz teraz począć? — zapytał August po chwili, pogwizdując wesoło — bo rozumiesz, że moja pomoc w tych warunkach byłaby trochę okrutną.

— Ja? — odrzekł doktor, ocknąwszy się z zamyslenia — ano, zobaczymy.

Wstał.

— Ciągnie mnie, rozumiesz? — mówił dalej, błyskając ponuro oczami — uważasz, miałem służyć za przynętę na ciebie. Ale pal dyabli jej zamysły, dość, że mnie ciągnie do siebie. A uważasz, jak mnie kto ciągnie, to ja idę i już nie cofam się, chyba niebezpiecznie dla drugich. Ja sobie to tak przedstawiam.

Dreszcz przebiegł Augusta. Z obawą spojrzął w oczy doktora, które miały błyski szydercze w źrenicach.

— Naprzód owszem — dorzucił złośliwie Sobica — w tył nigdy, chyba razem ja i ona! hahaha.

— Co robisz wieczorem? — zapytał August, aby zwrócić rozmowę na inne tory.

— Wracam do Warszawy odwrotnym pociągiem. Czas już na mnie mój stary — odrzekł doktor.

Rzucił mu się na szyję i wyczałował serdecznie.

A od drzwi dorzucił:

— Dowiesz się reszty albo z listu mojego, albo z dzienników... hahaha!

Wyszedł.

August stał długo pod drzwiami. Chciał zawołać na Sobicę. Wiedział, że miał mu coś do powiedzenia, ale w żaden sposób nie mógł uprzytomnić sobie co.

— Dowiem się o nich z dzienników — powtórzył machinalnie — dlaczego z dzienników?

Uczuł pustkę dokoła siebie jak chory, któremu ucięto raz na zawsze rękę. Wyparł się Kamy. Postąpił tak, jak mu to wskazywał rozum. Ale na dnie serca żal jakiś dziwny grał mu muzykę smętną. Coś na zawsze zapadło się w morze niepamięci, co nie miało już prawa do powstania.

— Stało się — szepnął — zostałem sam.

Chłód go obszedł całego. Pokój wydał mu się więzienną celą, z której powinien uciekać czempredzej. A już na żaden sposób nie chciał dopuścić do tego, aby mózg jego zaczął zastanawiać się nad tem, co się stało. Łaknął ludzi, rozmowy. Byłe zagłuszyć się, byłe zabić ten płacz, który zrywał mu się w piersi.

Wszedł szybko do pokoju jadalnego.

Stary Franciszek czyścił lampę.

— Czy pan starszy jest w domu?

— Tak paniczku, u siebie.

August zapukał do pokoju ojca.

— Kto tam? — odezwał się głos suchy, surowy.

— Swój.

— Wejdz.

August uchylił drzwi i wsunął się do gabinetu ojca. Tu story już były spuszczone i lampa paliła się na biurku.

— Możesz usiąść.

August zajął miejsce w kącie sofy. Światło lampy podziało na niego orzeźwiająco. W pokoju ojca było cicho i ciepło. Przez zamknięte szczelnie okna nie dochodził gwar ulicy. Każdy sprzęt miał tu wyznaczone stałe miejsce i świecił czystością.

Naprzeciw sofy, na której usiadł August, wisiał duży, olejny portret jego matki, która patrzyła na syna słodko i smutnie zarazem.

Pod ramami obrazu wisiała wiązanka cierni, przepięta czerwona wstążką...

Ojciec siedział przy biurku, jakby nie było nikogo w pokoju, i czytał dalej jakieś poźółkłe papiery.

— Inny świat — pomyślał August — daleki od naszych codziennych, płaskich tragedyj. Poczynam pojnować ojca.

Niezmacona niczem cisza zalegała pokój. Tylko brzęk starego zegaru odliczał sekundy uciekającego życia...

— Mój dawny kącik — przypominał sobie z uczuciem radości — ileż razy, małym chłopcem będąc, wsuwałem się do tego pokoju, jak dziś, i zajmowałem na sofie to samo miejsce, co teraz. Uływały godziny a ojciec czytał... a ja roilem sny ogromne, zapatrzony w jego postać schyloną nad książkami i w portret matki.

— Ile razy przenoszono mię stąd śpiącego do łóżka. Otwierałem oczy, a nademną pochylała się uśmiechnięta twarz Michasi lub zafrasowana twarz ojca.

— Dawno tu nie byłem — rozpamiętywał — już bardzo dawno. Ojciec zamyślony. Może zdawało mu się, że to mały Gustek wsunął się do pokoju?

Głowa czytającego nagle wyprostowała się tknięta jakąś nagłą myślą.

— Czy tu jest kto? — zapytał mimowolnie pan Henryk.

— Jestem ojciec — odpowiedział August.

— Jesteś — odwrócił się do niego.

Z pod zwisniętych brwi spojrzwały na Augusta oczy pełne melancholii i szczerości.

— Dobrze, że przypomniałeś sobie o starym ojcu. Wiem, wiem. Nie usprawiedliwiał się. Czas twój leci. Wiem, wiem. Mój czas stoi. Ale i tak oba zejdą się razem... później, później... we wieczności...

— Myślałem o tobie w tych dniach — mówił dalej pan Henryk — ale nie chciałem cię zaczepiać. Widziałem, że cię dusi jakaś zmora i że się z nią mocujesz.

August uśmiechnął się.

— Przyszedłeś do mnie. To dużo znaczy. Ja sobie to ważę. Pamiętaj o tem Augustcie, że ile razy burza cię zaskoczy i będzie ci duszę wypijała, przyjdź tutaj. Dalecy jesteśmy, ale się pogodzimy. Twój świat śpieszy się naprzód, mój stoi, ale się pogodzimy.

Upłynęła długa chwila milczenia.

Pan Henryk przechylił się przez krzesło. Blask lampy padał mu na siwiejącą głowę. Wyciągnął rękę w stronę syna i zagadnął:

— Cóż Augustcie? jakąż mi przynosisz odpowiedź z waszego świata?

Zapytany spojrział ze zdumieniem na ojca. Nie rozumiał pytania.

— Zapomniałeś. Przypomnę ci. Czy wiesz, jaką była nasza ostatnia poważna rozmowa? Powiedziałem ci wtenczas, kim ja jestem, ja, ten, który się bił za siebie i za drugich, ten, który patrzył na ciosy, ten, który nie zapomniał krzywd wymierzonych nam wszystkim... powiedziałem ci, że żołnierz do końca życia na placówce...

August pochylił głowę. Słuchał smutny.

— Napadłeś na mnie wtenczas — mówił dalej pan Henryk natężonym głosem — w imię twoich ideałów. Ale miałeś ich tak wiele, że kłóciły się ze sobą. Nie miałeś swej własnej drogi. Miałeś sto ukochanych celów i żadnego. Nie byłeś tym kimś, który stał na własnej placówce — byłeś tylko przelotnym ptakiem z jednej krainy idei do drugiej. Nie rozumiałeś mnie, choć ja rozumiałem ciebie. Może dziś zrozumiemy się.

August wcisnął się w głąb sofy, jak mógł najdalej. Miał w własnych oczach do rozmiarów robaka, który pełza i stanął nagle przed olbrzymiem światłem.

— Do kogo więc mówię? — pytał pan Henryk uporcezywie — kim jesteś Augustcie? nie pytam się o to, jakie spełniasz obowiązki społeczne, te zewnętrzne, które stwarzają wszelkie rodzaje urzędów i stanowisk, pytam się o to, kim jesteś, jako cząstka narodu? czy idziesz przed się bezmyślnie, niesiony prądem, który

nie zależy od ciebie i na którego bieg nie masz najmniejszego wpływu, czy też pracujesz nad nową ścieżką, która może zamieścić się w wielki gościniec w przyszłości. Możesz mi odpowiedzieć?

Słowa jego padały jak ołowiane kule na pierś Augusta. Jakiś nieukojony, fanatyczny napór szedł od tej wyschłej postaci, która pod blaskiem lampy nabierała ostrych rysów. Oczy pana Henryka ani na sekundę nie zeslizgnęły się z twarzy Augusta, onieśmielając go blaskiem żelaznej woli. Dźwięk głosu oschły miał tony ogromnie smutne i bolesne, i to jeszcze bardziej podnosiło urok słów...

August milczał. Rozumiał, że każde tłumaczenie wobec tego starca byłoby pustą frazeologią. W oczach stanęła mu jak żywa, owa gorąca rozmowa z ojcem, w której wojował młodzieńczym entuzjazmem w obronie nieuchwytnych, nowych ideałów. Minęło lat kilka od tego czasu — a on stał w tym samym martwym punkcie. Nie posunął się ani na krok dalej naprzód, przeciwnie cofnął się, bo stracił zapach.

— Nie masz ani słowa jednego na odpowiedź — zagadnął po chwili pan Henryk. Twoja praca zatem, była tylko pracą wiatraku? poruszałeś skrzydłami w tę stronę, ku której dał wicher?

— I dużo jest takich, jak ty, w nowym pokoleniu? — pytał dalej, coraz bardziej szyderczo i boleśnie? — któż dziś tworzy czoło narodu? a może obce jest wam to słowo? obchodzicie się bez niego? Idziecie ławą, jak śledzie w czasie tarcia?

Wstał ogromny, bez ruchu, tylko palce prawej ręki szarpały nerwowo klapę surduta.

— Czemże więc jesteście wy, których życie wydało? Na ustach, póki młodzi, macie płomienie, a potem co się z wami dzieje? wypalacie się? przez co? dlaczego? Co zostało z całej burzy waszego krzyku? co? powiedzcie, co?

Krzyknęliście: Wywiedziemy nową przyszłość z przemysłu. Postawiliście na ołtarzach i we wszystkich zakątkach boga handlu i wizerunki fabryk. Pomyśleliście, że trzeba zamienić się w Fenicyan, aby dojść do celu... A wicież przez co plemię Fenicyan zmarniało?

August pomyślał, że tak mogłoby stanąć przed nim jego własne sumienie w postaci ojca, i mogłoby wyrywać powoli z ciała jego żywe mięso. Nie śmiałyby się bronić.

Pan Henryk wyżej podniósł głowę.

— Zaprzędaliście siebie niekczemnościom życia. Zamiast wielkiego ukochania macie tylko miłości. Wasze ideały, to nie kochanki do grobu, ale divy błyskotliwe na dziś i na jutro — poju-

trze kolej przychodzi na nowe przelotne damy. Do wszystkiego przyłożyliście miarę miłości. I dlatego zużywacie się na nic, wypalacie się na popiół i gnijecie, jak pająki na własnych sieciach. Jesteście milion — ale każdy z osobna jest kaleką duchowym.

— Czy masz mi co do powiedzenia na to? — zapytał po chwili rozżalonym głosem.

Usiadł na tem samym miejscu. Plecami oparł się o poręcz fotelu, oczy zamknął, oddychał ciężko.

— Nic i teraz nic — odezwał się szeptem, nie słysząc odpowiedzi syna.

— Rzekłeś ojczyźnie — odrzekł August złamany i wyczerpany.

Staroświecki zegar odmierzał stłumionem tykaniem czas uciekający w przeszłość. Pan Henryk milczał i jakby zasłuchany w pochód nieustanny chwil, które jedna po drugiej mijały w nieubłaganym porządku i spokoju... Każda myśl, rzucona na fale tych sekund, uciekała z przed oczu, jak gałązka brzozy, rzucona na głęboką toń rzeki, która powoli, lecz niepowstrzymana, płynie ku morzu...

— Słyszysz Auguste — szepnął wreszcie — jak czas uchodzi w wieczność dokonaną? razem z nim wszystko ulatuje i to, co się stało przez nas i to, co zmarniało przez nas, i to, co niespełnionem zostało... tak może upłynąć czyjś żywot od kolebki do grobu... fale unoszą wszystko w przeszłość.

— Zawiodłem się na tobie — rzekł w końcu i zamilkł. Siedział nieruchomy. Mogłoby się zdawać, że życie z niego uszło. Ale z pod powiek wysunęły się ciężkie łzy, które zawisły na powiekach, długo wając się, póki nie spłynęły po twarzy.

August pasował się ze wzruszeniem, które go ogarniało. Jakaś siła przemożna podnosiła go z miejsca i ciągnęła ku ojcu. Nareszcie zerwał się i przypadł mu do kolan. Położył głowę na dłoniach zimnych, wyschłych. Stłumiony jęk wydierał się z jego piersi.

Pan Henryk pochylił się nad nim.

— Przyszedłeś do mnie — mówił cicho — po tylu latach ze łzami zamiast z pocieszeniem. Na co obróciłeś wolność, którą ci dałem? Ku czemu służyła ci niezależność, którą ci dałem?

— Winien jestem, po tysiąc razy winien jestem — odpowiadał August — nie mam nic, coby mię mogło tłómaczyć.

Usta pana Henryka zadrżały.

— Biedna twoja matka — wyszeptał — przed śmiercią ucałowała cię w kolebce i życzyła ci, abyś był żołnierzem, gdziekolwiek życie cię postawi.

W piersiach Augusta pękła ostatnia obojętna struna. Serdeczny płacz targał nim do głębi. Ze łzami spływał nieukojony żal, ból i wstyd.

W czerwonym blasku krwi stanęła mu w oczach jego idylla nadmorska. Kuszące oczy Kamy świeciły, jak rozżarzone węgle przez tę czerwień... przypomniły mu się nieprzespane noce w czasie których wił się w torturach pożądania.

— A sięgnij jeszcze dalej w przeszłość — szepnął w nim głos wewnętrzny.

Zamknął oczy. Usta wykrzywiły mu się skurczem goryczy i przykrości.

Przez wyobraźnię jego gnały jakieś postacie kobiece, niesione wichrem pamięci, a każda miała inne włosy i kształt, i oczy, lecz wszystkie miały czerwone, rozchylone pragnieniem usta.

Każdej z nich poświęciłeś cząstkę swoich najdroższych uniesień — jęczały w nim jakieś rozżalone echa, które zrywały się coraz liczniejsze i bardziej śmiałe.

Otworzył oczy przestraszony. Nad nim pochylała się, oświecona blaskiem żółtawym lampy, twarz stroskana ojca. W gardle dusił go straszliwy ryk, który chciał wybuchnąć.

— Zmarnowałeś życie — krzyczała czereda widm surowych, które hulały po kątach pokoju i wyciągały ku niemu ręce.

— Byłeś jak ta brudna piana na falach morskich, którą tuli się do skał wybrzeżnych, bo ma strach przed ogromem.

Nie jak ptak szybowałeś po przestrzeniach wolnych, ale byłeś jak pył nikczemny, który deszcze wdeptały w ziemię...

— Imię twoje jest nic...

August otworzył szeroko oczy.

— Ciągnij go za włosy po ostrych kamieniach i po ostach, bo ducha wielkiego był, a upodlił się i zmarniał i nie dokonał niczego...

— Ojczy — krzyknął August.

Czuł, że setki zakrzywionych piszczeli sięga po jego głowę z mrocznych kątów pokoju. Skurczył się i drżał jak w febrze.

Pan Henryk położył ręce na jego głowie.

— Idą na mnie! ratuj — ciągną mnie za włosy — krzyczał August i zerwał się, jak szalony. Jednym skokiem znalazł się na sofie i weisnął się w kąt.

— Upamiętaj się — wołał pan Henryk zdumiony — upamiętaj się. Jesteś razem ze mną. Co tobie się przywidziało?

August spojrzał przytomnie. Widma zniknęły. Zakrył twarz rękami.

Pan Henryk usiadł obok niego smutny i zboląły.

— Nerwy panują nad Tobą — rzekł po chwili — to źle Auguste. Zglądaj częściej do mnie... może tu uspokoisz się prędzej, niż gdzieindziej... może usta twojej matki powiedzą ci rzeczy, których nikt ci powiedzieć nie zdoła.

August podniósł rękę ojca do ust i długo trzymał ją przy rozpalonych ustach.

-- Pamiętaj — mówił dalej pan Henryk — że wzięliśmy się z przeszłości i dla tej przeszłości winniśmy budować doskonalszą przyszłość. Kto z nas wie, jak dokona się nasze odrodzenie -- czy tak, jak przeszłość myślała, czy w innej, szlachetniejszej formie. Ale nikomu z nas nie wolno rąk opuszczać... Pamiętaj o tem, że nasza przeszłość fanatycznie łaknęła wschodu słońca... Nie wahała się nawet życia dawać i krwi... Czy trud jej ma iść na marne?

— Zglądaj do mnie — prosił dalej — a kiedy cię opadnie niechęć i zgorzknienie, przyjdź i dotknij się tej wiaźanki cierni, która wisi pod portretem twojej matki. Wstążka, która je wiąże, w krwi była zmaczana tych, którzy łaknęli wschodu słońca...

Umilkł i pochylił głowę...

August siedział nieruchomo, patrząc przez łzy na portret matki. Pomyślał, że pewnego wieczoru, kiedy wróci złamany do pokoju ojca, na cierniach ukażą się czerwone rubiny krwi...

D-R T. KONCZYŃSKI.

Sztuka a iluzya.

Cechą charakterystyczną metafizyki od czasów najdawniejszych było dążenie do wyprowadzenia całokształtu zjawisk z jednej zasady. Dążenie to da się dostrzedz zarówno u najstarszych filozofów jońskich, jak i u filozofów wieku XIX — i przekonanie, że jedynie objaśnienie z jednej zasady jest w stanie dać zupełne rozwiązanie, zapuściło w umysłach ludzkich korzenie tak głęboko, że bywa nawet przez tych podzielane, którzy o metafizyce niewiele wiedzą lub też nie chcą o niej wiedzieć.

I.

I w estetyce, uważanej dziś jeszcze przez niektórych uczonych za część integralną filozofii, pogląd ów był podzielany przez wielu. Do badaczów tego rodzaju należy też profesor uniwersytetu w Tybindze, Konrad Lange. Założeniem jego wielkiego dwutomowego dzieła¹⁾ jest twierdzenie, dla autora zrozumiałe samo przez się, że wystarcza znaleźć jedną, jedyną cechę, odróżniającą wszelkie przeżycie estetyczne od każdego innego stanu psychicznego, aby rozwiązać wszystkie zagadki estetyczne. Znalazłszy ową cechę, jesteśmy w posiadaniu tej differentia specifica, która nadaje piętno charakterystyczne wzruszeniom estetycznym. Ze twierdzenie powyższe jest zasadniczym założeniem Langego,

¹⁾ Das Wesen der Kunst. Grundzüge einer realistischen Kunstlehre. Berlin, 1901.

dowodzą jego wywody, iż każde zadowolenie estetyczne jakiegokolwiek bądź treści jest zawsze skutkiem tej samej przyczyny. Przyjemność, sprawiona nam przez utwory artystyczne, jest w rzeczywistości zawsze identyczna, i rzekome różnice, znajduwane jakoby w rozmaitych dziedzinach sztuki, nie są więc różnicami natury estetycznej. Ow proces duchowy, stanowiący powyższą „differentiam specificam“ wzruszenia estetycznego, jest bezpośrednią przyczyną rozkoszy. „Należy sobie uprzytomnić — twierdzi Lange — że przyczyną owego procesu duchowego nie jest ta czy inna treść, lub ta czy inna forma, lecz pewien określony stosunek pomiędzy treścią i formą z jednej strony, a pewnemi wyobrażeniami, znajdującemi się w świadomości jednostki podczas trwania wzruszenia estetycznego, z drugiej strony. Zwolennik klasycyzmu i naturalizmu rozkoszują się sztuką nie w różny sposób, lecz wnoszą z sobą inną treść świadomości wobec tego, że jeden ma to, drugi zaś inne wyobrażenie o przyrodzie. Z tego też wynika, że dzieła sztuki, przez nich za piękne uznane, muszą posiadać różną treść i formę, gdyż każdy z nich wymaga od utworu, aby odpowiadał jego własnym wyobrażeniom o przyrodzie. To oczywiście nie dowodzi, że proces duchowy, który w nich zachodzi podczas wzruszenia estetycznego, jest różny. Jakkolwiek części mogą być rozmaite, stosunek jednak pomiędzy temi rozmaitemi częściami może być zupełnie ten sam.“

Z założenia tego wypływa więc, że przyczynę zadowolenia estetycznego stanowi nie forma lub treść dzieła sztuki, lecz pewna swoista, odrębna forma procesu duchowego. Teoryę tego rodzaju, kładącą nacisk na *formę przeżyć*, możemy nazwać formalizmem psychologicznym, którego nie należy mieszać z tak zwaną „estetyką formalną“, stwierdzoną przez filozofa niemieckiego Herberta i jego szkołę (Robert Zimmerman, Hanslick i inni).

Na czem więc polega według Langego owa różnica pomiędzy przeżyciem estetycznym, a wszelkiem innym? Jak się nazywa ów proces, owo przeżycie, dzięki któremu da się odróżnić prawdziwe dzieło sztuki od jego surogatów, a więc od figur woskowych w panopticum, od kinematoskopów, tworców sztuki kulinarnej i t. d.? Różnica ta, twierdzi Lange słusznie, nie polega na różnicy pomiędzy zjawiskami psychicznymi a zmysłowemi, gdyż i zjawisko zmysłowe jest zjawiskiem psychicznem. Otóż — *iluzja* jest tem wielkiem słowem, które oznacza różnicę pomiędzy wszelką sztuką a tem, co nią nie jest. Iluzja, złudzenie jest ową jednolitą zasadą, która zaciera wszelkie różnice pomiędzy dziełami sztuki, należącemi do najróżnorodniejszych dziedzin. Lange obja-

śnia to na przykładzie. Portret Velasqueza, przedstawiający króla hiszpańskiego, Filipa IV na koniu i jeździec cyrkowy mają z sobą wiele wspólnego. A jednak wrażenie, jakie na nas wywierają, nie jest jednakowe. Jedyne portret sprawia nam trwałe zadowolenie, gdy tymczasem jeździec cyrkowy jest w stanie zająć nas co najwyżej tylko powierzchownie. „Cała różnica,“ powiada Lange, „polega na tem, że jeździec namalowany jest *tylko* namalowany, to znaczy martwy, jeździec zaś rzeczywisty jest przeciwnie żywy. Otóż zdawałoby się, co prawda, że jeździec żywy ma więcej danych do podobania się, gdyż oczywiście w warunkach normalnych twory żywe podobają nam się bardziej, niż rzeczy martwe, ruch bardziej, niż brak ruchu. Z tego wyciągam wniosek, że bezpośrednią przyczyną naszego zadowolenia estetycznego jest nie treść postrzeżenia zmysłowego, tu—obraz, tam—jeździec, lecz raczej proces duchowy, dołączający się do owego postrzeżenia zmysłowego. Ten proces duchowy jest w obu wypadkach rozmaity, gdyż patrząc na portret, wyobrażamy sobie, że jeździec żyje, przeobrażamy martwego jeźdźcę w żywego.“ Zadowolenie estetyczne według Langego polega jedynie na stopniu i sile iluzji, jaką nam artysta w dziele sztuki narzuca.

Lecz iluzja ta, w danym razie iluzja wyobrazeniowa, złudzenie to jest zupełnie odrębne i swoiste. To nie zwykłe złudzenie, będące źródłem wielu gorzkich rozczarowań w życiu codziennem, a powstające wtedy, gdy wierzymy w rzeczywistość czegoś, co rzeczywistością nie jest. Iluzja jest zazwyczaj skutkiem omyłki subiektywnej, naszej własnej, lub też oszustwa innych. Iluzja artystyczna jest iluzją zupełnie innego rodzaju, jest „świadomem samo-złudzeniem.“ Jednostka, rozkoszująca się dziełem sztuki, ma w świadomości swej nietylko treść iluzji, lecz i fakt iluzji, jako taki. Iluzja więc estetyczna w porównaniu z iluzją zwykłą jest o cały proces duchowy bogatsza: jednostka mianowicie *wie*, że podlega iluzji. Lange twierdzi z naciskiem, że podczas zadowolenia estetycznego mamy w świadomości jednocześnie dwa szeregi wyobrażeń, gdyż po pierwsze, zdaje się nam, że iluzja ta jest rzeczywistością, po drugie zaś, uświadamiamy sobie, że iluzja ta jest iluzją. Lange zapewnia w tem miejscu, że chodzi tu o „jak-najdokładniejszy psychologiczny opis jaknajwyraźniejszego procesu duchowego.“

Jeżeli zadowolenie estetyczne polega na iluzji, powstaje pytanie, dlaczego w warunkach normalnych dzieło sztuki nie wywołuje w nas iluzji zwykłej, najpowszedniejszej. Co czyni iluzję tę iluzją świadomą? Przez co jest uwarunkowana owa świa-

doma iluzja? Przez czynniki, przeszkadzające iluzji, przez czynniki, iluzję tę niweczące—brzmi odpowiedź. Dzięki tym właśnie czynnikom, złudzenie zwykle staje się złudzeniem świadomem, dzięki nim właśnie odróżniamy zadowolenie estetyczne od pospolitej iluzji. Do tych czynników, przeszkadzających iluzji, należą według Langego w malarstwie—rama obrazu, jego dwuwymiarowość, bezruch; w plastyce—cokół, brak ruchu i barwy; w sztuce aktorskiej—fakt kupna biletu przy kasie, podwyższenie widowni w porównaniu z salą, w której znajdują się widzowie; podczas czytania—czarne litery na białym papierze sam proces czytania i przewracania kartek; podczas słuchania muzyki — symboliczne przedstawianie wyrazu uczuć, ruchy muzyków, całe otoczenie sali koncertowej i t. d. W tem miejscu zauważymy jedynie, że to powoływanie się na czynniki, niweczące iluzję, doskonale nadaje się do zniweczenia iluzji jej autora, co do wartości jego teorii.

Przyjrzyjmy się dokładniej iluzjom, warunkującym zadowolenie estetyczne. Lange odróżnia trzy rodzaje iluzji: po pierwsze iluzję wyobrazeniową, po drugie iluzję uczuciową i nastrojową, po trzecie iluzję ruchu i siły. O iluzji pierwszego rodzaju—wyobrazeniowej była już mowa, gdyśmy dawali ogólną charakterystykę iluzji estetycznej. Ten rodzaj iluzji nie sprawił autorowi wielkich kłopotów, gdyż w tem miejscu nawiązuje on swoje teorie do popularnych, a zarazem błędnych poglądów o związku pomiędzy naśladownictwem a sztuką. Dla malarstwa i rzeźby może pogląd ten posiadać na pierwszy rzut oka pewien cień prawdopodobieństwa. Jak to często bywa, tak i tu cecha poboczna została wzięta za istotną. Jeżeli niektóre rodzaje dzieł sztuki zgadzają się pod względem treści z rzeczywistością, to jest to jedynie uwarunkowane tem, że nasz zasób wyobrazeniowy nie jest nieograniczony. W dziedzinie wyobrażeń wzrokowych nie jesteśmy w stanie stwarzać zupełnie nowych treści, możemy jedynie kombinować pierwiastki, spotykane w rzeczywistości i dlatego też artysta musi czerpać materiał swój ze świata rzeczywistego. Że nie jest to jednak bezwarunkowo konieczne, i że z tego punktu widzenia zgodność sztuki z rzeczywistością jest raczej przypadkowa, dowodzą muzyka i architektura. W przyrodzie nie spotykamy czystych dźwięków, które, jak wiadomo, stanowią materiał surowy muzyki, ani ich kombinacji, lecz jedynie szmery, których charakter, wysokość i natężenie nie da się określić. W dziedzinie wyobrażeń słuchowych, w świecie tonów, twórczość nasza ograniczona nie jest właśnie z tego powodu, że świat zewnętrzny nie narzuca nam swych wzorów. To też nikomu nie

wpadnie na myśl twierdzić poważnie, że nokturn Chopina lub kwartet Beethovena są kopiami jakichś oryginałów. To samo da się powiedzieć i o architekturze.

Langemu jednak ów cień prawdopodobieństwa wystarcza najzupełniej, aby skonstruować dowód iluzji wyobraźniowej. Jak będzie jednak z temi dziedzinami sztuki, w których o naśladownictwie mowy być nie może, a więc z poezją, muzyką, architekturą? Lange stara się sobie pomóc przez zwrócenie uwagi na fakt, że dla wywołania iluzji nie jest potrzebna zupełna zgodność dzieła sztuki z rzeczywistością, lecz że i sztuki, polegające na naśladownictwie, od rzeczywistości się oddalają—dzięki np. stylizacyi. Jeżeli więc, twierdzi Lange, możliwą jest iluzja w dziedzinach sztuki, oddalających się od rzeczywistości, to jest ona też możliwa i w tych dziedzinach, które na naśladownictwie nie polegają. Niedostateczność tego objaśnienia uderza nas odrazu. Lange nie dowiódł tem wcale możliwości iluzji w sztukach, na naśladownictwie nie polegających, lecz nawet zachwiał dowód możliwości iluzji w sztukach rzekomo naśladowczych. Gdyż natychmiast powstaje pytanie, dzięki czemu—to malarstwo i plastyka, pomimo oddalenia się od natury, jest w stanie wywołać w nas iluzję. Lange trudności tej nie spostrzega i możliwość iluzji w malarstwie i plastyce jest dlań wyniesiona po nad wszelkie wątpliwości.

Użyję w dziedzinach sztuki, nie polegających na naśladownictwie, zalicza Lange po części do iluzji wyobraźniowych. „Wyobrażać sobie,“ powiada Lange, „można najrozmaitsze rzeczy, formy, barwy, ruchy, czyny, charaktery, wyrazy uczuć i t. d.“ Po części da się więc iluzja uczuciowa, według Langego, sprowadzić do iluzji wyobraźniowej, ponieważ, wprowadzeni, że tak powiemy, w błąd przez wyrazy uczuć, przypisujemy postaciom, stworzonym przez artystę, uczucia i nastroje, jakich te, oczywiście, nie posiadają. Powtóre, co ważniejsza, przypisujemy sobie podczas zadowolenia estetycznego uczucia i nastroje, których też, według autora, w rzeczywistości nie posiadamy. Ten rodzaj iluzji uczuciowej nie da się już sprowadzić do iluzji wyobraźniowej. „Polega ona na tem, że wmawiamy w siebie, iż odczuwamy coś, czego w rzeczywistości nie odczuwamy wcale.“ „Podobnie, jak mogę sobie wyobrazić, że widzę coś, czego w rzeczywistości nie widzę, mogę sobie wyobrazić, że coś odczuwam, czego w rzeczywistości nie odczuwam.“

Lange posługuje się w tem miejscu pojęciem, które do współczesnej psychologii i estetyki psychologicznej wprowadziło

wiele zamętu, mianowicie pojęciem wyobrażenia uczucia (Gefühlsvorstellung). Uczucie może według Langego posiadać rozmaite stopniowania. Weźmy przykład: gdy widzę, że ktoś dręczy mego ulubionego psa, powstaje we mnie silne uczucie niezadowolenia; uczucie to będzie słabsze, gdy słyszę opowiadanie przyjaciela o tem, że ten czy inny człowiek w jego obecności dręczył jego psa; jeszcze słabsze uczucie powstanie we mnie, gdy czytam w gazecie, że ktoś dręczył psa zupełnie mi nieznanego. Uczucia estetyczne zbliżają się według Langego właśnie do owego ostatniego słabego uczucia, które Lange nazywa wyobrażeniem uczuciem.

Błąd całego rozumowania polega na tem, że Lange zapomina, iż uczucie i wyobrażenie—to zupełnie różnorodne pierwiastki duchowe, że więc niemożliwem jest przejście od uczucia do wyobrażenia, gdyż najslabsze uczucie jest zawsze jeszcze uczuciem i żadnym cudem nie jest w stanie przemienić się w pierwiastek, należący do zupełnie innej kategorii przeżyć duchowych. Stopniowanie może mieć miejsce jedynie w obrębie jednolitej i jednorodnej kategorii zjawisk, nie różniących się jakościowo. Wobec tego owo „wyobrażenie uczuciowe“ nie może zajmować stanowiska pośredniego pomiędzy uczuciem z jednej strony a wyobrażeniem z drugiej—już choćby z tej prostej przyczyny, że psychologia współczesna (z wyjątkiem Ribota) przyjmuje, iż uczuciu towarzyszą zawsze bardziej lub mniej uświadomiane wyobrażenia. Dlatego też nie mamy żadnych danych, aby owe „wyobrażenia uczuciowe“ specjalnie wyróżniać i tworzyć z nich odrębną kategorię zjawisk psychicznych. O ile ktoś kładzie główny nacisk na wyobrażeniową stronę owych zjawisk, ten musi uznać je za należące do kategorii wyobrażeń, komu zaś uczuciowa strona wydaje się ważniejszą, dla tego zjawiska te będą jedynie jedną z form uczuć.

Lecz to nie wszystko. „Uczucie w pewnych okolicznościach jest w stanie zmienić zasadniczo swój charakter.“ Gdy jem poziomki, powiada autor, czucia smakowe sprawiają mi zupełnie niedwuznaczne, wyraźne zadowolenie. Gdy przypatruję się jednak poziomkom przed jedzeniem, powstaje we mnie określone uczucie zmysłowe, związane z impulsem woli. Gdy zaś widzę zamiast poziomek rzeczywistych poziomki malowane, wtedy powstaje we mnie zupełnie odmiennie uczucie zadowolenia. W tym wypadku nie powstaje w umyśle moim myśl o jedzeniu poziomek, gdyż wiem dobrze, że poziomki malowane jeść nie mogę. Skąd więc bierze się uczucie zadowolenia, pyta Lange—i odpowiada: dzięki iluzji.

Dopóki Lange stwierdza różnicę owych trzech stanów duchowych, musimy się z nim oczywiście godzić, gdyż każdy jest w stanie stwierdzić tę różnicę bezpośrednio w świadomości. Nikt nie zaprzeczy, że uczucie estetyczne podczas oglądania poziomek malowanych różni się bardzo od uczucia, jakie mamy podczas jedzenia poziomek. Lecz wniosek Langego, że uczucie zadowolenia estetycznego powstaje dzięki iluzji, jest zbyt pośpieszny. W tem miejscu mamy prawo spytać: czy rzeczywiście dzięki iluzji i dlaczego właśnie dzięki iluzji? Pytanie nasze jest całkiem usprawiedliwione, gdyż, jeżeli twierdzenie jakieś zostaje dowiedzione jedynie przez wykluczanie rozmaitych możliwości, mamy prawo i musimy wymagać, by nam dowiedziono, że wszelkie inne próby objaśnienia są niemożliwe. Gdyż nie należy zapominać, że wniosek Langego jest jedynie wynikiem czystej spekulacji. Nasze żądanie byłoby tylko wtedy nieuzasadnione, gdyby Lange bezpośrednio wykazał, że świadomość iluzji istnieje w duszy naszej podczas zadowolenia estetycznego. Jedynie w tym ostatnim wypadku byłoby zbyt żądanie wykazania *możliwości* iluzji, gdyż istnienie jest najwyższą instancją i nie potrzebuje usankcjonowania przez możliwość. Dowodzenie Langego posiada więc także luki natury czysto logicznej.

Teorię swoją stosuje Lange i do muzyki (iluzja uczuciowa) i architektury (iluzja siły i ruchu). Szczegółowiej zastanawiać się nad tem nie będziemy, gdyż zasadniczo rozdziały te, w których jest mowa o muzyce i architekturze, nie przynoszą nam nic nowego.

Słowo jeszcze o pięknie przyrody. W tej dziedzinie teoria Langego zawodzi go zupełnie. By objaśnić piękno przyrody, wzbogaca Lange psychologię zupełnie nowem pojęciem — mianowicie „odwróconej podwójnej iluzji.“ Przyroda zostaje według estetyka niemieckiego przełożona na język sztuki i wtedy dopiero powstaje rozkosz estetyczna. „Gdy rozkoszujemy się przyrodą, rozkoszy dostarcza nam nie przyroda, lecz sztuka, o której wtedy myślimy.“ Na zarzut, że wobec tego zadowolenie estetyczne, którego źródłem jest przyroda, byłoby czemś rzadkiem i wyrafinowaniem, odpowiada Lange, że estetyczne odczuwanie przyrody jest właśnie czemś rzadkiem i wyrafinowaniem.

Przejdźmy teraz do krytyki teorii „świadomego złudzenia.“

II.

Przedewszystkiem musimy teorii Langego postawić zarzuty natury czysto metodologicznej. Z faktu, że podczas oglądania figur woskowych, panoram, kinematoskopów i t. d. czujemy pewnego rodzaju niesmak i rozczarowanie, ponieważ spostrzegamy, że chciano nas przeciw naszej woli oszukać, nie należy jeszcze wyprowadzać wniosku, że podczas rzeczywistego i pełnego zadowolenia estetycznego łudzimy się świadomie i pragniemy świadomego złudzenia.

Błąd metodologiczny podobnych rozumowań polega po pierwsze na tem, że wniosek, wyciągnięty za pomocą prostej dedukcji, nie został sprawdzony doświadczalnie, po drugie—że wniosek ten został wogóle wyciągnięty. W psychologii często bywa popełniany błąd, polegający na tem, że w przeżyciach, oznaczanych nazwami, mającemi wprost przeciwne sobie znaczenie, przypuszczano też i istnienie procesów wzajemnie się wyłączających i wprost odwrotnych. Dlatego też często z istnienia pewnych procesów podczas stanów przykrości i niezadowolenia, wnioskowano o istnieniu podczas stanów rozkoszy i przyjemności procesów wprost odwrotnych i przeciwnych. Tak naprzykład przypisywano w dawniejszych podręcznikach estetyki niemieckiej, wielkie znaczenie starej zasadzie „jedności w wielości“ (Einheit in der Mannigfaltigkeit). Argumentowano w sposób następujący. Gdy mamy przed sobą dzieło sztuki, w którem części nie są z sobą spojone i nie tworzą jedności, odczuwamy niezadowolenie i dzieło sztuki nam się nie podoba. Niezadowolenie, wypływające z owego źle spojonego i źle zbudowanego dzieła sztuki, da się z łatwością stwierdzić w naszej świadomości; jest ono faktem psychicznym. Otóż, ponieważ w tym wypadku, wada owa, wynikająca z braku jedności, jest empirycznie stwierdzoną przyczyną niezadowolenia, przypuszczano, że w wypadku zadowolenia estetycznego przyczyną tego zadowolenia jest coś psychologicznie wprost przeciwnego, mianowicie jedność w wielości, jakkolwiek podczas analizy psychologicznej nie znajdujemy w świadomości nic, coby owej wielości w jedności odpowiadało. Błąd ten popełnia nawet genialny założyciel estetyki psychologicznej i eksperymentalnej w Niemczech, Gustaw Teodor Fechner. ¹⁾ Oczywiście

¹⁾ Bardziej szczegółowo poglądy Fechnera zostały przedstawione i skrytykowane w mojej pracy eksperymentalnej p. t. „Über das Wohlgefallen ein-

nie mówimy tu o rzadkich względnie wypadkach, gdy owa jedność κ wielości może być stwierdzona psychologicznie, jako przyczyna działająca—uczucie jednak, odpowiadające jej, nie jest uczuciem estetycznym, lecz umysłowem, intelektualnem, lub podług terminologii Jodla „formalnym,” to znaczy uczucie to jest związane nie z *treścią* dzieła sztuki, lecz zawdzięcza swe powstanie jedynie przebiegowi, formie lub stosunkowi wzajemnemu wyobrażeń, które się na daną treść składają. Uczucia formalne występują naprzykład wtedy, gdy czytamy książkę naukową, w której wnioski zostały wyprowadzone przejrzysto i logicznie, lub też zawile i niezrozumiale, gdy stwierdzamy zgodność lub sprzeczność wyobrażeń i sądów i t. d. Wtedy uczucie związane jest nie z treścią oddzielnego wyobrażenia, lecz wypływa ze stosunku, w jakim do siebie wyobrażenia te stoją. Uczucia te, jak to widać z powyższego przykładu, dają się skonstatować w stanach, nie mających nic wspólnego z rozkoszą czysto estetyczną.

Przykład rzecz tę wyjaśni dokładniej. Gdy słyszymy utwór muzyczny, w którym części źle są z sobą spojone i nic z sobą wspólnego nie mają, w którym zmiana tempa i tonacji nie są artystycznie umotywowane, a tematy tworzą mechaniczny zlepek, odczuwamy niezadowolenie i niezadowolenie to po części należy przypisać wyżej wzmiankowanym wadom, mianowicie brakowi jedności. Gdy jednak czytamy drobny utwór liryczny, naprzykład „Smutno mi, Boże!” Słowackiego, lub gdy słuchamy „Marzenie” Schumanna, lub preludjum Chopina, nie znajdujemy w świadomości absolutnie nic, co by odpowiadało owej jedności w wielości.

W wypadkach podobnych zapominało często, że stany psychiczne, składające się na rozkosz estetyczną i niezadowolenie estetyczne, nie muszą koniecznie zawierać w sobie pierwiastków wprost sobie sprzecznych. Oba te stany należy zanalizować dokładnie, każdy oddzielnie i wykazać, że pierwiastki, tworzące każde z tych przeżyć, istnieją w świadomości, jako *causae verae*, a nie tylko jako *causae fictae*. Jest to zasadniczy postulat metodologiczny badania naukowego, sformułowany jeszcze w wieku siedemnastym przez Galileusza — gdy tymczasem psychologowie współcześni często o nim zapominają.

facher räumlicher Formen.“ Eine psychologisch-aesthetische Untersuchung, zamieszczonej w „Archiv für gesamte Psychologie.“ Tom VII, zeszyt I. Porówn. Rozdział I: „Fechners Voraussetzungen und Resultate.“

Ten błąd metodologiczny popełnił właśnie Konrad Lange. Z faktu, że podczas oglądania panoram, kinematografów, figur woskowych i t. d. odkrycie zamierzonego z góry przez innych „nieświadomego“ złudzenia, obliczonego na to, że nie spostrzeżemy go, wywołuje w nas niesmak i niezadowolenie, wyprowadza Lange niczem nie umotywowany wniosek, że podczas rozkoszy estetycznej musi mieć miejsce coś wprost odwrotnego, a mianowicie, że łudzimy i oszukujemy się zupełnie świadomie.

Dalszy błąd metodologiczny teorii Langego polega na tem, że w celu objaśnienia wielce złożonego mechanizmu rozkoszy estetycznej, posługuje się on pojęciem złożonym i nie zanalizowanym uprzednio, zamiast starać się przedewszystkiem rozłożyć ów wielce skomplikowany stan na pierwiastki składowe, co wszak stanowi zasadnicze zadanie każdego objaśnienia psychologicznego. Świadome samozłudzenie, świadoma iluzja — nie jest to pojęcie psychologicznie proste i jednoznaczne.

Co rozumiemy przez pojęcie iluzji? Przez iluzję rozumiemy taki stan psychiczny, w którym nasze postrzeżenie zmysłowe nie odpowiada obiektywnie danemu stanowi rzeczy. Gdy po cienku w lesie bierzemy pień za człowieka, mówimy o iluzji. Powstaniu iluzji sprzyjają niewyraźne wrażenia zmysłowe, zmęczenie uwagi, ogólny stan nastrojowy, obawa, przestraszanie, zażycie alkoholu i t. d. Wtedy *wyobrażenia odtworzone*, znajdujące się w „ognisku“ świadomości, uzyskują większą siłę, opanowują obiektywne czynniki postrzeżenia zmysłowego, wskutek czego te ostatnie zostają zasymilowane przez pierwsze, grające w postrzeżeniu większą rolę. Jeżeli przyczyna iluzji tego rodzaju leży jedynie *w nas samych*, jeżeli iluzja nie była przygotowana przez kogoś innego, nic nam nie przeszkadza nazwać ją samozłudzeniem. Jako przeżycie, jako stan psychiczny jest ona oczywiście, jak wogóle każdy stan psychiczny, świadoma; bezwiedną jest tylko w tem znaczeniu, że my o niej jako o iluzji nic nie wiemy, że nie zdajemy sobie sprawy z tego, iż mamy do czynienia z iluzją. Taki wypadek iluzji nazywa Lange samozłudzeniem bezwiednym.

Co należy rozumieć wobec tego przez pojęcie samozłudzenia świadomego? W życiu potocznym mówimy o iluzji świadomej wtedy, gdy przynajmniej częściowo jest ona związana z naszymi życzeniami i wolą. Gdy oczekujemy jakiegoś zdarzenia, którego przebiegu i wyniku nie znamy, jesteśmy raczej skłonni wyobrażać sobie ów wynik w barwach jasnych i różowych, gdyż przenosimy radość nad smutek. Gdy zaś jesteśmy w stanie przewidzieć zdarzenie nieprzyjemne, wolimy i wtedy nie dopuszczać do siebie

myśli ponurych, a przeciwnie zwrócić swoją wyobraźnię ku myślom pogodnym i radosnym. Staramy się wtedy samych siebie przekonać, że oczekujące nas zdarzenie będzie miało przebieg bądź co bądź pomyślny, aczkolwiek doskonale zdajemy sobie sprawę z tego, że większe prawdopodobieństwo ma za sobą coś wręcz przeciwnego. W takich razach mówimy o samozłudzeniu świadomem. Z punktu widzenia psychologicznego, jednak, wyrażenie to nie jest ściśle. Oznacza ono jedynie, że wyobrażenia o zabarwieniu nieprzyjemnem ustępują kolejno miejsca wyobrażeniom o zabarwieniu przyjemnem, że te ostatnie przeważają i że nasza wola kieruje nimi. Bardziej prawidłowo należałoby wyrazić się, że jest to samozłudzenie świadome, lecz że chce ono być bezwiednem, chce byśmy o niem nie wiedzieli. Z punktu widzenia ściśle psychologicznego „samozłudzenie świadome“ nie jest niczem, jest jedynie błędną terminologią. Lub jest ono samozłudzeniem bezwiednem (lecz nie nieświadomem!). *Coś trzeciego nie istnieje.*

Lange twierdzi, że w rozkoszy estetycznej znalazł właśnie to coś trzeciego. Rozpatrzmy się w tem dokładniej. To coś trzeciego, znalezione jakoby przez Langego w rozkoszy estetycznej, może być podawane w myśl autora niemieckiego albo za proces o właściwościach swoistych i odrębnych, jako zjawisko specyficznie estetyczne—wtedy jest ono psychologicznie błędne i niedopuszczalne; lub też, o ile zechcemy pojęcie iluzji brać w znaczeniu ściśle psychologicznem, wtedy oznacza ono zjawisko ogólne, złączające się w życiu potocznem, a więc nic takiego, co by było swoistą cechą przeżyć jedynie estetycznych. Już bardzo dużo daje do myślenia i wydaje się podejrzanem dla psychologa przypuszczenie, że istnieją specjalne procesy psychiczne, wychodzące na jaw jedynie podczas stanu estetycznego. Im bardziej zagłębialiśmy się w analizę psychologiczną i im gruntowniej poznajemy życie duszy, tem bardziej przychodzimy do przekonania, że różnice, jakie w niej znajdujemy, dadzą się sprowadzić do różnic jedynie ugrupowania, spojenia i połączenia pierwiastków psychicznych. Dusza nie jest komodą o pewnej ilości szuflad, z których każda zawiera pewien odrębny proces, jakiego nie spotykamy w innej. Przeciwnie, każde zjawisko duchowe—to przecięcie całej naszej indywidualności. „Świadoma iluzja“ Langego i jego „iluzja odwrócona“—to właśnie owe szuflady. Wskutek tego pojęcia te sąsiadują bezpośrednio z dawno już pogrzebanymi teoryjami psychologii ośmnastego wieku o „władzach duszy“—sąsiedztwo dla psychologa współczesnego nie zaszczytne.

Krytyka powyższa teorii Langego, z punktu widzenia metodologicznego, prowadzi nas bezpośrednio do krytyki psychologicznej.

III.

Iluzja świadoma tworzy według Langego istotę owego procesu psychicznego, dzięki któremu powstaje rozkosz estetyczna. Lecz jeżeli tak jest w rzeczywistości, jeżeli iluzja owa jest „świadomą“ (w znaczeniu, jakie pojęciu temu przypisuje Lange), to powinniśmy *podczas* rozkoszy estetycznej coś o niej *wiedzieć*. Musielibyśmy wcióż mieć w świadomości naszej myśl, że podczas rozkoszowania się dziełem sztuki nie mamy do czynienia z rzeczywistością. Lange też to twierdzi. Otóż przedewszystkiem musimy zaznaczyć, że twierdzenie to jest zupełnie błędne i bezpodstawne, gdyż świadomość złudzenia lub myśl o iluzji *podczas* zadowolenia estetycznego w nas zupełnie nie powstaje. Gdy słuchamy Scherzo H-moll Chopina, gdy czytamy Króla-Ducha, lub patrzymy na Szał Podkowińskiego, *nie myślimy* o złudzeniu. Prawdziwa rozkosz i kontemplacja estetyczna polegają raczej na tem, że jesteśmy jedynie oddani treści dzieła sztuki, jesteśmy przez nie całkowicie pochłonięci i właśnie nie odtwarzamy żadnych związków treści dzieła sztuki z rzeczywistością. Wtedy o naszej zwykłej, codziennej rzeczywistości wcale nie myślimy, — myśl o niej nie ma do nas przystępu, gdyż nie rzeczywistość nas wtedy obchodzi, lecz właśnie dzieło sztuki. Gdy jesteśmy wzruszeni Scherzem H-moll lub pochłonięci Szalem Podkowińskiego, nie zadajemy sobie wcale pytania, czy też uczucia, wyrażone w nich, były w rzeczywistości przez kogokolwiek przeżywane, lub też, czy my te uczucia mamy w rzeczywistości, czy też się tylko ludzimy — nie, wtedy całe pole świadomości naszej jest wypełnione jedynie tem, co dzieło sztuki wyobraża i uczuciami, które w nas wywołuje. Zdaje mi się, że przyczyny błędnego twierdzenia Langego należy szukać w jego błędnych poglądach na istotę rzeczywistości. Pojęcie rzeczywistości jest u Langego za ciasne, nie psychologiczne. Lange, zdaje się, zna tylko jeden jedyny rodzaj rzeczywistości — tej mianowicie, gdzie przedmiot, będący treścią postrzeżenia jednego zmysłu, otwiera nam długą perspektywę postrzeżeń innych zmysłów, lub, wyrażając się słowami J. S. Milla, gdzie mamy do czynienia z łańcuchem „stałych i ciągłych możliwości wrażeń,“ gdy tymczasem we wrazeniu estety-

cznem mamy do czynienia jedynie z czynnością postrzeżeniową tych zmysłów, do których zwraca się dzieło sztuki, a więc podczas słuchania muzyki—z postrzeżeniami tonów, podczas oglądania obrazów i rzeźb—z postrzeżeniami wzrokowymi i t. d. O ile z punktu widzenia teorii poznania rozróżnianie pomiędzy owymi dwoma rodzajami rzeczywistości ma znaczenie i przedstawia dla nas pewną wartość, nie ma ono z psychologicznego punktu widzenia absolutnie żadnego sensu. I podczas rozkoszy estetycznej mamy do czynienia z rzeczywistością, lecz z rzeczywistością inaczej ukształtowaną, z rzeczywistością, posiadającą pewne charakterystyczne cechy, lecz która pomimo to rzeczywistością być nie przestaje.

Oczywiście mogę dzięki całemu szeregowi wielu doświadczeń dojść do wiedzy, że w porównaniu z naszą codzienną „prawdziwą“ rzeczywistością świat sztuki jest inaczej ukształtowany, t. j. że dzieło sztuki, wobec którego mogłaby być mowa o złudzeniu np. wobec rzeźby nie posiada wielu własności i cech, jakie posiadają przedmioty, które owemu dziełu sztuki w rzeczywistości codziennej „odpowiadają.“ A więc mogę *wiedzieć* o posągu, że nie jest on prawdziwym człowiekiem, że nie jest w stanie poruszać się i mówić, lecz z zadowoleniem estetycznym nie ma ów zasób wiadomości nic wspólnego, zupełnie tak samo, jak nie mają z niem nic wspólnego wiadomości, z jakich pierwiastków chemicznych składa się dany posąg, lub też ile on kosztuje. Są to wszystko wiadomości, które zebrałem nie podczas stanu estetycznego i które się nie przyczyniają wcale do spotęgowania go. Przeciwnie, myśli takie i uświadamianie sobie tego rodzaju wiadomości, skądinąd może nawet niekiedy bardzo pożytecznych, niewczą raczej kontemplację estetyczną. Są to stany pozaestetyczne.

Celem dowodzenia naszego było po pierwsze zaprzeczenie twierdzeniu Langego, jakobyśmy podczas zadowolenia estetycznego znajdowali w świadomości myśl o „świadomem samozłudzeniu“ i wykazanie, że myśl ta podczas prawdziwej rozkoszy estetycznej nie ma do nas żadnego dostępu; po drugie—przez zestawienie owej rzekomej iluzji z innymi myślami pozaestetycznymi dowiedzenie, że iluzja, jak i inne myśli pozaestetyczne, jest najwyżej w stanie rozkosz estetyczną zniweczyć.

Oprócz tego możemy jeszcze, po trzecie, wykazać, dlaczego podczas prawdziwej rozkoszy estetycznej, a więc podczas kontemplacji dzieła sztuki, czy też przyrody, myśl o „świadomej iluzji“ nie ma do nas żadnego przystępu. Aby to wykazać, rozpatrzmy pokrótce psychologicznie stan estetyczny.

Gdy zbliżamy się do dzieła sztuki, stan naszej świadomości znajduje się w pewnego rodzaju przygotowaniu, „nastawieniu,“ gotowością do ujęcia piękna. ¹⁾ Wtedy plan główny naszej świadomości zostaje opanowany tylko przez takie wyobrażenia, które stoją w związku z bezpośrednio przez nas oczekiwanem zadowoleniem estetycznym. Dzięki temu jesteśmy łatwiej dostępni oddziaływaniu dzieła sztuki. Przecięcie poprzeczne duszy naszej, jej stan ogólny, jest inny, jest zabarwiony innym nastrojem, gdy zamierzamy przeczytać poemat liryczny i inny, gdy postanawiamy studyować poważne dzieło naukowe. Z tego powodu mówiono słusznie o apercypcy estetycznej. Przez te niejasne tendencje wyobrazeniowe i uczuciowe stanu przedestetycznego zostajemy wprowadzeni w właściwy stan estetyczny. Postrzeżenie zmysłowe, a więc treść zmysłowa tego, co dzieło sztuki zawiera, wywołuje w nas określone „masy wyobrazeniowe“ i odtwarza je; wyobrażenia te i uczucia zlewają się, spajają i stapiają z danymi zmysłów i tworzą razem jednolitą i niepodzielną całość. Owe wywołane i odtwarzane wyobrażenia znajdują się w jaknajściślejszym związku z tą treścią, jaką odbieramy przez zmysły; treść ich jest przez dane zmysłowe wyznaczona i określona. W ten sposób następuje pewien wybór wyobrażeń, mniej lub więcej określony, zależnie od dziedziny sztuki. Wyobrażenia te podczas stanu estetycznego zajmują plan główny świadomości i wskutek tego powstaje tak zwane względne zwięźenie świadomości (Enge des Bewusstseins). Wszelkie wyobrażenia o innej treści i innym charakterze zostają usunięte i rzeczy można, że świadomość znajduje się wówczas w stanie ograniczenia pod względem możliwości kojarzeń i odtwarzań dzięki właśnie owym danym zmysłowym, zawartym w dziele sztuki. Stan taki pod względem formy można do pewnego stopnia porównać ze stanem, w jakim się znajdujemy, gdy z wielce natężoną uwagą oddajemy się jakiemukolwiek zajęciu, lub z sugestją, z tą różnicą oczywiście, że podczas rozkoszy estetycznej brak owego poczucia czynności i wysiłku, charakteryzujących uwagę.

Ponieważ w sztuce dane nam są jedynie formy, barwy, dźwięki i t. d., jest więc jasne, że wyobrażenia, wywołane i odtwarzane, mogą odnosić się jedynie do owych danych zmysłowych, przez które były wywołane i że tylko takie wyobrażenia zostają odtwo-

¹⁾ Porówn. moją wyż. cytowaną rozprawę: Rozdział IV: „Aesthetische Einstellung.“

rzony, które są w stanie zlać się i stopić w jednolitą i nierozdzielalną całość z treścią odbieraną przez zmysły. Powyżej opisane zwięźlenie świadomości nie pozwala nam poprostu o czym innym myśleć, na przykład o świadomym samozłudzeniu. Powstanie tej myśli oderwanej, jest wobec tego podczas rozkoszy estetycznej zupełnie uniemożliwione, a z chwilą, gdy myśl podobna się zjawia, prowadzi ona za sobą natychmiast zniweczenie rozkoszy estetycznej i owego charakterystycznego kierunku naszej uwagi, zwróconej na dzieło sztuki. Dlatego też „świadoma iluzja“ z rozkoszą estetyczną nie wspólnego nie posiada. I dla tego też nie odnosimy treści dzieła sztuki do „rzeczywiście“ istniejącego świata: dzieło sztuki nie daje nam do tego *żadnego powodu*.

To też musimy przyznać słuszność nie Langemu, lecz raczej Kantowi, który w swej „Krytyce władzy sądenia“ powiada: ¹⁾ „Chodzi jedynie o to, czy tylko *wyobrażeniu* przedmiotu, jako takiemu, towarzyszy zadowolenie estetyczne, myśl natomiast o *istnieniu* tego przedmiotu jest nam najzupełniej obojętna. („Man will nur wissen, ob die blosse Vorstellung des Gegenstandes in mir mit Wohlgefallen begleitet sei, so gleichgültig ich auch immer in Ansehung der Existenz des Gegenstandes dieser Vorstellung sein mag“). Co się tyczy owego myślenia o prawdziwym i rzeczywistym świecie istniejącym, to należy zauważyć, że nie tylko podczas rozkoszy estetycznej, lecz też i w „rzeczywistem“ i zwykłym życiu nie zawsze myślimy o istnieniu tego, co przeżywamy. Ma to mianowicie miejsce wtedy, gdy całkowita uwaga zostaje skierowana na rzecz, o którą nam w danym razie idzie, gdy cały inwentarz wyobrażeniowy jest jedynie ową rzeczą zajęty, wszelkie natomiast zależności i związki rzeczy tej z innymi rzeczami są wskutek zwięźlenia i skupienia uwagi od świadomości naszej odcięte. Wtedy zajęci jesteśmy, podobnie jak to się dzieje podczas rozkoszy estetycznej, jedynie treścią rzeczy, o istnieniu zaś jej nie myślimy. A ponieważ o istnieniu rzeczy nie myślimy, ponieważ podczas stanu estetycznego nie stosujemy wcale do treści dzieła sztuki kategorii istnienia, nie może być też więc mowy o iluzji, gdyż warunkiem owej „iluzji świadomej“ musiałoby być właśnie myślenie o istnieniu. Widzimy zatem, że i analiza psychologiczna rozkoszy estetycznej wykazuje błędność twierdzenia estetyka niemieckiego.

¹⁾ Kant, Kritik der Urteilkraft § 2 s. 45. Wyd. Kehrbacha.

IV.

Lecz oprócz tego wydaje nam się, że teoria Langego nie jest w stanie oprzeć się krytyce immanentnej, gdyż zawiera w sobie sprzeczność wewnętrzną. Stopień zadowolenia estetycznego czyni Lange zależnym od stopnia iluzji. A więc — im większa iluzja, tem bardziej nam się dzieło sztuki podoba. Gdzie iluzja byłaby największą, tam też byłoby najsilniejszym zadowolenie estetyczne. Tak naprzykład w porównaniu z zupełnie słabo rozwiniętą perspektywą obrazów z początku wieku czternastego, obrazy z wieku piętnastego, naprzykład takiego Masaccia, który, jak wiadomo doprowadził w swych obrazach perspektywę do wysokiego stopnia doskonałości, przedstawiają dla nas większą wartość, gdyż iluzja rzeczywistej przestrzeni jest w nich większa. W porównaniu jednak z ukształtowaniem przestrzeni Rafaela, Michała Anioła lub naturalistów włoskich z wieku siedemnastego, obrazy Masaccia przedstawiają mniejszą wartość; jego ukształtowanie przestrzeni nie da się wcale porównać z Rafaelami i Michałami Aniołami, i obrazy tych mistrzów wskutek tego wywołują iluzję jeszcze większą. Lecz im większy stopień iluzji, tem większą jest też możliwość najzwyczajszego, „nieświadomego,“ pospolitego złudzenia, tem więcej prawdopodobieństwa, że wpadniemy w pułapkę i zostaniemy oszukani. Lange, jak to widzieliśmy wyżej, stara się sobie dopomódz wskazaniem na czynniki, przeszkadzające iluzji. Dzięki nim, twierdzi estetyk niemiecki, iluzja pospolita nastąpić nie może. A więc — im więcej czynników, przeszkadzających iluzji, tem mniejsza możliwość, że zostaniemy oszukani i przez to samo tem większe prawdopodobieństwo, że złudzenie stanie się „świadomem samozłudzeniem.“ O ile czynniki, niweczące iluzję, znajdują się w większej ilości, o tyle wtedy musielibyśmy też odczuwać najwyższe zadowolenie, gdyż wówczas „świadoma iluzja“ byłaby największą. Tu możemy przykład nasz zupełnie odwrócić. Podług tej zasady powinnyby się nam obrazy z początku czternastego wieku bardziej podobać, niż obrazy Masaccia, obrazy zaś Masaccia bardziej, niż obrazy Rafaela, Michała Anioła lub Caravaggia, gdyż podczas oglądania Rafaelów, Michałów Aniołów i Caravaggiów najbardziej grozi nam możliwość, że wpadniemy w iluzję zwykłą, że padniemy ofiarą oszustwa. Dobra fotografia powinna być piękniejszą od portretu, malowanego przez artystę, ponieważ iluzja wywo-

łana przez dobrą fotografię jest większa, a to dlatego, że fotografia jest zawsze dokładniejszą kopią oryginału, aniżeli portret. Z drugiej zaś strony, portret powinien nam się podobać bardziej, gdyż posiada więcej czynników, niweczających iluzję.

Jak to wszystko pogodzić? Gdzie leży środek pomiędzy czynnikami, potęgującymi iluzję i przeszkadzającymi jej? Kiedy czynniki, potęgujące iluzję, stają się czynnikami, które iluzję tę niweczają? Według jakiej zasady należy odróżniać jedne od drugich?

Jeżeli to samo dzieło sztuki, zgodnie z zasadami powyższymi, ma się jednocześnie podobać i niepodobać, co jest rzeczą niemożliwą, to jest oczywiście winą nie dzieła sztuki, lecz raczej teorii i jest dowodem, że założenie teorii jest błędne.

Lecz idźmy dalej i wyprowadźmy ostatnią konsekwencję z teorii Konrada Langego. Odrębność wrażenia estetycznego miała polegać na owej *differentia specifica* pomiędzy stanem estetycznym a wszelkimi innymi. Według Langego przyczyną zadowolenia miała być iluzja świadoma. Widzieliśmy jednak, że sama iluzja jako taka, nie daje nam jeszcze żadnej rękojmi, żadnego kryterium, któreby nam pozwoliło odróżnić prawdziwe dzieło sztuki od figur woskowych, wystawianych w panopticum. Owem kryterium ostatecznem są u Langego czynniki, przeszkadzające iluzji. Gdyby Lange chciał być konsekwentnym, musiałby uważać owe czynniki, przeszkadzające iluzji, za główną i zasadniczą cechę rozkoszy estetycznej, gdyż one są tą ostateczną *differentia specifica*, pozwalającą nam odróżnić prawdziwe dzieło sztuki od jego surogatu, wywołującego w nas iluzję zwykłą, „nieświadomą.“ Wtedy ramy obrazu i cokół byłby ostateczną przyczyną rozkoszy estetycznej, jaką w nas wywołują obrazy i rzeźby, a kupno biletu przy kasie teatralnej byłoby ostateczną przyczyną wzniosłej rozkoszy, jaką odczuwamy podczas słuchania tragedji!..

Żeśmy w rzeczywistości wyprowadzili tylko ostatnią konsekwencję z metody Langego, niech dowiodą jego własne słowa. W pierwszym tomie swego obszernego dzieła (s. 164) powiada on dosłownie, że „istotę rzeczy można *logicznie* poznać nie z tego, co owa rzecz ma wspólnego z innymi rzeczami, lecz z tego, czem się dana rzecz od innych rzeczy różni.“ Tu właśnie tkwi zasadniczy błąd estetyka niemieckiego, gdyż jest on przekonany, że przez *logiczne* rozczłonkowanie pojęć znajdzie on różnice *psychologiczne*, które nadają charakterystyczne piętno zjawiskom estetycznym. Jest to do pewnego stopnia wnioskowanie o bycie z myślenia, wspólne wszystkim metafizykom, hołdującym racjonalizmowi. Tego rodzaju czysto logiczne rozczłonkowanie zjawisk

estetycznych jest oczywiście zupełnie możliwe i nikomu bronić go niemożna. Nie powinno ono być jednak podawane za estetykę psychologiczną i nie powinno być przedsiębrane tam, gdzie rzeczą rozstrzygającą może być jedynie wykazanie istnienia w świadomości odpowiednich faktów psychicznych w drodze analizy nie logicznej, lecz psychologicznej.

I jeżeli wybitni współcześni estetycy niemieccy, jak Teodor Lipps, Groos, Külpe, Witasek i inni mogą się poszczycić pięknymi rezultatami swych prac, to zawdzięczają zdobycze swe jedynie psychologicznym metodom badania.

DR. JAKÓB SEGAL.

Ruch literacki w Niemczech.

Bywają lata tłuste i chude, lata błogosławione, bogate w plon, jak np. rok 1890 dla literatury niemieckiej i lata nieurodzaju, bez promienia szczęścia. Peryodyczne te okresy dopływów i odpływów dają się wszędzie w dziedzinie twórczej zauważyć. Niewiadomo skąd wionie duch nowy, przecucie wiosny ogarnie całe tłuny, dosięgnie najoddalonych pusteli, napełni wszystkie niezaskorupiałe w dogmatach serca nową nadzieją... i wszędzie pocznie życie szybszem tętnem pulsować:—zieleń rozszczepia swe żądne złota słonecznego dłonie, kwiaty ukazują swych kielichów cuda, święte poszumy przebiegają dreszczem rozkoszy po brunatnem, ciepłem ciele ziemi... — Wiosna serc!

Ale zdala od tych wielkich rozkwitów prowadzi kamienista, stroma ścieżka jednostki, dążącej ku szczytom. To co się w swym całokształcie twórczym, jako symbol wiosny przedstawia, jest w rzeczywistości kalwaryą wielkich dusz, krwawą ofiarą miłości, całopaleniem... Myśli wielkie na gołębich skrzydłach przylatują, a cuda dzieją się w ciszy samotnej izdebki, w zmierzchach krętych uliczek, na poddaszach, gdzie gwiazdy znaczą godziny objawień i rubinowe blaski jutrzeńki budzą świadomość ziemską na wyzartych tęsknotą, pełnych wyniosłości królewskiej twarzach.

Od roku 1890, roku „nowego rozkwitu“ w literaturze niemieckiej upłynęło lat piętnaście. Dość czasu, ażeby móżdź zdać sobie sprawę co do doniosłości tego okresu, który należałoby porównać z niewielką falą nad brzegiem cichego jeziora. Zubłyszszy

srebrnym grzbietem, plusnęła, zakołysała się i... położyła się spać na piasku wybrzeża... Cicho wkoło, jezioro śpi—ale coś szepce, porusza się... ciepłe oddechy czuć w powietrzu... Oczekiwanie... nadzieja?...

Rok 1890 dał Niemcom Hauptmana, Dehmela, Hartlebena... A rok 1905?

Od cichego jeziora, na którego piaszczystem wybrzeżu srebrna fala roku 1890 zasnęła, ciągnie się sieć kanałów w głąb ogrodów fantastycznych życia. Trzy szczególnie, jakby trzy arterye główne zwracają naszą uwagę.

Jeden—szeroki, wygodny, zaopatrzone we wszystkie ulepszenia najnowsze, szluzy automatyczne, podnoszące się bez szelestu przed naszą łodzią i opadające bez szelestu za nami... Ocembrowania z cementu, mosty z piaskowca i granitu z rzeźbionymi balustradami i białymi grupami posągów... Nad brzegiem, po obu stronach—aleje wysypane żwirem, asfaltowe trotuary, żywopłoty, białe,.. żółte wille wśród zieleni klombów, strzyżone trawników kobierce, kwiaty—wzgórza kwiatów, szyby lustrzane, firanki koronkowe w oknach, palmy!... Czystość, porządek, kultura... To świat, w który nas wprowadza nakład berliński S. Fischera, najpierwszy dziś w Niemczech.

W nakładzie tym wyszły i wychodzą dzieła Gerharda Hauptmana, Hermana Bahra, Altenberga, Hirszfelda, Schnitzlera, Hofmannsthal, Vollmoellera... Utwory ludzi przepojonych kulturą, ludzi, którzy wyjąwszy G. Hauptmana i to nie zawsze, dają nam wyłącznie odzwierciedlenie „kultury“, ocembrowanego, spokojnem korytem płynącego życia wielkomiejskiego, wygodnych mostów na granitowych, pewnych arkadach społecznych, bezpiecznych wysypanych żwirem dróg... Czasem zabłąka się pomiędzy te wcielenia porządku doskonałego śmiech nagły, jakby przelotne zwątpienie, ażeby jak chłodny powiew wieczorny musnąć powierzchnię kanału i drzew wierzchołki i skryć się poza fałdami dalekich wzgórz... Chichot szydery Schmitzlera... przeciągły, robiony śmiech Hermana Bahra... melancholijny uśmiech Altenberga... Albo dusza, przepojona wiedzą i kulturą, przeżuwa z wyrafinowaniem wizye minionych wieków i rzadkich, wiotkich piękności... Hugo von Hofmansthal, Vollmoeller... Toż samo wrażenie robi literatura belletrystyczna tego nakładu. — Subtelne pastele Jakóba Wassermana, którego „Renate Fuchs“ jest jedną z najlepszych charakterystyk nowoczesnej, przerafinowanej kobiety: fantastyczne, z mgieł mistycznych utkane dywany Tomasza Mauna, szczególnie te, które wyszły pod tytułem „Tristan;“ oświe-

wające wariacje stylistyczne Hansa Landa; poważne socyalne adagia Feliksa Holländera; chora ironia hyperkultury w dziwnym połączeniu ze świeżością gór w utworach Hermana Hesse'go; znakomicie zrównoważony pełen siły i energii męskiej, ale zawsze bardzo trzeźwy talent Emila Straussa, piszącego językiem nieskazitelnie pięknym... Dalej krytycy: — Eloesser, wyborny tłumacz i badacz kultury francuskiej; profesor Oscar Bie, którego wydane niedawno dzieło o tańcu wywołało sensację i który, jako wytrawny kierownik w nakładzie Fischera wychodzącego miesięcznika „Neue Rundschau“ (niemieckiej Chimery), kontynuuje tradycje „Pana“ i „Insel“; Ryszard Muther, którego ostatnie publikacje „Historja malarstwa w Anglii“ (1903) i „Malarstwo belgijskie“ zasługują na szczególną wzmiankę; Alfred Kerr, oryginalny, pełen dzikiego temperamentu i zdumiewającej bezwzględności krytyk, twórca nowego, „imperatywnego“, że się tak wyrażę, stylu w niemieckiej krytyce teatralnej...

A teraz płyniemy innym kanałem.—Okolica falowata, brzegi miejscami skaliste... pola... gaje... na wzgórzach podwaliny do monumentalnych gmachów, do połowy wzniesione ściany masywne... ruiny starych budowli... wykopaliska... posągi... starożytne miasteczka, wyglądające jak inicjały średniowiecznych rękopisów, kaplice ze starymi nagrobkami, pokrytymi mechów kożuchem... nowożytne pomniki w ciężkim, monumentalnym stylu niemieckim, w rodzaju Kyffhäusera lub Niederwalda. — To świat, w który nas wprowadza Eugen Diederichs.—Nakład ten postawił sobie za zadanie pogłębienie dzisiejszej kultury duchowej w Niemczech, przez znakomite wydawnictwa z dziedziny filozofii, historii sztuki, krytyki... Utwory Marka Aureliusza, Seneki, Platona, Plotina, Giordana Bruna, Paracelsiusza, Anioła Szlązaka, Franciszka z Assyżu, Mirandoli, Sören Kirkegaarda, Swedenborga, Pascala, Herdera, Hegla, Fichtego, Schellinga, Schleiermachera, Hamana, Beylego, Ruskina, Emersona, Maeterlincka, Tołstoja... prawdziwie artystyczne monografie, pomiędzy którymi dwunastotomowe wydawnictwo z przeszłości narodu niemieckiego (szczególnie średnie wieki i nowe czasy do XVIII-go stulecia) „Monographien zur deutschen Kulturgeschichte“ zasługuje na szczególną uwagę... — W nakładzie Diederichsa wychodzą przeważnie dzieła autorów o silnem zabarwieniu germańskiem, ludzi walecznych pośrednio lub bezpośrednio przeciw urzędniczo-militarnej pseudo-kulturze Prus, w imię starych hasel „narodu myślicieli.“ Tacy twórcy jak Wilhelm Boelsche, Bruno Wille, Willy Pastor, Juliusz Hart, tacy poeci, jak Holzammer, Spitteler, autor olbrzymich poe-

matów epickich, Avenarius, subtelny poeta liryczny i wydawca „Kunstwart“a — pisma, które co do tendencji możnaby poniekąd nazwać organem tej grupy... tacy krytycy, jak Schulze-Naumburg, Jan Chrzyciel nowego stylu, który reformuje wszystko: od placów publicznych, bulwarów miejskich, ogrodów... do mieszkań... ubiorów... unieblowań!...

I po raz trzeci zmienienia się scenerya!...

Płyniemy wąskim kanałem, którego brzegi zdobią bogate zwoje pnączów. — Balustrady marmurowe drzemią zalane powodzią róż... stare kasztany zwieszają swe konary przed nieruchomą powierzchnią wód... białe łabędzie, lilie wodne, złożone sztachety, amoretki, kioski fantastyczne w głębi pięknego parku... białe pawie, pstre bażanty, szpalery bzów kwitnących, fontanny pluszczące, sączące się źródła, marmurowe półokrągłe ławy... wazony pokryte misternymi rzeźbami, białe posągi, śród zieleni strzyżonych ścian... Świat tajemniczy, jak z bajki o zaklętej królownie, do której pałacu tylko wyjątkowo szczęśliwy znajdzie drogę... W ten świat wprowadza nas nakład „Inselverlag“, który postawił sobie za zadanie szczególne — kulturę książki. Przewodne japońskie, holenderskie, angielskie weliny, safiany, pergaminy, złożenia, złotogłowy, okładki jedwabne, weneckie, secesyjne!... — Treść odpowiada w zupełności formie. Spotykamy tam prawdziwe rzadkości bibliograficzne, wydawnictwa w bardzo ograniczonej ukazującej się ilości, które po dwóch, trzech latach już będą białymi krukami, np. „Gockel, Hinkel, Gakaleja“ Klemensa Brentano, „Simplicissimus“ H. J. Chr. Grimmelshausena, „Petronius, die Begebenheiten des Euklop“, Wilhelma Heinsego, „Ballada więzienna“ Oscara Wilda, stare włoskie nowelle... W nakładzie „Inselverlag“ zjawiają się utwory barokowe Arno Holza, delikatne, powiewne marzenia poety Rainera Maria Rilke, mistyczne studia Franciszka Blei, znanego estety, odurzające makartowsko-efektywne poezye Schaukala, dziwaczne, groteskowe fantazyje humorysty Scheerbarta, poezyje malarza-poety Voglera, należącego do oryginalnej grupy artystów, znanych pod nazwą „Worpswede“... Vogler-Worpswede jest obok Fidusa jednym z najzdolniejszych nowoczesnych niemieckich mistrzów winiety...

I znów powracamy nad brzeg cichego jeziora, gdzie na białym piasku zasnęła srebrna fala 1890 roku. Dużo najprzeróżniejszych obrazów pstrej teraźniejszości przesunęło się nam przed oczami, płynęliśmy na srebrnych arteriach, roznoszących przez pola, lasy, łąki i ogrody dużego szmatu ziemi rosę orzeźwiająca i karmiąca, ale tego czegośmy szukali, nigdzie nie mogliśmy zna-

leżć. Zdala od wszelkich lądów na samotnym oceanie znajduje się ognisko centralne wszystkich burz i falowań, lecz dostęp doń mają jedynie jednostki w ekstazie twórczej.

*

*

*

Rok 1905 nie należy do lat przełomowych, nie odznacza się wybitnymi cechami. Cicho wkoło, jezioro śpi... Ale coś szeptem, porusza się: ciepłe oddechy czuć w powietrzu!

Obchód Szyllerowski, którego jedynym pozytywnym rezultatem była ostateczna rehabilitacja Szyllera, znieważanego tylokrotnie przez pokolenie rewolucjonistów literatury niemieckiej r. 1880, podał niejedną okazję do najprzeróżniejszych ocen literatury dzisiejszej. Robiono porównania, analogii szukano... Najwięcej głosów otrzymał Ryszard Dehmel.

Otto Juliusz Bierbaum, pisze o nim w szyllerowskim zeszytcie znanego pisma „Literarisches Echo“ mniej więcej, co następuje: „śródm obecnie żyjących poetów naszych wydaje mi się Ryszard Dehmel jedynym, który godnie przechowuje i kontynuuje tradycję szyllerowską—zapał, idealizm, polot Szyllera“.

Gwiazda Ryszarda Dehmela podnosi się ku zenitowi... Demoniczno-tytaniczne szamotanie się początkowej twórczości zostało przezwycięzone.—Swoim ostatnim wielkim utworem epicko-lirycznym „Dwoje ludzi“ złożył Dehmel dowód wysokiego mistrzostwa, uprawnił do najwyższych nadziei...

Ani Liliencron, ani Hauptman, ani Hofmannsthal, do tych nadziei już albo jeszcze nie uprawniają.

Liliencron, po wykończeniu 12-tu pieśni swej fantastyczno-lirycznej epopei „Poggfreda“, wpadł w prawdziwą manię poggfredowską i rozszerzył ten i tak już dość bezkształtny poemat impresjonistyczny do potwornych rozmiarów 24 pieśni. „Poggfred“ będzie niezawodnie ostatniem wielkiem dziełem sześćdziesięcioletniego poety. Więcej się po nim spodziewać nie można. Co do mnie, wolę jego utwory liryczne, owe impressye, obrazki, fantazy, urwane akordy, które pod względem treści i formy, szczególnie zaś pod względem formy, należą do najpiękniejszych kwiatów poezji niemieckiej ostatniego dwudziestolecia.

Hugo von Hofmannsthal ani swą „Uratowaną Wenecją“ (1905 r.), ani swym dramatem „Edyp i Sfinks“ (1906 r.) nie wyszedł jeszcze poza obręb „Elektry.“ Pozostaje zawsze jeszcze nierozwiązane pytanie, czy uda mu się zerwać ostatnie welony sztywności i artyzmu, ażeby stanąć nago, jak posąg klasyczny. Dane są po temu.

Najtrudniej da się coś decydującego powiedzieć o Hauptmanie. Twórczość tego poety nierówna, nosząca częstokroć chmurne ślady zmęczenia, pełna jest niespodzianek. Po scenicznie bardzo słabym noktornie „Elga“ (1905), który przeszedł bez wrażenia, stoimy znów wobec dzieła bardzo obiecującego. O symbolicznym tym utworze, który nosi tajemniczy tytuł: „Und Pipa tanzt“ (A Pipa tańczy) pisać będę w przyszłym sprawozdaniu.

*

*

*

Do najciekawszych może kwiatów poetycznych roku 1905 należą nowe poezye Alfreda Momberta, który po dłuższem milczeniu wystąpił aż z dwoma utworami „Blüte des Chaos“ (Kwiat Chaosu) i „Der Sonne Geist“ (Duch słońca). Z poetą tym zapoznał nas swego czasu w oddzielnem studyum Stanisław Przybyszewski. Na szczególną uwagę zasługuje „Kwiat Chaosu“, w którym odrębność twórcza Momberta znalazła najdoskonalszy wyraz. Wizjoner-poeta znalazł w nim — swój styl. Wszystkie zalety poprzednich utworów poetycznych Momberta połączone są w tym ostatnim w jedną imponującą całość. Mombert jest porywającym wizjonerem, ale do wzniesienia się na szczyty mistycyzmu brak mu koncentracji. Wizye jego rozpadają się... każda tonie napowrót w nieskończoności. Każda sama przez się jest wspaniała, całość... częstokroć niejasna, zamglona!... Dla zrozumienia „Kwiatu Chaosu“ należałoby napisać obszerny komentarz, przynajmniej trzy razy większej objętości niż sam utwór... Czy w uznaniu tej potrzeby nie leży już poniekąd krytyka?... Ponieważ nie miejsce tutaj, ażeby pisać podobnego rodzaju komentarze, muszę zaniechać streszczenia, które w skróceniu łatwo mogłyby być jeszcze bardziej niejasne, niż sam oryginał.—Świat Momberta nie da się ująć w słowa logicznie powiązane. Najłatwiej o nim mówić jękając się, jakby powiedział mądry Zaratustra.

Z zadziwiającą plastyką maluje Mombert światy wizyj swoich. Oto jeden niewielki przykład:

Trysnęła muzyka skąd — niewiadomo — księżycyca światło
tutaj w komnacie — ziemie w zmroku
tam głęboko pod niebiosami!
Noc, blask księżycyca i ziemi kraje w zmroku
szumią o pochyloną głowę moją — zagrzmięło morze,
patrzy ku mnie poprzez łańcuch gór —

marząc, śniąc
uśmiecha się olśniony światłem
zwycięzca — myśli wśród burz tego świata —
uśmiecha się głowa.

Tekst niemiecki:

Aufwühlt Musik wo — Mondlicht
glänzt im Gemach hier — dämmernde Lande
draussen tief unter Himmel!
Nacht, Mondlicht, und der Erde dämmernde Lande
brausen an mein gesunken Haupt — aufrauscht das Meer,
blickt über die Gebirge zu mir her. —

Traumhaft, traumhaft
lächelt der mondbeglänzte
weltbestürmte Gedanken-Sieger —
lächelt das Haupt.

Albo owe niesłychane, sploty rzeczywistości i snów ducha, hypnotycznie odczute.

Duch mój hen na morzu dalekiem.
W wilgotnym wicherze, na żaglowcu białym.
Wielkie wody.
Szumi.

Staruszek idzie do mnie przez wązką uliczkę.
Wchodzi. Słyszę jak drepece
po schodach.
O schody wali spienione morze.
Mewy białe nad głową starca.

Otwiera drzwi.
Znajduje mnie w głębi komnaty,
owiniętego w stary płaszcz brunatny.
Podaje mi rękę.
Kiwam głową. — Mówi.

Dzwon okrętowy dzwoni.

Deszczu sinugi na południu.
Przez szczyty chmur przedziera
się światło w dal — tam na nieboskłonie
sunie żaglowiec przez błyszczące wody.

Staruszek dłonie me ściska.
Bada moją twarz,
wzrok wlepia w me oczy — nie znajduje człowieka —
Ryba podnosi srebrny łeb wśród fal —
ptaki morskie śmigają przez pokój:
pyszne, białe, wrzaskliwe latawce.

Tekst niemiecki:

Mein Geist ist draussen auf dem Meer.
Im feuchten Wind auf einem Segelschiff.
Weite Wasser.
Es rauscht.

Ein alter Mann kommt über die Gasse.
Er tritt ein in mein Haus.
Ich hör' ihn tappen; auf der Stiege.
An die Stiege schäumt das Meer.
Weisse Möwen umflattern sein Haupt.

Er tritt ein in das Gemach.
Findet mich sitzen im tiefen Hintergrund,
Gehüllt in einen alten braunen Mantel.
Er reicht mir eine Hand.
Ich nicke. — Er redet.

Die Schiffglocke läutet.

Es regnet Strict im Süden.
Durch die obern Wolken bricht
Licht in die Ferne — dort am Horizont
fährt ein Segler durch glänzende Gewässer.

Der alte Mann presst meine Hände.
Er forscht in meinem Antlitz.
Er stiert ins Auge — : findet nicht den Menschen — :
Ein Fisch hebt sein silbern Haupt aus den Wogen — :
Meervögel flügeln durchs Gemach:
Prachtweisse Schwebler mit hellem Schrei.

Ekstazy mistyczne, złoty taniec słońce i gwiazd, dreszcze wizyj niezwykłych, rytm twórczy narodzin nowych światów, muzyka sfer niebiańskich, życie w splotach snu hypnotycznego, jasnowidzenia szłał, chaos krystalizujący się na jedno okamgnienie w kształt, w przedziwny kwiat bytu — to treść tego niezwykłego poematu, który na nas nachodzi, jak chmura wizyj apokaliptycznych.—Analogie duchowe możnaby może znaleźć w niektórych utworach Tadeusza Micińskiego, analogie rytmiczne — chyba jedynie w Dytyrambach Dyonizyjskich Nietzschego.

„Duch Słońca“ wydaje mi się o wiele słabszy. Alegoryi tego utworu brak głębi, naiwność jej razi, pomimo tu i tam pańską dłońią rozsianych brylantów i pereł.

Najsilniejszym kontrastem, jaki sobie wystawić można, są w porównaniu z temi śpiewami ekstazy—poziome poezye Franciszka Wedekinda (Vier Jahreszeiten. 1905) dzikie, bluźniercze piosnki, poświęcone najniższym i najwyuzdańszym instynktom, lęgnącym się w bagnach wielkomijskich. Pomiędzy temi dwoma ostatecznymi krańcami — cała skala dzisiejszej twórczości. Punkt ciężkości jednakże bliższy jest owej niższej, przyziemnej granicy. — „Czterema porami roku“ nazwał Wedekind zbiór swoich wierszy. Właściwie są to 4 fazy wyuzdania zmysłowego, rozpoczynającego się zuchwalstwem i cynizmem, a kończącego impotencją, rozpaczą, bezwstydem... Zbiór ten zasługuje na wzmiankę, nie tyle ze względu na treść, która jest ohydna, ile ze względu na niezwykle oryginalną formę. Wedekind posługuje się znanymi rytmemi pieśni ludowych i kościelnych, które w niesłychany sposób potęgują jeszcze bezczelność jego cynizmów. Częstość też Heine lub Goethe dostarczają mu materiału rytmicznego. Ze znanej, smętnej piosenki Heinego o królewiczu i królownie powstaje pod jego piórem bezbożnem ballada o grubym piekarzu i jego tłustej małżonce

Sie konnten zusammen nicht kommen
sie waren viel zu dick ...

Poezye te rzucają właściwe światło na autora „Ducha ziemi.“ Po cynizmach i bluźnierstwach, wyłania się naraz twarz wykrzywiona bólem i autor zeznaje:

Mein Herz ist leer wie eine taube Nuss!

Albo, schyliwszy swą czworograniastą głowę, robi rachunek sumienia, ażeby zaraz potem z podwójnym cynizmem natrzęsać się ze wszystkiego.

Die Sexuelle Psychopatie
 Ich habe sie längst überwunden,
 und dennoch ich vergess es nie, —
 Es waren doch schöne Stunden.

Jedyna prawdziwa wartość poezyj Wedekinda — szczerość. Lepsze to niż pod sentymentalnym płaszczykiem ukryta poziomość w rodzaju „Dziennika upadłej“ (Tagebuch einer Verlorenen 1905), Małgorzaty Boehme. Utwór, który dzięki zręcznej spekulacyi na ciekawość publiczności, stał się sensacją dnia. Pomimo zapewnień autorki, że całe ustępy „pamiętników,“ a mianowicie notatki z czasów berlińskich i hamburskich Tymiany, są prawie dosłownie wzięte z dziennika prawdziwej „damy z półświatka,“ całość jest niewątpliwie tendencyjnym, historyczno-sentymentalnym wytworem wyobraźni autorki — bez cienia artyzmu. Autorka widocznie sama aż nadto dobrze o tem wiedziała i nie napróżno w swej przedmowie zapewnia, że pamiętnik ten nie rości żadnych pretensyj literackich lub artystycznych. Fałszem jest w każdym razie mniemanie, jakoby miał być wartościowym przyczynkiem do „pałającej kwestyi socyalnej dni dzisiejszych.“ Trudno o wymowniejszy objaw heteryzmu, świecącego zewsząd swą nagością po przez pikantne ażurowe wszywki w wyblakłej niebieskiej rotundzie magajskiego sentymentalizmu.

*

*

*

Do zwyciężonych roku 1905 należą Suderman i Gustaw Frenssen.

Suderman, w którego szerokiej piersi oddawna już filister walczy z artystą, skłonił się ostatecznie na stronę Blumenthalów, Kadelburgów, Philippich. Smutny koniec po 16-to letniej przeszłości pracy dramatycznej, po tryumfach takich utworów, jak „Honor“, „Koniec Sodomy“, „Morituri.“ Ostatni jego utwór sceniczny „Głaz wśród głazów,“ bardzo zimno przyjęty przez krytykę i publiczność, jest rzeczywiście świadectwem wielkiego ubóstwa. Szarża, szablon i efekty teatralne. A był czas kiedy nazwisko Sudermana wymawiano jednym tchem z nazwiskiem Hauptmana.

Kamieniarz Zarnke, jowialny ojciec teatralny ma dziwną słabość do — elewów domu poprawy. Większa część jego robo-

tników i majstrów rekrutuje się z tego rodzaju „byłych ludzi.“ Pocziwy Zarnke cieszy się z ich sprytu i przebiegłości — tak przynajmniej utrzymuje autor; widzowi niekiedy zdawaćby się mogło, że to rodzaj sportu ze strony Zarnkego... Podczas indagacyi jednego z robotników, Struvego, przez komisarza policyi kryminalnej — są bowiem pewne poszlaki, że Struve próbował skraść dyamenty znajdujące się w piłach do rżnięcia kamieni — kamieniarz Zarnke, będąc moralnie przekonany o winie swego podwładnego, staje jednakże w jego obronie i na dowód zaufania oddaje mu do przechowania klucze do magazynu, w którym leżą nęcące piły dyamentowe.

Na Struvego, który jest zapalonym wielbicielem życia więziennego i nieustannie deklamuje zupełnie nieprawdopodobne ty-rady na cześć celi i kuchni więziennej, niczem nie umotywowany czyn Zarnkego nie wywiera żadnego głębszego wrażenia. Przy pierwszej lepszej sposobności następuje recydywa i tylko uczci-wości nowego stróża Biegelera zawdzięcza kamieniarz swe dyamenty. Biegeler — to nie zwyczajny złodziej. W papierach jego wystawionych przez T-wo popierania byłych więźniów stoi nota-tka i paragraf kodeksu karnego, oznaczający: „ukarany za za-bójstwo.“ Z dalszego toku wypadków dowiadujemy się dopiero, że zabójstwo było przypadkowe, w przystępie gniewu. Bądź co bądź biedak ów prześladowany przez wszędzie ścigające go widmo złej opinii, znajduje się już w stadium ostatecznem, gdy Zarnke, jako anioł zbawczy przyjmuje go do siebie na miejsce starego stróża-niedołęgi Eichholza, którego młoda córka Lora trudni się wyszynkiem napojów dla robotników. Biegeler stroni od ludzi, czem zwraca na siebie ogólną uwagę i wzbudza nieufność robotni-ków, która dzięki nieostrożnemu słowu komisarza policyi krymi-nalnej, zamienia się w silne podejrzenie. Najgorszy ze wszystkich towarzyszków Biegelera jest Goettlingh, były narzeczony Lory, który dzięki swemu sprytowi zaawansował z prostego ex-więźnia na nadwornego rzeźbiarza u Zarnkego. Zarozumiały krzykacz i blagier, donżuan i karyerowicz, Goettlingh ani myśli o dotrzy-maniu danego Lorze słowa, pomimo, że biedna dziewczyna przez niego stała się matką. Onieśmielona i zahukana kobieta nie śmie się nawet upominać o swoje prawa. Stróż Biegeler, dla którego Lora zawsze miała słowa współczucia i przyjaźni, ujmuje się za pokrzywdzoną. Efektowne jest zakończenie tego aktu, gdy Bie-geler, schwyciwszy kamień ze stołu w obronie przeciw idącemu nań z nożem Goettlinghowi, daje się porwać uniesieniu i zdradza tajemnicę swej przeszłości, że już jednego tak kamieniem niegdyś

zabił. Przestraszony Goettlingh ucieka. Od tego punktu akcja staje się chwiejną, nienaturalną. Autor szuka dróg do zawinięcia do spokojnego portu, w którym wszystko zakończyć się ma ku ogólnemu zadowoleniu... publiki: ukaraniem winnych, zwycięstwem niewinnych, łzawem wzruszeniem, nie przeszkadzającym spokojnemu trawieniu...

Biegelera, który po kryjomu rzeźbi z zamiłowaniem, wybierają towarzysze ni stąd ni zowąd na miejsce Goettlingha; mały efekcik ze spadającym kamieniem: zamach Goettlingha na Biegelera, Lora ratuje mu życie... no i na tem kończy się historia głazu między głazami... Und die Moral? mówiąc słowami Heinego: Między kamieniami, złemi sercami, serce w kamień się zamienia, głazem staje się śród głazów, ale dobroć i miłość głazy roztopia. Ogromnie śmiesznie działa zakończenie, gdy Lora, stojąc nad pijanym ojcem, chrapiącym na bloku granitowym, wsłuchuje się w odgłos świstawki stróża Biegelera i w przeczuciu bliskiego szczęścia woła patetycznie: „szczęście gwizdże, szczęście gwizdże!“ Kurtyna spada.

Bywają czasem niezwykle zakończenia. U Maeterlincka np. gdy Monna Vanna woła: „le beau va commencer“ czujemy w tych słowach dreszcze niezmiernych przyszłych rozkoszy, urzeczywistnień—przepaście duszy się otwierają, u Sudermana „gwizdzące szczęście“ robi wrażenie bardzo niefortunne.

Przykrą niespodziankę zrobił swoim wielbicielom, akurat na gwiazdkę, znany autor Jerzego Uhla, Gustaw Frenssen. Niespodziance tej na imię: „Hilligenlei.“

Hilligenlei, Hilligenland, czyli święta ziemia — tak nazywa autor miasteczko, leżące na wybrzeżu morza północnego, naprzeciwko wyspy Hellgoland. Miasteczko to obrał Frenssen za widownię swej ostatniej powieści. Ma ono być symbolem zmateryalizowanego dzisiejszego społeczeństwa niemieckiego, symbolem zupełnej zraty ideałów w walce o dobra ziemskie, pod biczem żądzy i jarzmem ciasnej moralności mieszczańskiej. Sam autor w lapidarnych heksametrach, ogłoszonych ex re wyjścia z pod prasy stutysięcznego egzemplarza „Hilligenlei“ stara się dość niejasną treść swej powieści post festum komentować. Wada powieści leży w zbytnej rozwlekłości epizodów, w przeładowaniu szczegółami, w drobiazgowości, graniczącej niemal z gadatliwością. Braki te dadzą się, chociaż w uniejszej mierze, wykazać już w poprzednich utworach Frenssena, nawet w Jerzym Uhlu. Chociaż tam robią zupełnie słuszne wrażenie bogactwa fantazyi, nieprzebranych skarbów twórczości poetyckiej. I w dobrem trzeba

znać miarę należną. Architektonika „Hilligenlei“ jest słaba. Pomimo tego powieść bogata jest w przepiękne, interesujące opisy morza, epizody z życia żeglarzy i nadbrzeżnych mieszkańców morza północnego. Gustaw Frenssen jest bezwątpienia prawdziwym poetą i nawet błędząc potrafi wzbudzać szacunek. Dobrzeby było, gdyby podczas twórczości poetyckiej poety-Frenssena można było wyrzucić pastora-Frenssena za drzwi.

*

*

*

Pozostawiając na chwilę zdrowych i chorych na uboczu, pragnę słów kilka poświęcić umarłemu, który niewątpliwie należał do wybitniejszych postaci „młodych Niemiec“. Imię jego Otto Erych Hartleben, a rok zgonu 1905.

Jak większa część poetów, których srebrna fala 1890 r. wyniosła na brzeg uspiętego jeziora, O. E. Hartleben nadziei w nim pokładanych nie urzeczywistnił.

Kto wytłómaczy dziwne fatum zawisłe nad talentami „młodych Niemiec“? O. E. Hartleben jest najpierwszą ich ofiarą znaną na ołtarzu śmierci. Twórczość swoją rozpoczął, jako liryk—skończył, jako satyryk i komedjopisarz.

Co prawda, utwory liryczne Hartlebena, wyszły w roku 1895 pod tytułem „Meine Verse,“ noszą późniejszą datę, niż jego znane nowele humorystyczne, które się stały podwaliną jego sławy, lub mniej udatna parodia Ibsenowska „Zaba“ i niektóre komedye. Jeżeli jednakże wziąć pod uwagę czas, w którym pojedyncze z pieśni lirycznych powstały (niektóre zostały już napisane w roku 1883), to podział powyższy okaże się słuszny. „Meine Verse“ jest najpiękniejszym i najlepszym utworem Hartlebena. Ani późniejsze antologie: „Von Reifen Früchten,“ „Halkyonische Gesänge,“ ani znana tragedia oficerska „Rosenmontag“, nie mogą się mierzyć co do polotu i rozmachu z owym pierwszym tomikiem poezji, który zaliczyć należy do najudatniejszych utworów „młodych Niemiec.“

Zadziwiające bogactwo i siła! Potężne majestatyczne rytmy morza, zawarte w cyklu, zatytułowanym „der Sünder,“ a napisane w Norderney w r. 1883, w rodzaju następnego wiersza:

Seit jener Nacht spricht die Natur zu mir nicht mehr,
mir schweigt des Lenzes Saatengrün, mir schweigt das Meer!

Ody, pełne klasycznej piękności i młodzieńczego entuzjazmu.
Forma Horacyuszowa:

Sträuben sollen wir uns wider das Eisenjoch,
dem der Gewohnheit Schmutz würde des Alters lieb;
wen das steigende Licht grüsst,
nie sehn' er die Nacht zurück!

Fanfary, okrzyki bojowe, hejnały. Znakomity cykl pod nazwą: „Moderne Oden.“ Świeże, jasne, czarujące piosnki miłosne, przypominające swym srebrnym dźwiękiem Heinego, Lenaua. Silne poezye socyalne...

Wtem nagły przewrót.—Sarkazmy bolesne, zwątpienie, żal...
Wszystko to od pobytu w Berlinie.

Berlin, stolica zwycięskich Prus! Berlin — bogaty, bogaty Berlin...

Jakaś struna zerwała się w duszy poety. Opisując swą rodzinną wioskę w górach porośniętą świerkami, skąd po raz pierwszy wzrok jego z zachwytem witał różnobarwne cuda świata, kończy bolesnym spazmem.

Die Welt ist bunt. O, wär' sie bunt geblieben! —

Czara miłości w kielich goryczy się zamienia, a skarga straszna łąka:

Oh, dass du mich, o dass du mich erkoren!
Unwert und schwach bin ich:
Ich hab' die Kraft,
ich hab' das Glück verloren,
verlor auch dich! —

Cóż się stało, właściwie? Hartleben jeszcze pełen zapału i illuzji pograżył się w odnętą życia berlińskiego. Tutaj wśród wszechwładnie panującego materyalizmu, wśród orgij egoistycznych, dzikich żądź, pobudzonych do delirium chciwości i bezwzględności przez niesłychany ekonomiczny rozkwit „Państwa“ po wojnie francusko-niemieckiej, młody idealista traci swe białe pióra. — Widzimy go opowiadającego z pogardliwym uśmiechem na ustach dowcipne, sarkastyczne anegdotki z życia berlińskiego i smagającego niemiłosiernie nienawistnych filistrów. Do tego okresu należy słynna historia Hartlebena „O oderwanym guziku“ i jego

komedye: „Angele,“ „Erziehung zur Ehe,“ „Hanna Jagert,“ „Sittliche Forderung.“

Moloch-Berlin, pseudo kultura militarno-urzędnicza Prus i napchane złotem kieszenie nadających ton plebejuszów... Tutaj dałaby się niejedna przyczyna nagłego zaśnięcia srebrnej fali roku 1890 odszukać... W tej tłumiącej, dusznej atmosferze podnieconych zmysłów, rozszalałej konkurencji, sztywnych mundurów, wystrzelających, jak grzyby po deszczu kominów fabrycznych, profesorów wywodzących światopoglądy z cyfr sprawozdań statystycznych i zastępów artystów-karyerowiczów, pracujących gorączkowo dla sensacyi, pieniędzy i orderu.

Hartleben był jednym z tych, którzy do gruntu znienawidzili Berlin. Natura jego miękka, niezdolna do walki, szukająca tylko słodyczy bytu, skłoniła go szybko do odwrotu. W objęciach Bachusa szukał zapomnienia—kufel i kielich stały się jego fatum... podkopały siły herkulesowe i przedwcześnie w grób go strąciły.

Alles ist mir Schnuppe! Gwiżdżę na całą waszą terażniejszość! — Tym tonem odznaczają się wszystkie jego studenckim dowcipem zaprawione opowiadania. Hartleben stworzył zupełnie odrębny styl satyry, uśmiechniętej i zuchwałej, szydzącej i dobrodusznej zarazem. Satyra jego nie jest biczem, ale cienką, gibką różeczką. Rodzaj ten najlepiej możnaby określić francuskim wyrazem—moquerie.

Napróżno starał się Hartleben później znów nastroić lutnię na tony potężniejsze. Ani późniejsze jego poezye, które pod względem formalnym są utworami udatnemi, ani tragedia „Rosenmontag“, utwór cieszący się największem powodzeniem, nie były temi pożądanemi czynami twórczemi. Goethe, Anioł Szlżak, ody klasyczne, Włochy — to harmonie, w których serce jego chore, zatrute wstrętemi pogardą, szukało uzdrowienia.— Zapóźno, niestety.

W komedjach swoich zajmuje Hartleben stanowisko na pozór dość zbliżone do stanowiska Strindberga. „Verachte das Weib“ jest mottem jednej, a treścią wszystkich niemal jego komedyi. Ciekawą jest ewolucya typu kobiecego w tych utworach od bezwstydnej kokietki Angeli, szukającej najlepiej płacącego kupca za siebie, do wyrachowanej, mądrej Hanny Jagert, posiadającej cały arsenał nieprzewyciężonych argumentów. Typem pośrednim jest Meta w komedyi „Erziehung zur Ehe.“

Sprawy kobiecej Hartleben nie bierze na seryo. — Któż widział robić z tego powodu taką wrzawę? — Głupstwo! — Ale i typy męskie jego komedyi nie należą do dodatnich. Różeczką swoją wymierza autor razy zarówno męczyźnie i kobiecie, a motto

jego: „Verachte das Weib“ możnaby równie dobrze do typów męzkich jego twórczości zastosować. O głupoto mężka! zda się wołać poeta, śmiejąc się do rozpuku, dlaczegoż się tak dajesz wodzić za nos? I jeszcze w końcu wszystko na seryo bierzesz? Sceny takie, jak niezwykle komiczna pomiędzy kandydatem teologii, a byłym kochankiem Angele, albo pomiędzy Ritą Revera, śpiewaczką międzynarodową a Fryderykiem Stierwaldem, właścicielem firmy „C. W. Stierwald i Synowie“ w Rudolstacie (jednoaktówka: „Sittliche Forderung“) są wymownym dowodem, że poeta ani jednej, ani drugiej strony na seryo nie bierze i zupełnie niesłusznie stawiany bywa jako wróg nieprzejednany rodu kobiecego obok Strindberga.

Ostatnie lata swego steranego życia spędzał Hartleben w Saló, nad jeziorem Gardejskim, w pięknej swej willi Halkyone, którą nabył po dobroczynnym złotym deszczu tantem i niespodzianych tryumfach tragedyi „Rosenmontag.“ Posiadamy ciekawy opis tego buen-retiro poety przez znanego powieściopisarza Hansa Bethge, który odwiedzał Hartlebena w Saló na rok przed jego śmiercią. Wśród szpalerów róż, z wielkimi nożycami ogrodniczymi w ręku ukazuje się nam przedwcześnie posiwiał, pochylony poeta (Hartleben umarł, mając lat 40), w cieniu białej kolumnady greckiej, zbudowanej według jego planu i ozdobionej zwieszającemi się festonami winnej latorośli. Przed nim — widok cudny na lazurowe jezioro, potężne zarzysy Monte Baldo, Isola di Garda, przypominającą fantazyje Boeklinowskie, na pałac Borghese... Fale pluszczą o marmurowe stopnie małej przystani, w której kołysze się łódka z napisem „Ellen, mein Kind.“

„Chcesz pan zostać członkiem mojej akademii?“ pyta Hartleben, i na potakującą odpowiedź gościa prowadzi go ku przystani, gdzie nad brzegiem jeziora stoją w kilku rzędach amfiteatralnie umieszczone fotele marmurowe. „Patrz pan, to halkyońska akademія nauk niestosowanych w Saló, dodaje poeta z najpoważniejszą w świecie miną. Na każdym fotelu już zajęтым wyrzute jest, jak pan zauważyć może, imię członka.“ Max Halbe, Meyer-Förster, malarz Alf Bachman, rzeźbiarz Habich i w. i. mają swoje fotele. Przywołana dziewczyna przynosi na tacy flaszkę Chianti i dwie czary z pięknego szkła weneckiego. Napełniwszy je winem, odkrywa Hartleben głowę i mówi uroczyście: „Niniejszem mianuję pana zwyczajnym członkiem halkyońskiej akademii—Nasdar!“

Wieczory spędzał „il poeta“, jak go w Saló powszechnie nazywano, w teatrze, gdzie t. zw. „łoża królewska“ była stale dla niego zarezerwowana.

W Saló pisał Hartleben swoje epigramaty, wyszłe w r. 1904 pod tytułem „Der Halkyonier,“ Pieśni Halkyońskie, ostatnią swoją pracę sceniczną „Im grünen Baum zur Nachtigall“...

Ta na pozór szczęśliwa, idylliczna, ostatnia przystań poety nie była w rzeczywistości niczem innym, tylko cichem schronieniem rozbitka, który z bolesnym uśmiechem na ustach szepce: — Ave vita!...

Jeziro, na którego wybrzeżu srebrna fala roku 1890 zasnęła, śpi spokojnie, ale dla uważnie wsłuchującego się powietrze jest pełne szmerów, skarg, westchnień tajemniczych, pytań... nawoływań.

*

*

*

Pomiędzy młodszymi talentami, które w ostatnich czasach zwróciły na siebie uwagę, zasługuje na szczególną wzmiankę grupa poetów południowo-niemieckich, żyjąca nad jeziorem Bodeńskim. Najstarszemu z nich, dziś około 40-tu lat liczącemu badeńczykowi, Emilowi Straussowi, należy się palma pierwszeństwa, pomimo, że sława młodego szwajcara Hermana Hesse i jeszcze młodsza sława Finkha, zaćmiły jego gwiazdę, naturalnie nie w oczach znawcy, ale zato w oczach — publiczności.

Herman Hesse odrazu, pierwszą powieścią swoją „Peter Camenzind“ (1904 r.) zdobył sobie serca publiczności. Jest to niezaprzeczenie utwór bardzo udatny: pamiętniki górala, który z czystego i jasnego świata wolnych gór zstępuje w pełne mgieł i zaduchu niziny, widzi miasta, pije ze źródeł wiedzy i sztuki, odurza się różnorodnymi narkotykami cywilizacji, doznaje zawodów przeróżnych i przeróżnych słodyczy kosztuje, poznaje miłość i przyjaźń... i w końcu rzuca świat nizin, gdzie piersi jego szerokiej brak tchu, a oczom przyzwyczajonym błąkać się ponad szczytami — wolności, ażeby powrócić do wioski ojczystej i jakby nigdy nie rozpocząć życie dziada, pradziada. W biurku jego leży niewykończony utwór (Piotr Camenzind był w nizinach literatem), który mógłby się stać czemś obiecującym, ale Piotr uważa za rzecz ważniejszą łątać dach swój chatki i pić ciężkie wina waadtlandzkie i wetlińskie, słowem — żyć, jak dziad i ojciec żyli. — Powieść ta, pomimo wielkich zalet, pomimo pełnych subtelnej piękności

opisów, robi wrażenie fragmentu; jest w niej coś niedopowiedzianego, jakaś struna niedociągnięta.

W roku 1905 ukazała się druga z rzędu powieść Hessego: „Pod kołem“ (Unter dem Rad), której jednakże niepodobna nazwać krokiem naprzód, chociaż pojedyncze rozdziały odznaczają się znacznie większą plastyką, niż w poprzedniej. Powieść „Pod kołem“ porusza w ciekawy sposób ciekawą i zawsze palącą kwestyę szkolną.

Chłopaka, który okazuje chęć do nauki i wybitne zdolności, zameczają pracą. Rektor i pedagodzy szkoły małomiasteczkowej postawili sobie za punkt honoru przygotować go do egzaminów rządowych, dających wstęp do seminarium, a następnie do uniwersytetu na koszt rządu. Chłopiec zdaje w końcu egzamin. Przechodzą wakacje. Zamiast odpoczynku, znowu nauka. Każdy z profesorów czuje się obowiązany wtłoczyć jeszcze jak najwięcej wiedzy w głowę biednego dziecka.

Tak przygotowanego seminarzystę dostawia ojciec do przybytku wiedzy, pochłaniającej rok rocznie przynależną rządowi hekatombę, w postaci młodych, zdolnych dzieci.

Chłopiec uczy się dobrze, zdobywa sobie wprędce opinię zdolnego i pilnego ucznia. Wtem nagły przewrót. Nastaje niebezpieczny dla zdrowia, dla pedagogów straszny czas przemiany dziecka w młodzieńca. Podkopane zdrowie nie jest w stanie wytrzymać nawet tych pierwszych wiosennych przewrotów i załamuje się nagle. Później drugi cios. Chorego chłopca wydalają ze szkoły. Koła rydwanu państwowego toczą się dalej, po jego ciele i po ciałach wielu innych, którzy corocznie padają. I jeszcze jeden cios: pierwsze zatrute krople zakazanej miłości... Znacomie opisana jest ta bezkrwista miłość chłopięca ze stygnatem śmierci na czole.

Podobny temat obrał przed kilku laty (r. 1902) Emil Strauss w swej znakomitej powieści „Freund Hein.“

Emil Strauss jest naturą artystyczną, kompletnie zrównoważoną. Rzadko kto pośród dzisiejszych powieściopisarzy niemieckich buduje tak monumentalnie. Powieści jego są prawdziwymi kopalniami dobrego stylu. Robiąc porównania pomiędzy obiema powieściami (Freund Hein stoi pod każdym względem wyżej od powieści „Unter dem Rad“) niepodobna nie zwrócić uwagi na prawie jednogłośnie brzmiące oskarżenia obu autorów przeciw dzisiejszemu systemowi szkolnemu w Niemczech. Jak szkoła niemiecka ogromnym balastem martwej wiedzy przytłacza, zabija wszystko, co jest podstawą życia, jak zapominając o tem, że

non scholae sed vitae discimus, zatracą w skamieniałym formalizmie poczucie swej wielkiej odpowiedzialności względem społeczeństwa, w świętokradzkiej niwellacyi unysłów—sunienie, o tem szczególnie w ostatnich czasach można było wiele słyszeć.

Z dreszczem przerażenia czyta się odpowiednie rozdziały w wymienionych powieściach Straussa i Hessego. Nie daj Boże, ażeby nasi przyszli gimnazjalni profesorowie literatury polskiej traktowali w podobny sposób naszych wieszczów, jak tam traktują Szyllera i Goethego, Platona i Homera. Zuchwały belfer, który brudnemi, atramentem oplamionemi paluchami, gmera w złotych skarbach narodu, składając przed niedojrzałymi młokosami dowody swego krytycyzmu, naszpilkowując każdą „niedokładność“ każdy „błąd“ logiczny lub gramatyczny mistrza—jest widnem, mrozącem w żyłach krew. Nie daj Boże, aby szkoła nasza miała przejść przez to stadyum, któreby większą szkodę społeczeństwu przyniosło, niż niejedna bieda i niejedno nieszczęście, któreśmy dotychczas przetrwali. Wówczas może i w naszym piśmiennictwie zamiast młodych, silnych fal, bijących jędrnym rytmem o brzegi życia, mielibyśmy uspione, milczące jezioro z srebrnemi, cichemi falami, zasypiającemi na piasku wybrzeża i ciche szepty i skargi żalosalne i pytania drżące i zmęczone westchnienia... Żadne skarby Europy, żadne „rozkwity ekonomiczne“ nie byłyby w stanie powetować tej straty.

Punktem kulminacyjnym dotychczasowej twórczości Emila Straussa, jest ostatnia powieść jego: „Kreuzungen“ (1904), poruszająca problemat Getowskiej powieści „Wahlverwandschaften:“ — Mężczyzna pomiędzy dwiema kobietami; związany z jedną więzami obowiązku, wdzięczności, szacunku i przyjaźni,—pociągany ku drugiej nieprzepartą potęgą zmysłów i serca.

Język tej powieści Straussa jest nieskazitelnie piękny. Idea przeprowadzona bardzo oryginalnie, zupełnie w duchu współczesnym.

Powieści Emila Straussa mają swoją specjalną melodyę, która długo jeszcze po przeczytaniu utworu dźwięczy nam w sercu. „Freund Hein“ możnaby najlepiej porównać do tęsknej melodyi skrzypcowej, płynącej cichemi falami zmroków; „Kreuzungen“ — to trio. Fortepian, skrzypce i flet. Każdy instrument śpiewa swoją melodyę; dźwięki łączą się, splatają, oddalają, gubią się, łączą ponownie tworząc zupełnie nowe kombinacye i urywają nagłym, jasnym, radosnym akordem.

Pojąć nie mogę, dlaczego artysta tego kroju, co Emil Strauss nie zdobył dotychczas w piśmiennictwie i wśród publiczności niemieckiej stanowiska, które mu się ze względu na jego twórczość

należy. Dla polskiego czytelnika styl Emila Straussa, szczególnie styl „Kreuzungen“ wydawać się będzie na pierwszy rzut oka trochę rozwlekły i nudny. Kto jednakże przewycięży pierwsze niekorzystne może wrażenie, które na nasz znacznie żywszy temperament mogłaby wyrzucić flegmatyczna, gruntowna natura południowo-germańska, ten sownie za to wynagrodzony zostanie całym światem prawdziwej piękności i niezwykle misterną robotą psychologiczną.

Do zapoznania się z twórczością Straussa nadaje się lepiej „Freund Hein.“

„Kreuzungen“ należałoby czytać równolegle z getowską powieścią „Wahlverwandschaften.“ Trudno o ciekawszy materiał do porównań, pomiędzy dwoma odrębnymi światami: teraźniejszością a wiekiem Goethego i Szyllera.

Walka tocząca się w sercu Edwarda pomiędzy szacunkiem i przyjaźnią dla żony, Szarlotty, a miłością i uwielbieniem dla nieszczęśliwej Otylii (Wahlverwandschaften), powtarza się w „Kreuzungen.“ Ugrupowanie bardzo podobne, ale jakaż olbrzymia różnica w każdym szczególe. Ludzie w powieści Straussa przesiąknęci są zupełnie innym duchem, żyją według innej moralności, w zupełnie innych warunkach bytu. Edwarda, Szarlottę i Otylię rozumiemy, współczujemy z nimi. Ale Herman, Elfryda i Klara (Kreuzungen), stoją nas nieskończenie bliżej. W ich myślach, uczuciach, czynach odnajdujemy zagadnienia teraźniejszości, w ich historii życia przeżywamy kawał współczesnych walk. Oba te dzieła w zestawieniu, uczą więcej niż całe stopy broszur o prawach mężczyzny i kobiety, wolnej miłości, nierozzerwalności ślubów, doborze naturalnym i reformie instytucji małżeńskiej.

*

*

*

Tak zwana sztuka oficjalna miała w r. 1905 tryumf do znaczenia. Uderzono z Weimaru we wszystkie dzwony, ażeby obwieścić światu, że najnowszy utwór Wildenbrucha jest arcydziełem. Wiadomości te są oczywiście przesadzone. Podobno wrażenie premiery „Pieśni Eurypidesa“ było bardzo dodatnie. Bądź co bądź daleko temu dziełu jeszcze, pomimo zapewnień prasy weimarskiej, do klasycyzmu Goethego lub Grillparzera. „Stopień świa-

ta klasycznego z teraźniejszością!“ Ileż razy słyszeliśmy już ten frazes. Towarzyszy on nieodłącznie prawie wszystkim kulawym dramatom grecko-niemieckim, jak Mefistofeles Faustowi. O ile muzyka, którą kompozytor Maks Vogrich do dramatu Wildenbrucha napisał, ma rację bytu i czy jest dobra, trudno osądzić, nie znając utworu ze sceny. „Pieśni Eurypidesa“ nie były dotychczas nigdzie wystawiane po za Weimarem. Co do tekstu Wildenbrucha, nie podobna się ani na chwilę ludzi. Wildenbruch, poeta Hohenzollernów, laureat i poeta nadworny, posiada sporą dozę talentu, na co dowody znaleźć można w niejednym dziele jego niezwykle obfitej twórczości. Ostatni jego utwór powieściowy „Das Schwarze Holz“ (1905) jest wcale niezły. Do kompozycji monumentalnych brak Wildenbruchowi jednakże bardzo wiele. Temat i inwencja „Pieśni Eurypidesa“ są dobre, nie zawsze jednak zdołał poeta znaleźć odpowiedni założeniu wyraz, a tu i tam nawet grubsze usterki się zakradły. Treść dramatu następująca:

Akt pierwszy. Noc... Świątynia Ateny... Grecya. Dziewice kapłanki zbliżają się, niosąc płaszcz dla bogini. Jedna z nich otrzymała rozkaz wyszycia na płaszczu wizerunku Eurypidesa, ulubionego przez naród poety. A czyj wizerunek bogini na piersiach nosi, temu nie stać się nie może. Elpinike zamiast podobizny poety wyszyła wizerunek swego kochanka Eurynomosa, prostego żołnierza, mającego wraz z całą armią grecką wyruszyć na wojnę bratobójczą, przeciw Syrakuzom. Po odbyciu ceremonii kapłanki rozchodzą się. Elpinike i Eurynomos. Eurynomos dowiaduje się o czynie ukochanej i poznaje grożące jej z tego powodu niebezpieczeństwo. Pomimo tego, jakby nigdy nie, po modlitwie kochanków, podczas której ukazuje się nagle ponad świątynią błogosławiąca postać Bogini w blasku wschodzącego słońca, Eurynomos wyrusza na wojnę. Pierwszy błąd kardynalny. Elpinike, kochając Eurynomosa, nie może mu powierzyć swej tajemnicy. Jeszcze mniej zrozumiałem jest zachowanie się Eurynomosa, który dowiedziawszy się o grożącym ukochanej istocie niebezpieczeństwie, opuszcza ją.

Dzień. Święto Ateny. Kapłani spostrzegają czyn zuchwały Elpiniki. Naród domaga się jej śmierci. Wtem zjawia się Eurypides. Wzruszony widokiem pięknej Elpiniki i przejęty jej wyznaniem poeta prosi o darowanie jej winy. Naród darowuje mu ją, pozbawioną godności kapłańskiej, jako niewolnicę.

Akt drugi. Elpinike smutna, w zadumie, w ogrodzie przed pałacem Eurypidesa. Przed nią morze. Powracający z miasta

niewolnik przynosi wieść o zupełnej zagładzie wojska ateńskiego. Eurypides wraca po długiej niebytności i wyznaje Elpinice w namiętnych słowach miłość swoją. Napróżno szukał zapomnienia. Długa wędrówka była tylko ucieczką przed tem, co przyjść musiało. Teraz jednakże, gdy niepodobna więcej wątpić o zupełnej zagładzie wojska ateńskiego, nadzieja odżyła w jego sercu... Bogowie tak chcieli, kto żyje, musi życia używać... Przerazona, złamana tem wyznaniem uwielbianego poety Elpinike daje się porwać rozpaczy. Boleść z powodu śmierci ukochanego, podwaja jeszcze żal jej do Eurypidesa, który szorstką dłonią zniweczył w jej duszy czar swej boskości, stając przed nią w nagości zwykłego śmiertelnika. (Trudno zrozumieć, dlaczego tę mieszaninę pojęć pogańskich i chrześcijańskich krytyka nazwała kunsztownem stopieniem dwóch światopoglądów). Wtem od strony wybrzeża wpada do ogrodu Stesimbrotos. Na łódce udało mu się uciec z pola bitwy... jemu jednemu. Stesimbrotos na pytania Eurypidesa opowiada przebieg walki. Podczas bitwy, gdy wojska ateńskie zdziesiątkowane i ze wszystkich stron okrażone gotowały się do ostatniej rozpaczliwej walki, jeden z wojowników Eurynomos zaintonował pieśni Eurypidesa. Hermokrates, wódz syrakuzczyków, wielbiciel poezji greckiej, darowuje pod czarem tych pieśni ateńczykom życie.—Eurynomos, piewca poezji Eurypidesowej, i Elpinike jego nauczycielka! Wzruszony do głębi Eurypides daje się poznać młodemu wojakowi i przyrzeka Elpinice wolność i pomoc. Scena ta może być scenicznie bardzo efektowna, co do charakterystyki Eurypidesa pozostawia jednakże dużo do życzenia.

Akt trzeci. Syrakuzy. Hermokrates obchodzi swe zwycięstwo nad ateńczykami. Taniec. Muzyka. Z głębi więziennej daje się słyszeć śpiew wziętych do niewoli ateńczyków. Za każdym razem, gdy śpiew ten się rozlega, muzyka tryumfalna syrakuzczyków milknie, taniec urywa się. Wszystko słucha czarownych pieśni Eurypidesa na cześć ojczyzny. Hermokrates każe przywołać jeńca Eurynomosa, aby grał i śpiewał, ale ten, przejęty boleścią chwili, wzdraga się. Wtem zjawia się Eurypides. Naród poznawszy go wraz z Hermokratesem na czele, składa mu oznaki czci. Eurypides ucieszony takim przyjęciem prosi o wydanie jeńców greckich. Hermokrates waha się. W końcu jednakże pod czarem wymowy Eurypidesa, który apeluje do uczuć pobratymczych, syrakuzczycy wypuszczają jeńców na wolność. Na skinienie poety niewolnik wprowadza Elpinikę, którą przy okrzykach wesołych, podziwiającego piękność jej narodu, Eurypides oddaje oniemiałemu z zachwytu Eurynomosowi. Poeta śpiewa pieśń na cześć Grecyi

i jej dzieci. Na obłoku zjawia się Atena. Naród składa jej hołd i wielbi wielkiego poetę.

Trudno o banalniejsze zakończenie. Po co te rekwiizyty zapleśniałe, wzruszenia nic nie mówiące i efekty wyszargane? Życie Eurypidesa, który porzuciwszy Grecję, przez lata całe żył po za granicami swej ojczyzny i prawdopodobnie przez dłuższy czas bawił w t. zw. Wielkiej Grecji, nasuwa samo przez się znacznie lepsze, głębsze rozwiązanie. Trudno też uwierzyć, aby syrakuzczycy dla pięknych słów Eurypidesa wyrzekli się odrazu swego całego łupu wojennego, okupionego własną krwią. Poza-tem język „Pieśni Eurypidesa“ odznacza się taką koturnową nie-naturalnością, takimi wywichnięciami i rytmicznemi dziwolągami, że niepodobna, pomimo kilku bardzo udatnych scen, przychylić się do zdania krytyki weimarskiej, która może ze względu na zażyłe stosunki, łączące poetę z dworem sasko-weimarskim, czuła się, bardziej niż potrzeba, obowiązana uderzyć w najwyższe tony zachwyty.

*

*

*

Do publikacji, mających dla naszego piśmiennictwa niemałe znaczenie, należy przekład „Hymnów“ Jana Kasprowicza na język niemiecki. Dziełko wyszło w nakładzie F. Fontane i S-ki. Przekładu dokonał Stanisław Przybyszewski, przedmowę napisał Wilhelm Feldman. Zdawałoby się, że nie podobna sobie nic lepszego życzyć. Wilhelma Feldman, znakomity znawca najnowszej literatury polskiej, i Przybyszewski, gorący wielbiciel twórczości Kasprowicza, sam poeta wybitny, twórca takich wspaniałych utworów niemieckich, jak *Epipsichidion*, *Totenmesse*. Rezultat tej wspólnej pracy—pozostawia, niestety, bardzo dużo do życzenia.

Przedewszystkiem — wstęp Feldmana.

Pomijam, że wstęp ten, pisany więcej może dla czytelnika polskiego, nie zawsze nadaje się do zapoznania publiczności cudzoziemskiej z zupełnie jej obcym duchem „młodej polski“ i tak odrębną twórczością, jak twórczość Jana Kasprowicza. Jest to nieznaczną usterką, wobec fatalnych braków, za które ciężar odpowiedzialności nie spada może wcale na Feldmana, który, o ile sądzić można, nie jest znawcą języka niemieckiego.

Niemiecki wstęp Feldmana robi wrażenie niedbałego tłumaczenia z tekstu polskiego, który naturalnie zupełnie inaczej brzmieć musi. Te konwulsyjne zwroty, bombastyczne superlatywy, bełkotanie, niedołączenie klecone zdania, zadychające się okresy, które trzeba po kilkakroć czytać, ażeby je zrozumieć, te zupełnie zbyteczne nowotwory niemieckie w rodzaju „überfeinerte Nerven,“ „gotesselige Psalmodie,“ „goteshertzliches Panorama,“ „Erdall“ i t. p. są niewątpliwie dziełem tłumacza, nie autora.

Weźmy dla przykładu ustęp na str. 14 przedmowy, traktujący o poemacie Kasprowicza: „Na wzgórzu śmierci.“

„In diesem Werke ist jener furchtbare Posaunenton, der die Seele durchbebt, um sie mit einer ewigen Melodie der Sehnsucht zu durchschauern. In diesem Werke ist ungeheure Farbenkraft, die zuweilen blind macht (!). Wie er die menschlichen Leidenschaften mit seiner eigenen schöpferischen Kraft auf das Papier wirft (!), ist ein solcher Schmerz, ist ein so furchtbares Leiden, eine solche unfassbare Sehnsucht und ein solcher Leidensrausch, der sich in die lustheisse Umarmung des Satan wirft, das man mit tiefer Verehrung und gleichzeitig mit Angst und Schauer vor diesem Werke stehen bleibt.“

Ostatni okres nie tylko ogromnie zagmatwany, ale posiada tak ohydne zlepienia jak: ...wie er die menschlichen Leidenschaften... ...ist ein so furchtbares Leiden...

Ale dalej. Na każdej niemal stronnicy znalazłoby się coś podobnego. Na str. 25 czytamy:

„In der ganzen polnischen Poesie ist diese Form durchaus originell, „vers libre,“ aber durch ihn zu einer ungeahnten Kraft und (?) Macht und (?) Virtuosität gelangt. Ohne die künstlerischen Taktmasse, die man als Reim bezeichnet, offenbart sie sich, „vers libre“ (oba razy wstawiono „vers libre“ najniezwyklej w świecie) als Geysir kochender Elemente und (niedbałe, niezgrabne połączenie) nur mit einem Refrain: dem Schlagen und dem Zittern des schmerzüberfüllten Herzens.“

Fatalnie działają również w studyum krytycznym nieustannie superlatywy, wyjęte jakby żywcem z niemieckich powieści i poematów Przybyszewskiego. Podobne wyrażenia odpowiadają nastrojowi takich utworów, jak „De Profundis,“ „Totenmesse,“ w których przyczyniają się nawet do spotęgowania grozy, tutaj łatwo mogą działać, jako przesada.

Oto mała wiązanka:

„Die Hymne ist eine unerhört wundervolle (widocznie dosłowne tłumaczenie polskiego „niesłychanie“...) Schar von Visionen

des polnischen Dorfes... Das Herz, das auf der Märtyrerbank verreckt... den allmenschlichen Schmerz zum Himmel hinaufheult... zum Heulen der scheusslichsten Blasphemie i t. d. wyje, zdycha, wzdycha tłumacz, — w oczach czytelnika niemieckiego, krytyk — przez 29 stronnic, mających ułatwić publiczności niemieckiej zrozumienie wielkiego, polskiego poety.

O takich błędach jak „Verzweiflung die sich die Haare von (!) dem (!) Kopfe (!) reisst (!) (die Haare rauft)... Gebet des auf (!) dem (!) Kreuz liegenden Menschen (w oryginalne polskim stać powinno „krzyżem leżący“ człowiek, tłumaczenie niemieckie zaś oznacza „na krzyżu leżący człowiek“) wstyd wspominać.

Cóż dziwnego, jeżeli Niemiec, który zdecyduje się na wzięcie do ręki dzieła nieznanego mu poety „nawpół dzikiego“ narodu polskiego, już po kilku stronnicach wstępu, powie sobie ze śmiechem: „a toć to komiczna literatura, ta wyjąca, wzdychająca i zdychająca literatura polska,“ i z lekceważeniem zacznie niedbale przerzucać stronnice tekstu.

W swem słowie wstępnem do Hymnów Kasprowicza zaznacza St. Przybyszewski, że podjął się tej niezwykle trudnej pracy przekładu na język niemiecki jedynie ad majorem gloriam odrodzonej literatury polskiej, przytem zastrzega się, że tłumaczenia swego nie uważa bynajmniej za dzieło oddające choćby w części wszystkie piękności oryginału. Głównym celem jego pracy jest bowiem udostępnienie dla literatury niemieckiej poezji Kasprowicza, aby z czasem może jeden z wielkich poetów niemieckich na podstawie tego przekładu, podjął się nieskończenie trudniejszego zadania:—odtworzenia oryginału w całej jego naturalnej piękności.

Pobudki Przybyszewskiego są niezaprzeczenie szlachetne i piękne, ale... ach, dlaczegoż to „ale“ właśnie być musiało!

Utworów zbliżonych do oryginału, po powyższem słowie wstępnem wymagać nie można, ale jedno żądanie jest niewątpliwie uzasadnione. Przekład musi przynajmniej oddawać wiernie treść i rytm oryginału. Sam Przybyszewski to w swem słowie wstępnem przyznaje.

Braki przekładu pod tym względem są jednakże tego rodzaju, że trudno je pominąć milczeniem.

Zbyttno w szczegóły wchodzić niepodobna. Oto kilka przykładów:

W hymnie „Moja pieśń wieczorna“ (ten tytuł nosi również całe dzieło w języku niemieckim) tłumaczy Przybyszewski pierwsze słowa: „On był i myśmy byli przed początkiem“ przez „Seit dem Anfang war er,“ — co znaczy „od początku.“ Zupełnie inna

myśl filozoficzna; gdyż zupełnie inny światopogląd przedstawia się nam w słowach: „On był i myśmy byli *przed* początkiem... zanim się gwiazdy i słońca..., zanim się stało to, co cię pożera,“ jak w prostem: „On był i myśmy byli *od* początku.“ Dalej:

... więc bezlitością swych płomiennych rąk
wyciągnij członki moje do ogromu
Twojego krzyża, na którymś zawisnął
Ty sam, o Panie, ongi przed początkiem.

w tłumaczeniu brzmi:

... entspanne meine Glieder
mit deinen mitleidlosen, flammenden Händen
zu der furchtbaren Grösse
Deines Kreuzes, auf dem man dich angenagelt hat!
Dich selbst, o Herr!

co znaczy „do ogromu krzyża, do którego Ciebie przybito,“ zamiast „na którymś zawisnął.“ Tłumaczenie to zaciera potęgę wizji Kasprowicza, w której Bóg sam się na krzyżu zawiesił...

„Ongi przed początkiem“ kiedy się zmuszał „by spokój i miłość
przemienić w ogień trawiący
i w skamieniałe ślepe przerażenie.“

Jeszcze niefortunniej działa podobnego rodzaju niedokładność w innym miejscu:

Dem längst ist schon die Zeit gekommen,
da die Liebe und Ruhe
noch nicht zur vernichtenden Flammenlohe wurde
und nicht zu tötender Sehnsucht,
und nicht zu dem steinernen, blinden, schreckerfüllten Graus...

w oryginalne ustęp ten brzmi:

bo dawno już |przeszedł czas
gdzie miłość i spokój
nie były ogniem trawiącym,
ani zabójczą tęsknicą,
ani kamiennem, ślepem przerażeniem.

Przybyszewski tłumaczy „przeszedł“ przez „gekommen,“ gdy należałoby pisać „vorbei;“ przyszedł = gekommen, przeszedł = vorbei... Przyszedł, przeszedł... znaczenie wprost przeciwne. Czyżby

omyłka druku? W „Chimerze“ i w wydaniu lwowskiem „Hymnów“ mamy „przeszedł...“

Coś zupełnie podobnego mamy w następującym ustępie:

ku wirchom, skąd pycha
wygraża światu pięściami z granitu.

u Przybyszewskiego:

„zu den Sturmwinden dort hinauf,
von woher der siegesbewusste Uebermut
der Welt mit Fäusten aus hartem Granit droht.

Wirchy — po niemiecku „Firn“, wichry — „Sturmwinde.“ Czytając tekst niemiecki możnaby słusznie postawić pytanie „jaki związek mają wichry z pięściami z granitu?“ i t. d. i t. d. Trudno byłoby wszystkie niedokładności i zupełnie pobieżnie traktowane ustępy wyliczyć.

Dla przykładu wziąłem „Pieśń Wieczorną,“ podobne usterki dałyby się jednakże i w innych hymnach, szczególnie w „Salve Regina“ dowieść.

Rymy w przekładzie nigdzie nie są uwzględnione. Szkoda! Ogromna część piękności oryginału ginie przez to bezpowrotnie, gdyż w jakimś sposób dadzą się bez rymu osiągnąć owe wspaniałe crescendo uczuć, któremi Kasproicz z takim mistrzostwem włada.

Czyż naprzykład łomaczenie pierwszych, najeżonych potrójnemi rymami, wierszy potężnego „Dies Irae“ daje choćby słabe pojęcie o oryginalne?

Trąba dziwny dźwięk rozsiej,
ogień skrzepnie, blask ściemniej,
w proch powrócą światów dzieje.
Z drzew wieczności spadną liście,
na sędziego straszne przyjsie,
by świadectwo dać psalmście.

Die Posaune, die das Weltende ver-
[kündet,
wird mit einem seltsamen Klang
[erdröhnen.
Zum Eise wird das Feuer werden,
zur tiefen Finsterniss das Licht!
In Staub wird sich das Geschick der
[Welten verwandeln.
Die Bäume der Ewigkeit werden
[nackt stehen,
ihrer Blätter beraubt,
auf das furchtbare kommen des Rich-
[ters wartend,
um Zeugniß für den Psalmisten zu
[geben.

Któż odgadłby w przekładzie niemieckiem intencje twórcy poematu? Czyż ów „przyszły poeta niemiecki“ będzie w stanie

domyślić się tego wszystkiego? Czyż nie należało przynajmniej oznaczyć w jakiś sposób rymy?

Rymy u Kasprowicza, to prawie zawsze, jak żebra w ciele, których bezkarnie usunąć niepodobna. Rymy częstokroć uwidoczniają u Kasprowicza architektonikę utworu i grupują cienie i światła. Wyjąwszy takie utwory, jak „Na wzgórzu śmierci“ lub „Salome“, gdzie rymy, zgodnie z intencją autora, mają znaczenie ornamentów, rymów bezkarnie w utworach Kasprowicza usunąć niepodobna. Któż będzie w stanie zrozumieć ową cudną, kunsztowną architektonikę „Pieśni wieczornej“, jeżeli pozabawimy utwór rymów — a przez to owej fujarkowej melodyi: „a grajże mi piszczałeczko, a grajże mi, graj!“ lub rozmarzonej skrzypcowej „Rêverie“:

„O tej radości, o tem weselu,
o tem cudownem, ukrytem zieleu...“

albo tryumfalnego śpiewu organów:

„Sam z Siebieś powstał, majestat Twój płonie
na tym z wieczności zbudowanym tronie...“

Zapewne — trudności niemałe, wymagające rzadkiego zaparcia się, chwilowego stłumienia własnego „ja“, zupełnego zlania się z duchem poezji Kasprowicza!

Ale pomijam nawet ten brak.

Dlaczegoż rytm oryginału nigdzie prawie nie jest zachowany? W słowie wstępnem pisze Przybyszewski: „...ograniczyłem się na oddaniu rytmu...“ Dlaczego zamiar ten nie został przeprowadzony? Wyżej cytowane przykłady wystarczają na dowód...

Zachowanie rytmu było *conditio sine qua non*; bez tej ostatniej podwaliny cały przekład traci rację bytu. Że rytm oryginału można było bez zbyt wielkich wysiłków ze strony tłómacza zachować, dowiedzie następujące porównanie z „Na wzgórzu śmierci.“

	<i>Przekład rytmicznie zbliżony do oryginału.</i>	<i>Przekład St. Przybyszewskiego</i>
Świat cały drzemie,	Die ganze Welt dämmert	Die ganze Welt dämmert
Świat cały śpi...	die ganze Welt schläft	die ganze Welt schläft
Olbrzymie cienie kładą	Gewalt'ge Schatten la-	Endlos grosse Schatten
się na ziemię,	gern auf der Erde	kauern auf der Erde
Nad którą księżyc świe-	darüber unbeweglich	und über ihr, wie erstarrt
ci nieruchomy,	glänzt der Mond	ruht der Glanz des
		Mondes
Jakby umarły...	wie todesstarr...	wie erstorben...

	<i>Przekład rytmicznie zbliżony do oryginału.</i>	<i>Przekład St. Przybyszewskiego.</i>
Niebios ogromy	Des Himmelsraums	Die Unendlichkeit des [ganzen Himmelreiches
Ciężko się sparły	Unendlichkeit	ruht schwer
Na sennyh, mrocznych [pochyłościach globu.	auf schläfrig - finstern [Weltabgründen lastet	auf dem träumenden [Schimmernden Erdenall
O jakże smutno mi!	Oh, wie das trübe Herz [mir bangt!	O, wie mir das Herz bangt!
O jak mi tęskno samot- [no i smutno!	Wie seh'n' ich mich in [Einsamkeit u. Trauer.	Bangt und sich sehnt — [o wie ist es so einsam [und traurig.
Lucyferze! Lucyferze!	Oh Lucifer, o Lucifer!	Lucifer! Lucifer!
Drogi kochanku mój!	Du Herzgeliebter mein.	Du Herzgeliebter mein.
Z tobą wieczyste zawar- [łam przymierze—	Mit dir hab ich den ewi- [gen Bund geschlossen	Mit dir habe ich ewigen [Bund geschlossen
Czy mnie opuszczasz?	Verlässt du mich? Giess	Willst du mich verlas- [sen? auf dieses Gra- [bsinnen
[Na to sine płótno	[auf dies'fahle Linnen	
Mojego lica rozlej bar- [wy świeże —	meiner Wangen frischen [Farbenzauber —	Meines Traumgedichts(?) [giess lindernden Tau [der Frische —
Tehów ciepłych zdrój!	Heissen Atems Ströme!	die Quelle heissen Atems!
Luby wybrańcze mój.	Oh, Ausserwählter, mein,	Du, mein Einziger, du [Heissgeliebter, Auss- [erwählter du!
Czemu nie spieszysz do [swojej wybranej,	Was zögerst du mich zu [umfängen,	Warum beeilst du dich [nicht, mich zu um- [fangen,
Do swojej duszy?	Mich, deine Seele?	Mich, deine Ausserwähl- [te und deine Seele?
.....

Poprzestaną na tem. I tak aż nadto! Ale ad majorem glori-
am poezyi polskiej niech wyraźnie i bez ogródek będzie powie-
dziane: — Jeżeli mamy się pokazywać światu, to w szacie odpo-
wiadającej godności naszej. Jan Kaspruwicz zasługuje na coś zu-
pełnie innego, niż to, co mu zawieszono na jego potężne ramiona,
i lepiej byłoby może, gdyby go Europa w tej szacie nie była
poznała!

JAN KACZKOWSKI.

Pan Balcer w Brazylii.

V.

.
Port było miasto. Ale aż po ranu
Noc u kościelnych przetrwawszy podwoi,
Sinego morza dojrzeli my łanu,
Gdzie statków gęsto niby kopie stoi.
Rozór ci to był srogi Oceanu,
Co srebrną bruzdą na dwojgo świat kroi,
Że dwoma skiby upada na strony,
Prawą i lewą połową dzielony.

Więc jako pątnik, kiedy mu zdaleka,
W mgłę zamajaczy ostrobramska wieża,
A on, choć szczudłak, i choćby kaleka,
Czołem w radości o ziemię uderza,
Iż ujrzął, na co dusza jego czeka, —
Tak tam, gromada nasza, u odźwierzca
Powrotu swego padła na kolana...
— Witaj, przewitaj, ty drogo żądana! —

...Któreś nas zwało przez wielkie pustynie
Krzykiem tęskności, co w szpikach aż wierci,
Gdy dusze nasze, wyschnięte w tej glinie
Ciał umęczonych, padały się w ćwierci—
Któreś nas zwało po pilnej przyczynie,
By odnieść kości nasze do tej śmierci,

Co cicha siada na chaty przyproże,
W spokoju zaszłych zórz — zawitaj morze!

...Któreś stanęło okrutnym przestrzałem
Od nas tułaczy, do domu i rodu,
A teraz skrzydłem ponosisz się białem
Od słońca wschodu, do słońca zachodu,
Ciebie ja, naród ubogi, doznałem,
Od piany piór twych, do czarnych żył spodu,
Gdziem widział dziatki moje potopione,
Jakby miesiącem zaszłe — tak zielone.

...Witajcie srebrne wierzeje i wrota,
Które nam oto Bóg do dom otworzył,
Iżbyśmy swego chwyciwszy się płota,
Jak pień wyrwany byli, co zaś ożył.
Oto nas tutaj przywiodła tęsknota,
Oto lud zdrowiem i życiem nałożył,
By duszę dowlec tu, i spojrzeć w zorze
Nadziei swojej... Zawitaj nam, morze!

...Niechże twe szumy nademną się staną,
Niech mnie korabie twoje precz poniosą!
Bom Łazarz, jedną oskorupion raną,
Od wierzchu czaszki, po stopę aż bosą...
Na ziemię dobrą i obiecowaną
Szedłem, a teraz powracam się, bo są
Niezwyciężone rzeczy, bym ostawał,
Korzenie puścił tu, i owoc dawał!

...Człowiek ja jestem polnego zawodu,
Inakszej roli, z pod inszego nieba...
Lipy mi kwietnej, pszczoł brzęku z ogrodu,
Wierzby a brzozy szepezącej mi trzeba...
Nie szukałem od rodu, prarodu,
Wyżebranego u ziem cudzych chleba,
Anim światami goniwał cudzemi...
Co mi świat? Własnej, rodzonej chęć ziemi!

...Doma chcę! Niechaj twój żagiel zruszony
 W ojczyście kraje duszę mą pomiotaj!
 Bom naród-oracz bez pługa i brony,
 Bom naród-kowacz, bez kuźni i młota...
 Do strzechy żytniej jestem utęskniony,
 Jako do matki ubogi sierota...
 Nieśże mnie teraz skrzydłami czteroma
 Śródniebnych wichrów twoich! Ja chcę doma

Tak mówił Bugaj Piotr, a głos szedł z wnętrza,
 Jakoby z żywej i otwartej rany.
 A on, gdzie odsyp najwyższy wał spiętrza,
 Wparł się w piach mokry oboma kolany.
 Już fala bije po nim, która prędsza,
 Już na pierś skacze, już szarpie sukmany,
 Już przez łeb... Nie czuł, tak żal był w nim srogi.
 Dopieroż ja go za kark i na nogi!

Chwiał się chłop chwilę, jakby łyknał z kwartę,
 Mokra czupryna zwisnęła na oczy,
 A te źrenice szeroko otwarte,
 Błędnie chodziły po modrej roztoczy...
 Tak zaraz baby uczynią mu wartę,
 Iż to i słowo tak człeka zamroczy,
 Tak go rozchmieli, rozbierze tak w sobie,
 Że klęśnie, jakby po wielkiej chorobie.

.

Poszlimy w miasto. Siedziało okrakiem
 Na rzece, co my tu za nią bieżeli,
 Od kiedy w gorcach porwawszy się ptakiem,
 Leciała, szumiąc z srebrzystej gardzieli.
 Teraz, skrzydliskiem rozwiana dwojakiem,
 W dwoje wód grzmiących potęgę rozdzieli,
 Zawściąga wartu, pian puchy rozpierza,
 I pełną piersią w ocean uderza.

Dopieroż je tu na uzdę! Most tęgi,
 Kraciasty, niby ta zębata brona,
 Oba jej boki dymiące sparł w cęgi
 Przyczółów swoich. A rzeka zaś ona,
 Żwa munsztuk, targa na sobie popręgi,
 Niezbytym jeźdźcem będąc przeskoczona,
 I piany pluje u każdego słupa,
 Jak ogier co w nim ta wątroba chlupa.

Cud było patrzeć stąd na wieże, mury,
 Jak to szło jedno drugiemu przez głowę,
 Iż brzeg był górny a kragły z natury,
 Właśnie jakoby wykuty w podkowę.
 Bokami brodził gród, jak czynią nury,
 Zaś czubem wiercił tę bożą posowę;
 A dym z kominów wprost w niebo tak pędził,
 Że miałbyś szperkę w nim, tobyś uwędził.

Pogoda była cicha, rzeźki ranek,
 Jak u nas bywa ku świętemu Janu;
 Ostatnie gwiazdy gasiły kaganek,
 Którym w noc świecą Chrystusowi Panu.
 Dalekich statków kołysał się wianek
 Na nieobjętych falach oceanu,
 A te, jak owce w runie, szły do brzegu
 Z przepaścistego swojego noclega.

Jarmark był. Kipiel okrutna, i mrowia
 Ludzkiego wrzątek niestrzymany zgoła.
 Ledwoś wpadł, jużci od zadu strzeż zdrowia,
 Jużci od żeber znów, jużci od czoła...
 Strój różny. Tutaj sajeta, tu krowia
 Skóra z sierzechułą, a szastnie gdzie poła,
 To nagość łysku pisana w kolory,
 Jak jajo, onej wielkanocnej pory.

Dopiż wrzask! Każdy cię do swojej kupi
 Ciągnie, szamoce, przygwałca i trzyma,
 Że człowiek tylko te oczy wylupi,
 A ów mu gębą, jak wiatrem miech, dyma.
 A niech zmiarkuje twój rozum, że głupi,
 To cię jak hubę namięklą wyżyma,
 Aże ostatnim popuścisz szelągim...
 Nie lża tam inak, jak pięścią a dragiem.

Więc krzyknę: — kupy pilnuj a wał klinem!—
 Tak wnet się nasza gromada obwoła.
 Ja poprzód, za mną Roch wespół z Marcinem,
 Skroś ciźbę pruje, jak byk dając czoła.
 Niejeden z okiem odleciał w bok sinem,
 Niejednego my zwalili chochoła,
 Niejeden stragan pogubił pierogi,
 Aż my w tym ścisku dobyli se drogi.

Dobra nas gwiazda wiodła. Kęs na prawo
 Był plac. Z nagłości wparli my się w niego,
 Jak płocie, kiedy wałą gęstą ławą,
 Strzymać nie mogąc naporu własnego.
 Czarni, obdarci, nakryci kurzawą,
 Niżli do ludzi, do stada dzikiego
 Rychlejsi podobni, a każdy kij w garści.
 Wtem krzyk:—Stój! Stójcie! Ażeby wciornaści..

Takem otrzeźwiał. Jakby mi więc miodu
 Kapnął na serce spalone w goryczy...
 Patrzę, na placu moc wielka narodu,
 A za ożydle trzęsie mnie i krzyczy
 Jakowys Mazur tęgiego zawodu.
 Czupryna lniana, twarz w ognjach, kark byczy,
 A tuż przed nosem moim srogie pięści...
 Tak wrzasnę:—Bracie! A niech ci Bóg szczęści!..

I nie pytając kto, co, jak, któredy,
 Zwalilem mu się, by kłoda, na szyję.

Tak insi nuż się obłapiać w te pędy...
 Mazur, nie mazur, wszystkie parachfije
 Za jedno! Nikto nie słucha komendy,
 Krzyk z krzykiem, słowo się ze słowem bije,
 I nie tak sobą rodzeni się cieszą,
 Jak my, we światach tych, swojacką rzeszą.

Wielka to rzecz jest ta pospólna dusza,
 Co ją ojczysty zagon w naród wszczepił,
 Że jest rodzący, jak jabłoń, czy grusza,
 Jednak i owoc, jak żeby kto lepił!
 Pomyśleć tylko... Co u paralusza!
 Chlebam nie łamał z tobą, wodym nie pił,
 A niech cię, chłopie polski, gdzie obacze,
 Razem i radość mam, i razem płacze.

I zaraz mi się po kościach obzywa
 Ten praojcowy ród, ta ziemia macierz...
 Hej, niechaj człek się i skóry wyzbywa,
 Jedna mu dusza z bracią, jeden pacierz!
 Rozerwie-li kto? Aliści, jak żywa,
 Zrasta się miazga we pniu, choć go zaciesz
 Siekierą, w sam rdzeń, przez biele, przez kory,
 I spólnym majem zakwita swej pory!

Tak my się zwarli w kupę. Jezu Chryste!
 Jakże nie buchniem duszą, by ukropem!
 Jak o ziem czapy nie runą rzesiste!
 Jakże się w bary nie chwyci chłop z chłopem,
 Jak nie zajarzą te lica sierdziste
 We łzach! To, wiera, że prędzejbyś czopem,
 Onego źródła, co bije z pod ziemi
 Zatkaną, niż serca te, ze łzami temi!

Zaczem po placu pojrzę. Czworobokiem
 Stały tam wozy, w półkoszki, w półdraby,
 Szkapy żwające po torbach z obrokiem,
 Kury a gęsie, prosięta a schaby...

Lud zadufany, nieustępny krokiem,
Chłopy w lejbikach rządnych, w chustach baby,
Pstrzy się to, kwieci, buszuje, pokrzyka,
Głowa przy głowie tuż, przy bryce bryka.

Wszyscy gadają naraz. Jak w podwośnie,
Sto żył z podziemnych ruczajów wybucha,
Tak huczy wrzawa, tak gwar setny rośnie,
Każdy prowadzi rzecz, a nikt nie słucha.
Dopieroż gdy z tej nagłości ochrośnie,
I oną parę, co pierwszą, wydmucha,
Gdy baby zatchną się, a chłopy spocą,
Jakoweś słówko zrozumiesz przemocą.

Bokami, pośród tumultu babiego,
Bugaj i Marcin Kos trzymali mowy.
Co przerzekł który, to z dziwu wielkiego
Plaskają ręce i chwieją się głowy.
Iż siła lud ten zabaczył, co swego,
I już się po nim przyrzucał liść nowy
W miejscu tem, gdzie miał przez osierdzie bliźnę,
Kiedy był szczepion w tę cudzą ojczyznę.

Więc teraz, kiedy mu oną zgrubiałość,
Którą był przyżył w pniu obcym, zdrapano,
Kiedy wspominki podbiły w nim żałość
Za oną chatą a ziemią kochaną,
Leda słoweczko jakie, leda małość,
Bólem go piekły, do krwi zdartą raną,
Iż słyhać było w onej zawierusze
Głosów, jęczące i łkające dusze.

Więc tak się stało, że my to, nędzarze,
Nie miawszy w sakwach nic, nawet okrucza
Czarnego chleba, przynieśli w podarze
Karmię dla serca, posiłek dla ducha...
Upągłym wzrokiem patrząją włodarze
Ziem dobrych; sroga pali ich posucha,

A onże Łazarz palec w rosach macza,
I puszcza krople na język Bogacza.

.....

Lecz Roch, stanąwszy wpośrodku, na ćwierci,
Co nią mierzają podjezdkiem obroki,
Pociąga nosem wiatr, a okiem wierci
Opałki, niecki, węzełki, tłomoki.
Aż krzyknie:—Ratuj mnie od głodnej śmierci,
Patronie święty! A toćby tu boki
Godnie wyłożyć było czem, że—rety!—
Tak się rzuciły do wozów kobiety.

Wnig zabielały gomółki, twarogi;
Rzęsiste bochny, słoniny okrajce,
Wnetże kiełbasy w wiankach, wnet pierogi,
Wnet butle z mlekiem, warzone wnet jajce...
Puszczą się nasi, uczynią gwałt srogi
Skroś onych jodeł, co właśnie, jak w bajce,
Aboli we śnie, tak nam się jawiły,
Iżby lud zaczął w kościach nowej siły.

Ale Żurawa, oburącz przed siebie
Wziął krągły bochen, do piersi przycisnął,
Podniósł źrenice i rzekł: — Miły chlebie,
Któryś nam tutaj pociechą wybłysnął,
Jak owo słońko wiośniane na niebie,
Bądź że pozdrowion! — A tu się zachłystnął
Śłozami, które chciał utłunąć w sobie...
Aż w takim dalej powiadał sposobie:

— Oj, zapachniałeś ty mi wioską, chatą,
Oj, zapachniałeś dymem jałowcowym,
Kiedy cię Magda, na wyścig z Jagatą,
W bochny tulają po stole lipowym...
Zaś podebrawszy święconą łoputą,
W czeluść cię sadzą na liściu klonowym,
I podpłomyki skrobają po dzieży,
A z pieca idzie na izbę duch świeży...

Tyś to jest ona strawa pierworodna,
 Bez której nijak ostać się nie możemy!
 Nie jeno żywot, i dusza tam głodna,
 Gdzie ty nie pachniesz polami a zbożem...
 Błogosławiona treść twoja aż do dna,
 I ręka matki, co krzyż kreśli nożem
 Przez twą rumianość, nim czeladź obdzielili...
 Tu umilkł, dobył kozik z kamizeli,

I uczyniwszy przez bochen krzyż święty,
 Stateczną k sobie odwalać jął skibę,
 Pruszący łzami na nią. Tak był zjęty
 Tą rzewliwością, co kiedy sadybę
 Rodzoną spomni, to za sakramenty
 Ma sobie każdą rzecz, i jak przez szybę
 Miesięczną patrzy, choć na żerdź u płota,
 I wszystko jej się w łez srebrze migota.

A tak to po nas poszło, że my z płaczem
 Chleb jak opłatek łamali, dzielili...
 Człeku, co nigdy nie byłeś tułaczem,
 Nie wyrozumiesz ty podobnej chwili,
 A jam ją przeżył, i znam moc jej! Zaczem
 Kręgiem się chłopci na bruku sadzili,
 A wszystkie oczy stanęły wlepione
 W jadła, porządkiem w dwie strony dzielone.

Zaczem nastąpiła cichość, jak w kościele,
 Tylko chrobocą te zęby, te szczęki,
 Tylko ten język obraca, żwa, miele...
 Krótka tam droga do gardła od ręki,
 Iż nikt nie baczył, co, ani jak wiele...
 Czasem śmiech, czasem ponoszą się jęki,
 Skroś onej ciszy. Tak z jadłem i z piciem
 Naród się witał tam, jak z dawnym życiem.

.

Znaczenie przypadku w wynalazkach.

„Chose étrange: nous ne savons pas comment la terre produit un brin d'herbe, comment une femme fait un enfant et on croit savoir, comment nous faisons des idées.“

Voltaire.

Wynalazek, jako materialny wyraz twórczości i bezpośredni przejaw geniuszu, stanowi przedmiot tych samych zagadnień i dociekań, jakie występują stale na scenę w sprawie genialności. Wszystkie te zagadnienia, jakkolwiek dotychczas nie rozstrzygnięte ostatecznie, zaprzętały umysły myślicieli w czasach najodleglejszych. Wszakże już w IV w. przed Chrystusem Arystoteles¹⁾ pouczał, że „umysł czynny (twórczy) stanowi część duszy, coś oddzielnego od organizmu, co do władz duszy, rozwijających się z dołu, dołącza się jeszcze z góry, z zewnątrz; co jest zawartym w organizmie, ale od niego niezależnym pierwiastkiem nadziemskim i boskim.“ I odtąd przez szereg wieków w dziełach filozofów i badaczy przyrody, w pracach literatów i krytyków-estetów spotykamy stale poszukiwania nad sprawą geniuszu. Od teoryj, które przyjmowały genialność wprost za fatalizm, zależny od losu lub opatrności, przechodzimy do poglądów najrozmaitszych i najdowolniejszych, lecz odrzucających stopniowo udział cudowności w powstawaniu tego zjawiska.

Jedni autorowie starają się oprzeć geniusz na rachunku prawdopodobieństwa i z długotrwałości rodów wyprowadzają odno-

¹⁾ Herman Siebeck: „Arystoteles.“ Warszawa. Wydawnictwo „Przełądu filozoficznego.“

śne wnioski; drudzy próbują w sposób bardzo dowcipny zastosować tu teorię pochodzenia gatunków Darwina i wyjaśnić geniusz, jako przypadkową wariację indywidualną; trzeci przedstawiają go, jako newrozę i kładą w równym rzędzie z epilepsją i obłądem. Inni nakoniec, zwłaszcza w dobie nowszej, przyjmują geniusz wprost za instynkt twórczy, za zjawisko zwykłe, właściwe bio-psychicznej organizacyi człowieka, a nawet posuwają się tak daleko, że uważają go za wyraz normalnego rozwoju, za przejaw prawdziwego zdrowia, prawdziwej dzielności umysłowej, usprawiedliwiającej „sens istnienia naszego na ziemi.“

W oświetleniu tych i tym podobnych poglądów geniusz przestaje być cudem, przerywającym gwałtownie ciągłość zjawisk w przyrodzie. Brany w znaczeniu najobszerniejszem, oznacza właściwie płodność umysłu i jest poniekąd „dalszym ciągiem życia, życia najpełniejszego i najdoskonalszego, które zarówno w sferze ducha, jak ciała, dąży do przyswojenia sobie i zorganizowania wszystkiego, co do ustroju przenika.“¹⁾

Dla zrozumienia więc (o tyle o ile) twórczości, nie potrzebujemy już uciekać się do nadzwyczajnych pierwiastków psychicznych lub kategorii umysłowych, ponieważ pewną jej dozę odnajdujemy bezwarunkowo w każdym osobniku, bez względu na wiek, płeć i rozwój umysłowy. Zdanie wypowiedziane, sąd wydany, czyn dokonany, jeżeli nie są prostem powtórzeniem rzeczy znanych lub słyszanych, zawierać muszą nieznaną choćby miarę twórczości. „W nieudolnej próbie rękodzielniczej biednego samouka, w spostrzeżeniu dziecka lub głuptaka, w uwadze pretensjonalnego nieuka, mówi Paulhan, tkwić może pewna doza wynalazczości,“ która w innych warunkach i na innym podłożu mogłaby się rozrosnąć i wystrzelić bujnym kwiatem.

Tutaj nasuwa się mimowoli pytanie. Skoro geniusz nie jest ani nadzwyczajnym, ani nienormalnym, skoro dążność twórcza jest właściwą organizacyi człowieka, dlaczego ludzie genialni są zjawiskiem tak rzadkiem, a na wynalazki dużej doniosłości czekać nieraz musimy dziesiątki lat. Odpowiedź na to otrzymujemy zawsze jednaką: przyczyn, że nie każdy, kto dąży na szczyty, dochodzi do celu, poszukiwać należy w sile niezależnych od woli warunków wewnętrznych i okoliczności zewnętrznych, które często powstrzymują, ograniczają lub paczą prawidłowy rozwój czło-

¹⁾ G. Séailles: „Essai sur le génie dans l'art.“ Paryż, 1897.

wieka, a nieraz przecinają zryt wcześniej najbardziej obiecujące istnienia.

Nie bylibyśmy zupełnie wspominali o różnorodnych poglądach na sprawę genialności, gdyby nie uwydatniała się w nich rzecz pewna, która nas bezpośrednio obchodzi. Mianowicie, widzimy, że już w teoryach, dotyczących istoty wewnętrznej twórczości, występuje na jaw rola okoliczności niestałych, przypadkowych, które jednak na kształtowanie się tej twórczości i na jej rozwój późniejszy wpływają w sposób pierwszorzędny. Siły fizyczne, stan zdrowia, skala uczuć, rodzaj upodobań, stopień wytrwałości, dalek wychowanie, środowisko, walka o byt — są to warunki dla powstawania twórczości niezmiernie ważne, a tak dalece zmienne, tak bardzo uchylające się z pod wszelkich obliczeń i przewidywań, że najchętniej obejmuje się je ogólnem i wygodnem, bo elastycznem mianem przypadku.

Jeżeli teraz od analizy samego geniuszu przejdziemy do rozbioru konkretnych dzieł, jakie geniusz tworzy, to przekonamy się, że udział przypadku bywa tu coraz szerzej uwzględniany, a jego rola w twórczości oceniana niekiedy w sposób całkiem poważny. Czy będziemy mówili o uczonych badaczach, tworzących doniosłe hipotezy lub skończone systematy naukowe, czy o artystach, zaklinających swe ideały w żywe słowo lub kształty widome, czy o działaczach społecznych i wodzach, przekształcających losy całych państw i społeczeństw, czy nakoniec o genialnych technikach, których pomysły, urzeczywistnione w maszynach i narzędziach, wprowadzają nowe epoki w dzieje ludzkości, często spotykamy się z przypuszczeniem, a nieraz wręcz z twierdzeniem, że źródłem tych dzieł jest przypadek. Przypadek pojmowany oczywiście szeroko, tak szeroko, że pod to miano podprowadzić można wszystko: nietylko sztucznie odnajdywane przyczyny wynalazków lub podniety zewnętrzne, pozostające z nimi w ścisłym pozornym związku, lecz i uzdolnienie, i przygotowanie, i intuicję, i natchnienie. Obszerniejsze lub szczuplejsze wzmianki o przypadku znajdujemy wszędzie, gdzie o wynalazkach mowa: a więc w książkach dla dzieci, w biografjach wielkich ludzi, w historii i literaturze. Są nawet specjalne prace filozoficzne, temu przedmiotowi poświęcone i nadające udziałowi okoliczności przypadkowych w tworzeniu, mniejszą lub większą wagę.

Ciekawe, bo bardzo krańcowe i niezupełnie jasne stanowisko zajął tu Sourian,¹⁾ który w pracy swej p. t. „Teorya wynalazku“

1) P. Sourian: „Théorie de l'invention,“ t. 1882.

usiłuje twórczość objaśnić, zbadać jej mechanizm i określić zasadę powstawania. Otóż autor ten dochodzi do wniosku, że w twórczości jedynie przypadek posiada wszechpotężne znaczenie. Chcąc wniosek ten uzasadnić, stara się niejako chwycić twórczość na gorącym uczynku i przedstawia w sposób dość obszerny, po jakiej drodze kroczy jego praca twórcza. „Zdarza się bardzo rzadko, mówi Sourian, abyśmy odnajdowali te myśli właśnie, jakich poszukujemy. Podczas najbliższej rozmowy nasuwa nam się nagle rozwiązanie zagadnienia naukowego, a przy czytaniu geometrycznego traktatu jakiś pomysł muzyczny. Najczęściej znajdujemy nasze myśli drogą odstępstwa (digression). W chwili np. kiedy zaczynałem pisać tę pracę, starałem się znaleźć przykłady zbroczeń mimowolnych, jakim myśl może ulegać i naraz zacząłem się zastanawiać nad stosunkiem krytyki do natchnienia, nad kwestyą, którą w planie mej pracy pomieściłem znacznie dalej. Ponieważ nie mogłem żadną miarą od tej myśli się uwolnić, więc zanotowałem ją w tej formie, w jakiej mi się narzuciła, że w pracy twórczej brak miejsca na udział krytyki, że mogą tu istnieć tylko dwie metody rozwoju: jedna szybka i niewyrozumowana, druga wyrozumowana i bardzo powolna. Aby ów nastrój chwilowy wyzyskać, starałem się iść w dalszym ciągu śladem tej myśli i zająć się wyłącznie sprawą wartości krytyki. Kiedy już napisałem kilka wierszy w tym przedmiocie, doznałem szczególnego wrażenia, jakiego nieraz doświadczamy przy zbliżaniu się do nas osoby, na którą nie chcemy patrzeć. Czułem, że myśli dawne opanowują mnie znowu, że wracają do pierwszego swego przedmiotu i naraz, gdy najusilniej starałem się skupić uwagę nad sprawą krytyki, sformułowało się we mnie bardzo wyraźnie zdanie: trzeba myśleć drogą uboczną. To zdanie wytworzyło się samo przez się i tak niespodziewanie, że zrozumiałem je dopiero później, jak się to często zdarza w chwilach zamyślenia, gdy ktoś nagle do nas przemawia. Tak więc wysiłek myślowy, skierowany na kwestyę krytyki, doprowadził mnie do wniosków o zbroczeniach myśli, tak samo jak przedtem z rozważania nad zbroczeniem wyłoniła się myśl o krytyce.“

Wniosek ten, wysnuty na ciasnej bądź co bądź podstawie spostrzeżeń osobistych, Sourian uogólnia w sposób bezwzględny i twierdzi, że myśl, aby stać się owocną, doprowadzić do syntezy twórczej, nie może nigdy rozwijać się w raz wytkniętym kierunku prostym, lecz musi albo z tej prostej drogi zbroczyć, albo uczynić od niej odstępstwo. Co prawda, pogląd ten nie jest w literaturze odosobniony i widzimy, że autorowie tej miary, co Ri-

bot¹⁾ i Paulhan, podnoszą również rolę zboczenia w twórczości. Ale Ribot załatwia się z tą sprawą mimochodem, zaś Paulhan ze zboczenia zasady wynalazku nie czyni i traktuje je ubocznie, jako jeden z czynników pomocniczych w rozwoju twórczości, o czym zresztą później obszerniej pomówimy. Tymczasem dla Souriana zjawisko twórczości płynie wyłączenie z dziwnej jakiejś, kapryśnej i niepodległej pracy umysłu, której ani przewidzieć, ani opanować niepodobna. Kroczy ona stale pod drodze odstępstw, a bodźcem do niej jest zawsze przypadek. Wszelkie inne drogi w powstawaniu wynalazków należy wyłączyć. Namysł, rozumowanie, stosowanie pewnej metody logicznej, zarówno w nauce jak w sztuce, są bezsilne i nie mogą stanowić podstawy tam, gdzie idzie o wynalazek.

Autor tak dalece pochłonięty jest myślą o roli przypadku w pracy twórczej, że nie może nawet pogodzić idei postępu wewnętrznego z namysłem (*préméditation*). „Gdyby działalność naszego umysłu, mówi, ograniczała się tylko do urzeczywistnienia pewnych zamiarów, nie czynilibyśmy kroku naprzód. Myśleć z zamiarem (*penser intentionnellement*), to znaczy stosować materiał myślowy przyszły do tego, jaki już istnieje, czyli innemi słowy, znaczy powtarzać się. Łatwo zrozumieć, że jakiś akt materialny może wynikać z namysłu, ponieważ cel, do którego dążymy, jest czemś zgoła odrębnem od idei, jaką sobie o tym celu wytworzyliśmy. Ale jeżeli zamierzamy powziąć myśl jakąś, to tem samem wiemy, jakiej myśli szukamy, a więc myśl ta byłaby już powziętą i nie potrzebowalibyśmy jej szukać.“ Rozumując dalej w tym sensie, Sourian dochodzi ostatecznie do wyniku, że „umysł nasz kroczy wprawdzie od rzeczy mniej doskonałych do doskonalszych, od obrazów niewyraźnych do ściśle określonych, lecz i w tym razie widzimy, że obraz pierwotny jest zaledwie zarysem, ale nie wzorem obrazu końcowego,.. że wszystko to, co jest oryginalnem i doskonałem w obrazach ostatnich, niema swego pierwowzoru w pierwszych. A zatem wszelkie doskonalenie się stopniowo nie może wypływać z namysłu (*ne peut avoir été prémédité*).“

Usuwając tedy na stronę nawet ten wzgląd, że idea celowości może tłumaczyć postęp wewnętrzny, Sourian przypisuje w powstawaniu i rozwoju twórczości rolę dominującą przypadkowi. Od niego czyni wszystko zależnem, zarówno w świecie fizycznym

¹⁾ Th. Ribot: „O wyobraźni twórczej,“ cz. II. Warszawa, 1901.

jak duchowym i na przykładach faktycznych wykazuje, że to, co poczytujemy za owoc własnej wynalazczości, jest zawsze i wszędzie dziełem przypadku; że może powstać i rozwinąć się dopiero wówczas, kiedy urzeczywistnią się wszystkie warunki do tego konieczne, a nam bliżej nieznanne i od nas niezależne.

Jakkolwiek idzie mi tu raczej o przedmiotowe zestawienie poglądów Souriana na stosunek przypadku do twórczości, jednakże trudno wstrzymać się od uwagi, że autor najpierw niesłusznie sprowadza twórczość do powzięcia idei, a następnie nazywa przypadkiem to, co, wnioskując z całego toku jego rozumowania, stanowi prostą konieczność deterministów.

O ile twórczość ograniczałyby się do „powzięcia pewnej idei“ i nie dążyła w dalszym ciągu do urzeczywistnienia się, o tyle byłaby stale tajemnicą umysłu, w którym powstała, i nie wiele wiedzielibyśmy o niej. O twórczości zaczynamy mówić wówczas dopiero, gdy idea pewna wyraża się w sposób materialny, a więc gdy staje się bodźcem dla aktu woli i zarazem faktem, dostępnym dla naszej oceny. Przytem błędem jest mniemanie, że twórca lub wynalazca szuka myśli jakiejś, „zamierza ją powziąć.“ Umysł jego jest stale wypełniony bogactwem myśli i obrazów, wśród których mimowoli czyni wybór. Z pewnością na razie twórca nie zdaje sobie sprawy, dlaczego ta myśl, a nie inna, jest w umyśle jego najżywotniejszą, a w uczuciu najbardziej zajmującą, najmilszą. W następstwie jednak, już przy pełnym udziale jego świadomości, myśl ta korzysta dla swego rozwoju ze wszystkich warunków, jakie na swej drodze spotyka. Rośnie, grupuje dookoła siebie niezliczoną ilość szczegółów uzupełniających, wyławia, skąd może, pokrewne pierwiastki psychiczne, budzi uczucia coraz silniejsze, aż w końcu organizuje się w skończoną całość i wyraża tem, co nazywamy wynalazkiem. Widzimy więc, że od powzięcia idei do stworzenia czegoś droga jeszcze daleka i nie zupełnie wolna od udziału świadomości i woli.

Co się tyczy przypadku, to dziwić się wypada, że Sourian, pojmując go głębiej, jako konieczność, jako jedno z ogniw w nieskończonym łańcuchu przyczynowości, tak usilnie wyodrębniał jego wpływ na powstawanie i rozwój twórczości. Wszakże wpływ ten oddziaływa w równej mierze na wszelkie inne zjawiska w przyrodzie. Wobec takiego pojmowania rzeczy można zastanawiać się nad możliwym udziałem okoliczności przypadkowych w tworzeniu, można w sposób mniej więcej prawdopodobny oceniać stopień i siłę wpływów przypadku, ale iść dalej niepodobna. To też Sourian, opierując na takiej podstawie swoje poszukiwa-

nia, nietylko nam twórczości nie wyjaśnił, lecz do zjawiska i tak zagadkowego wprowadził jeszcze jeden czynnik wnikający.

Mach rozpatruje również stosunek przypadku do wynalazku. Nie czyni tego wprawdzie w sposób tak obszerny jak Sourian, ale bądź co bądź poświęca temu przedmiotowi oddzielną pracę.¹⁾ Ten autor nie jest zbyt skrajnym w poglądach i z przypadku źródła wynalazków nie czyni, uważa go jednak za ważny współczynnik twórczości i daje temu po części wyraz w następującem zdaniu: „jeżeli mówimy o człowieku, że prochu nie wynalazł, to zdaje nam się, iż tem samem przedstawiamy jego zdolności w niekorzystnem świetle. Tymczasem wyrażenie to nie jest szczęśliwie dobrane, gdyż cchyba przy żadnym wynalazku namysł poprzedni nie miał mniejszego, zaś szczęśliwy przypadek większego udziału, jak przy tym właśnie.“

Według Macha już przy rozważaniu wynalazków najpierwotniejszych w dziejach kultury, odnajdujemy wyraźne ślady przypadku. Mowa, pismo, pieniądz, użycie gliny w garncarstwie, mostów w budownictwie, to wszystko w surowej swej formie pierwotnej powstało dzięki przypadkowi i „nawet inaczej powstać nie mogło, ponieważ wartość i znaczenie tych wynalazków poznać i ocenić mogliśmy dopiero w miarę ich użycia.“ Przypadek więc jest ważny, albowiem na drodze człowieka układa warunki, które wynalazek przybliżyć lub ułatwić mogą, ale sam przez się nie nie tworzy i musi zwrócić uwagę umysłu niepowszedniego, aby wydać owoce. Tylko umysł genialny potrafi nowy fakt spostrzedz, zjawisko nieznane wyróżnić, poznać, utrwalić w pamięci oraz związać z dawniej nagromadzonym materiałem myślowym w ten sposób, aby z nowego spostrzeżenia dla dopięcia pewnego celu skorzystać. Najpierwszy człowiek w prastarych czasach, który umiał posługiwać się gliną niedołącznie, ale celowo, z obalonego pnia drzewnego most uczynić lub zbudować najprostsze choćby narzędzie, musiał być obdarzony pewnym zasobem genialności. Spostrzeganie świata zewnętrznego tu nie wystarczało. Potrzeba było jeszcze abstrakcyjnej pracy umysłu: nieświadomego pojęcia przyczyny i celu oraz zdolności do uogólniania i czynienia doświadczeń.

Tutaj zaznaczyć muszę, że Mach nie uważa bynajmniej tych pierwiastków psychicznych, jakie się na umysłowość twórcy skła-

¹⁾ E. Mach: „Ueber den Einfluss zufälliger Umstände auf die Entwicklung von Erfindungen und Entdeckungen.“ Populär wissenschaftliche Vorlesungen, r. 1903.

dają, za nadzwyczajne i wszelkie różnice, spotykane w sile umysłów, sprowadza nie do natury, lecz do stopnia zjawiska. Wydaje mu się więc i prostem, i naturalnem, że im bogatszą i lepiej zorganizowaną jest treść umysłu, im bardziej rozwiniętą pamięć i wrażliwość, tem łatwiej uwaga wchodzi w styczność z najdrobniejszymi okolicznościami zewnętrznymi. W tych warunkach przypadek błahy daje skutki, często wręcz nieproporcjonalne do wartości podniety.

Wysuwając tedy na pierwszy plan umysłowe zasoby twórcy, Mach nie zmniejsza w niczem znaczenia przypadku i utrzymuje w dalszym ciągu, że dzięki okolicznościom przypadkowym, nietylko nowe obszary faktów roztaczają się przed naszymi oczami, lecz nawet fakty pospolite, dotąd nie wyróżnione, zwracają naszą uwagę. Właśnie miarą bogactwa umysłowego twórcy jest to, że przypadkiem nie gardzi, że może i umie celowo go wyzyskać. Jako przykład podaje tu pierwsze spostrzeżenia z dziedziny elektryczności i magnetyzmu i wylicza nazwiska takich twórców, jak Grimaldi, Arago, Majer, Kirchhoff, którzy w sposób przypadkowy spostrzegli i zrozumieli to, na co inni od wieków obojętnie i bezskutecznie patrzyli.

Pomijając okres wstępny twórczości, do której przypadek może być często bodźcem, Mach dowodzi, że i w późniejszej ewolucji wynalazku, okoliczności, niezależne od woli i namysłu badacza, mogą poważnie współdziałać i sprowadzać doniosłe następstwa. Mają o tem świadczyć przykłady następujące: „Dufay poznaje istnienie 2-ch stanów elektrycznych, śledząc zachowanie się jednego, którego badaniem był zajęty; Fresnel znajduje przypadkowo, że smugi interferencyjne, występujące na szkłe matowem, daleko łatwiej widzieć się dają w powietrzu; zjawisko indukcji Faradaya odstępuje znacznie od wyobrażenia, które go do doświadczeń skłoniło i staje się właśnie istotnym wynalazkiem” i t. d.

Poglądy Macha są wogóle słuszne i przekonujące, tylko, naszym zdaniem i ten autor zbyt silnie podkreśla rolę przypadku w twórczości. Zwłaszcza jeżeli mówić bądźniemy o wynalazkach najpierwotniejszych, to wszelkie wnioski o przypadku, jako jedynem ich źródle, będą dowolne i niepewne, ponieważ nikt nie jest w stanie ściśle określić, jaką tam rolę odegrała najpierw potrzeba tworzenia, a potem siła spostrzegawczości i uwagi. Początek rzeczy tak prostych, np.: jak dźwignia, walec i równia pochyła, ginie poza granicami historii i niewiadomo, jakie próby i wysiłki poprzedziły ich ukazanie się. Co się tyczy wynalazków późniejszych, to wiemy dobrze, że w powstawaniu wielu dzieł najbardziej

typowych, nie możemy odnaleźć ani śladu przypadku, że są one owocem pracy i poszukiwań. Wiemy również, że są wynalazki, które wytwarzały się w biegu wieków z cegiełek drobnych, świadczących raczej o wydajności twórczej całych narodów, aniżeli o potędze indywidualnej jednego człowieka lubo szczęśliwym przypadkiem w jego życiu.

Zresztą jeżeli nawet to coś, co nazywamy przypadkiem, stanowi środek pomocniczy w procesie twórczym, to, jeszcze raz powtarzamy, rzecz ta na specjalne podkreślanie nie zasługuje. Wszakże całe życie w przyrodzie sprowadza się właściwie do nieskończonego licznego i różnorodnego seryjnego zjawisk, które w nieprzerwanym swym ruchu muszą spotykać się z sobą, krzyżować i przecinać wzajemnie, dając przytem wyniki dla nas niespodziewane, szczęśliwe lub fatalne. O ile więc uznajemy, że geniusz nie jest jakimś cudem, stanowiącym odrębną i niezależną od innych zjawisk życia całość, o tyle dziwić się nie będziemy, że podlega prawom powszechnym i nie może się z pod nich wyłamać. Rozumieją to skądinąd dobrze sami twórcy i u Alfonsa Daudet'a znajdujemy zdanie następujące: „Twórca nie jest panem swego dzieła, ponieważ wówczas, gdy je w sobie nosi, wówczas gdy idea pewna wabi go i dręczy, przyłącza się do niej tysiące rzeczy obcych, zbieranych i łowionych zresztą dzięki *przypadkowi istnienia*.”

Trzeci z kolei Paulhan¹⁾, rozważając psychologię twórczości, przedstawia stosunek przypadku do wynalazku w odmiennym trochę oświetleniu. Przedewszystkiem istnienie przypadku uznaje, lecz nie poszukuje go wyłącznie w wrażeniach i spostrzeżeniach świata zewnętrznego. Dla niego przypadek występuje także wewnątrz umysłu, w samorzutnej jego czynności, jakkolwiek „zdarza się to bez porównania rzadziej.” „W umyśle, mówi Paulhan, nie wszystko jest systematycznie uporządkowane i ze wszelkich względów podległe absolutnym prawom celowości. Stosunki, zachodzące pomiędzy pierwiastkami psychicznymi, wykazują niekiedy brak spójni i wyraz „przypadek“ może tak dobrze oznaczać spotkanie się z sobą pewnych myśli, należących do odrębnych grup wyobrażeń, jak zetknięcie się tych myśli ze światem zewnętrznym.”

Brak spójni, jaki Paulhan ma tu na myśli, występuje zawsze tam, gdzie się myśl nowa wykluwa, a więc najczęściej w umyśle twórcy. Nowość, ten najistotniejszy i nieodłączny składnik każdego

¹⁾ F. Paulhan: „Psychologie de l'invention,” r. 1901.

wynalazku, staje się zwykle dla umysłu powodem krótszej lub dłuższej walki i wywołuje szczególną jego czynność: logiczną i nielogiczną zarazem. Logiczną, ponieważ umysł twórcy dąży w rezultacie do połączenia niezliczonych myśli i obrazów w jasną, harmonijną całość; nielogiczną—gdyż mając na celu najdoskonalszą i najściślejszą jedność, zmierza ku temu drogą chwilowych nieporządków i zaburzeń.

Tę właśnie szczególną czynność umysłu, bujną i niezależną, usuwającą się chwilowo z pod kontrolujących praw rozumu i zbliżoną chyba do luźnych procesów, jakie towarzyszą marzeniom i halucynacyom, Paulhan wiąże nierozdzielnie z psychologią wynalazku i obejmuje odrębnem mianem „swobodnej gry pierwiastków psychicznych.“ Jego zdaniem ta „gra swobodna“ jest dla umysłu niezmiernie ważna i pożyteczna, wprawia bowiem w ruch, zużytkowuje wszelkie uczucia i obrazy, wszelkie drobne układy ideowe, jakie pamięć przechowuje często w sposób nieświadomy i tą drogą albo twórczość wywołuje, albo jej rozwojowi sprzyja. Występując przytem, jako stan chwilowy, z którym zmysł orientacyjny twórcy umie sobie w każdym razie prędkiej lub później poradzić, ta „gra swobodna“ nie szkodzi bynajmniej idei przewodniej wynalazku; owszem, wpływa dodatnio na jej kształtowanie się i stanowi to właśnie, co Paulhan odnajduje najczęściej, jako przypadek wewnątrz umysłu.

Jakby na dowód, że Paulhan, podnosząc do wysokiej potęgi znaczenie swobodnej gry pierwiastków psychicznych w twórczości, tem samem umieszcza punkt ciężkości sprawy w osobie twórcy, znajdujemy w jego „Psychologii wynalazku“ następujące wymowne zdanie. „Dążność pierwotna umysłu, całkowicie lub częściowo zorganizowana, jest w znacznej mierze najważniejszym czynnikiem wynalazku. Z dążności tej, i prawie z niej jednej, wyłącznie wszystko logicznie wypływa. Nie poprzestaje ona na przyjmowaniu nowych pierwiastków, jakich jej spostrzeżenia dostarczają. Ona te pierwiastki tworzy, przeistaczając spostrzeżenia tak jak nerw wzrokowy, który odpowiada na podrażnienie mechaniczne wrażeniem świetlnem; ona tworzy równocześnie nowe zjawisko, formę konkretną, w którą się sama wciela.“

Co się tyczy przypadku zewnętrznego, Paulhan uzasadnia i zarazem ogranicza w pewnym stopniu jego działanie, sprowadza bowiem całe powstawanie i kształtowanie się wynalazków, wszelkie nieprawidłowości i zboczenia w ich rozwoju do natury twórczości, którą upodabnia do natury zarodka żywego.

Zdaniem Paulhana każdy wynalazek, czy powstaje szybko lub powoli, czy jest owocem pracy indywidualnej lub zbiorowej, nie ukazuje nam się odrazu w postaci doskonałej, skończonej, lecz podlega prawom życia. Rodzi się w umyśle twórcy, jako niedo-
łężny zarodek, odarzony rozmaitym stopniem żywotności, i musi się rozwijać, musi przebywać pewne fazy ewolucyi, o ile pozostaje przy życiu. Główne etapy w pochodzie tej ewolucyi są nam w ogólnym zarysie znane, a jednak nigdy nie możemy przewidzieć, do czego dojdzie w rozwoju swym zarówno zarodek żywy, jak zawiązek wynalazku. Najdoskonalsza znajomość procesów i zmian fizyko-chemicznych, zachodzących w ustroju, największa przenikliwość umysłu, najdoskonalsza metoda badania tutaj nie wystarcza. Do tego potrzebną byłaby jeszcze rzecz niemożliwa: znajomość warunków, w jakich zarodek taki będzie się rozwijał, i okoliczności, wśród których mu potem żyć wypadnie.

Twórczość składa się właściwie z pierwiastków znanych i zbadanych; zawiera w sobie instynkt, naśladownictwo, rutynę życiową, doświadczenie i t. d. W całości wszakże stanowi zjawisko niezmiernie subtelne i zawile, a że przytem żyje i wzrasta na zmiennem i chaotycznym podłożu świata zewnętrznego, więc nie może podlegać ewolucyi całkiem prawidłowej.

Paulhan rozumie wybornie, że niepodobna tu stanowić jakichś prawideł stałych, że każdy podział, wprowadzony do twórczości, będzie sztuczny, a jednak dla łatwiejszej orientacji próbuje nam wskazać trzy punkty wytyczne, trzy drogi, na których odbywa się najczęściej ewolucya myśli twórczej. Są one następujące: 1) droga prawidłowego rozwoju; 2) droga przekształcania się i 3) droga zboczenia.

Dwa pierwsze typy ewolucyi możemy połączyć w jedną całość, posiadają bowiem wspólną zasadę. Idea przewodnia wynalazku zachowuje się tu od początku do końca i nie zmienia bynajmniej swego znaczenia pod wpływem myśli nowych, dopełniających.

Typ trzeci, zboczenie, jest dla nas najciekawszy, ponieważ równa się mniej więcej „odstępstwu“ Souriana. Co znaczy odstępstwo Souriana, już wiemy. Zboczenie Paulhana jest właściwie mieszaniną 2-ch pierwszych typów ewolucyi i polega głównie na nieproporcjonalnem rozrastaniu się pierwiastków składowych pewnego dzieła. Przewodnia myśl twórcza nie zawsze posiada dostateczną siłę i giętkość, aby przenikające do niej pierwiastki nowe bądź odrazu skupić i zorganizować, bądź rozgatunkować i uczynić w nich wybór. Pozostają one wtedy w luźnym z sobą

związku, rozwijają się równolegle lub rosną „niby pasorzyty“ jedne na drugich. A myśl przewodnia wśród tego ciągłego ruchu ulega również ewolucyi, lecz ewolucyi utrudnionej. Aby się wydobyć z pod tłumiących ją pierwiastków i dać ujście dążności twórczej, nie biegnie ona w kierunku najmniejszego oporu. Przeciwnie, zbacza w prawo i w lewo, odbywa drogę mozolną i daleką, ale przynosi z niej zapas nowych faktów, nowych szczegółów, które myśl przewodnia może na swą korzyść obrócić. Tak się dzieje tam, gdzie pierwotna dążność umysłu potrafi zboczenie opanować i sprowadzić do stanu przejściowego. W innych razach, o ile zboczenie zyskuje niepohamowaną siłę rozpędową, nie mija również bez korzyści dla umysłu, albowiem stać się może zawiązkiem nowej idei, nowego wynalazku.

Logicznie rzecz biorąc, zdawałoby się, że zboczenie w rozwoju wynalazków pozostaje w najściślejszym związku z udziałem okoliczności przypadkowych, a w najluźniejszym z metodyczną, celową pracą umysłu. Tak nas pouczał Sourian, dowodząc, że swobodna, kapryśna czynność pierwiastków psychicznych, krocząca stale po drodze odstępstw i zależna od przypadku, jest jedynym źródłem twórczości. Usuwa ona w cień, a nawet wprost wykreśla z rachunków wszystko, co w tym względzie namysł, rozważa, cierpliwość i wogóle praca ludzka uczynić są zdolne.

Paulhan dowodzi inaczej. Najpierw nie przypisuje bynajmniej zboczeniu roli ważniejszej w rozwoju wynalazków, aniżeli dwom pozostałym typom ewolucyi. Uznaje co najwyżej, że zboczenie może występować częściej, ponieważ jest bezpośrednim wynikiem kardynalnej czynności umysłu twórczego: swobodnej gry niezależnych pierwiastków psychicznych. Następnie nie wierzy, aby mógł istnieć wynalazek, którego rozwój odbywałby się stale, od początku do końca, podług jednego tylko typu ewolucyi. Mogłoby się to stosować chyba do wynalazków najpierwotniejszych i najprostszych, ale i w tym razie byłoby wątpliwem. Nakoniec Paulhan nie czyni zboczenia bezwzględnie zależnem od przypadku. Przeciwnie, stara się, przynajmniej częściowo, oprzeć je na podstawie stałej i twierdzi, że w pewnych fazach każdej ewolucyi, np.: w okresie początkowym i końcowym, zboczenie staje się prawidłem. W początkowym z tego względu, że umysł nie zdołał się jeszcze przystosować do nowej dążności, że trwa w nim walka pomiędzy pierwiastkiem nowym i dotychczasową indywidualnością twórcy, wytworzoną przez środowisko, wychowanie i rutynę życiową. Okres końcowy ewolucyi daje ze swej strony powód do zboczeń dlatego, że twórca pragnie swe dzieło

urzeczywistnić, usiłuje pewną syntezę ideową, skryształizowaną ostatecznie w jego umyśle, połączyć z tymi stanami świadomości, które są wyobrażeniem życia i świata zewnętrznego. Odwieczna rozterka pomiędzy potęgą wewnętrzną twórcy a trudnością wypowiedzenia się całkowitego w dziele konkretnym, na co uskarżają się artyści i poeci, jest właśnie wyrazem tych wahań i zbożeń, jakie za sobą realizacja idei pociąga.

Widzimy więc, że Paulhan pozbawia w pewnym stopniu nawet zboczenie właściwego charakteru przypadkowości i próbuje uczynić z niego mniej więcej stałe i uzasadnione prawidło w ewolucji twórczej.

Wogóle zdawałoby się, że całe rozumowanie Paulhana zmierza ku temu, aby wykazać, iż wynalazek jest tylko dziełem twórcy, wyrazem silnie uwydatnionej dążności twórczej. Zbieg nieprzewidzianych okoliczności, przypadek, brany w znaczeniu potocznym, ma tu tyleż samo do czynienia, ile w całym życiu człowieka. Tkwi on niejako w porządku rzeczy. Zlewa się z nieskończoną ilością tych faktów i zjawisk, na których tle każdy człowiek żyć i działać musi, które składają się na cały jego materiały myślowy: na spostrzeżenia i doświadczenie.

Tymczasem w książce Paulhana, pomimo omówień i zastrzeżeń autora, rola przypadku zewnętrznego w twórczości jest nie tylko uwzględniona, ale poważnie wyodrębniona. Znajdujemy tam zdania w tym rodzaju: że okoliczności przypadkowe grają bardzo ważną rolę w procesie twórczym, że przypadek wyraźny (un hasard manifeste) bywa powodem syntezy twórczej. Znajdujemy nakoniec przykłady liczne i dosadne, gdzie przypadek sięga poza obręb podmiotów zwyczajnych i nabiera szczególnej wagi.

Jeden z takich przykładów, zaczerpnięty z dziejów fotografii, przytaczam dosłownie:

„Daguerre, następca Niepce'a, prowadził w dalszym ciągu badania swego poprzednika i czynił ustawiczne doświadczenia z płytami fotograficznymi, które wystawiał przez czas dłuższy na działanie światła. Opowiadają, iż razu pewnego przez zapomnienie zostawił w szafie płytę, której ekspozycja trwała zbyt krótko, aby obraz wywołać. Po upływie jakiegoś czasu odnalazł tę płytę, a na niej, ku wielkiemu swemu podziwowi, obraz należycie utrwalony. Przypuszczając słusznie, iż skutek taki należy przypisać działaniu jednego ze znajdujących się w szafie ciał, Daguerre zaczął je kolejno usuwać i umieszczać w szafie coraz nowe płyty, lecz każda próba dawała wyniki identyczne. Szafa zdawała się już opróżnioną, a obraz na płytach występował stale. Daguerre

skłonny był uwierzyć w czary, gdy nagle spostrzegł porzucone w kącie szafy małe naczynie szklane z rtęcią, metalem, który paruje w temperaturze zwyczajnej. Osądził tedy, iż według wszelkiego prawdopodobieństwa pary rtęci wpływają na wywoływanie obrazu i, aby się o tem upewnić, poddał działaniu tego metalu płytę, wystawioną przez czas bardzo krótki w ciemni optycznej i wolną od najlżejszych śladów obrazu. Wówczas przekonał się dowodnie, że działanie rtęci wywołuje obraz. Jedno z najpiękniejszych odkryć całego stulecia zostało dokonane.“

Gdybyśmy przeszukali starannie odnośną literaturę, moglibyśmy przykładow podobnych, lub jeszcze więcej wymownych, znaleźć bardzo wiele. Dostarczają ich w równej mierze dzieje nauki i sztuki. Pomijając szkło i purpurę fenicyjską, wynalazek prochu, klasyczne jabłko Newtona, lampę Galileusza, fruwający papier Montgolfiera, pokrywę Salomona de Caus, żabę Galwaniego oraz inne legendy historyczne—nasuwa się nam przed oczy szereg wielkich ludzi, wyliczonych przez Macha. Przypominają się liczne biografie i autobiografie, gdzie przypadek występuje stale: jeżeli nie jako bodziec bezpośredni do odkryć i wynalazków, to jako regulator całego życia geniuszów, że wspomnę tu tylko życiorys Liebiga.

Wszystkie te przykłady doprowadzają nas wciąż do jednego wniosku, który pośrednio, pomimo zastrzeżeń autorów, możemy też wysnuć z przytoczonych przezemnie 3 prac. Mianowicie, że twórczość, w pewnej części przynajmniej, od przypadku zawisła, że sfera wpływów przypadku bywa niekiedy tak rozległą, iż rozciąga w sobie i świadomość, i wolę twórcy. Czy jednak wniosek taki będzie słuszny? czy możemy przyjąć go bez znacznych ograniczeń? Nam się zdaje, że nie i że udział przypadku w powstawaniu i rozwoju wynalazków, jest wogóle w literaturze przeceniany.

Przedewszystkiem ci autorowie, którzy nam najczęściej opowiadają o przypadku w twórczości, nie mają bynajmniej na myśli przypadku wewnętrznego w sensie Souriana lub Paulhana. Dla nich przypadek posiada tylko znaczenie potoczne, jest zbiegiem niespodziewanych okoliczności z naszymi dążeniami, zamiarami, postanowieniami i t. d. Przytem, co jest bardzo dziwne, przyjmują ciągle pod uwagę okoliczności przyjazne, a nie mówią o przypadku nieszczęśliwym. Wszakże tak samo, jak szczęśliwy przypadek może wynalazek ułatwić lub przybliżyć—nieszczęśliwy może go utrudnić lub zgoła uniemożliwić. W ten sposób jedno zjawisko znosi drugie, a właściwe jądro sprawy tkwi zawsze w osobie twórcy.

Następnie przypadkiem, czy uważać go będziemy za przyczynę nieznaną, czy za konieczność, czy nakoniec za narzędzie celowości, możemy nazywać tylko fakt taki, który zawsze i wszędzie działa w sposób mniej więcej równomierny. Tłómacząc się jaśniej, czy stała postać przypadku spotykany tam, gdzie w stosunku do niego szanse wszystkich ludzi są równe. Wygrany bilet loteryjny, znaleziony na ulicy przedmiot, spadająca na głowę przechodnia dachówka, pożar w teatrze, katastrofa kolejowa—stanowią istotnie to, co przywykliśmy zwać przypadkiem. Takiemu przypadkowi mogą podlegać wszyscy: zarówno dziecko i człowiek dojrzały, tępy nieuk i najgenialniejszy uczony. Organizacya fizyczna i psychiczna, przygotowanie umysłowe, rodzaj zajęcia—nie mają tu żadnego znaczenia, nie mogą ani pomódz, ani zaszkodzić. Tymczasem historia wynalazków, przykładów takiego bezwzględniego przypadku nam nie daje. Przeciwnie, poucza, że przypadek nietylko w zetknięciu się z człowiekiem nabiera znaczenia i wartości, lecz wprost przez wyłączość w upodobaniach i zajęciach bywa i musi być wywoływany.

Łatwo mówić o szczęśliwej omyłce, która Kolumba do Ameryki zaprowadziła. Ale równocześnie trzeba sobie przypomnieć, że Kolumb już w 14-ym roku życia rozpoczął zawód marynarza, że poważne studia naukowe, korespondencya z najuczestniejszymi ludźmi owej epoki, rysowanie map, budowa globusów oraz wciąż przedsiębrane wyprawy podróżnicze, nietylko wypełniły mu życie, lecz stanowiły zarazem namiętnie ulubione zajęcie. Trzeba wziąć pod uwagę, że jedną myślą pochłonięty i ku jednemu ideałowi dążący, Kolumb potrafił 18 lat walczyć, aby pokonać opór tych, których pomoc była mu potrzebną. Odkrył wprawdzie Amerykę, sądząc, że jedzie do Azji, ale to wcale nie zwiększa roli przypadku w tem odkryciu. Kto wyruszał w drogę, nie znając obszaru ziemi i mórz, musiał spotykać niespodzianki na swej drodze. Nie przypadek więc kierował, niezależnie od woli Kolumba, jego czynami, lecz Kolumb przez całe swe życie usilnie przypadku szukał. Zresztą, jak słusznie zaznaczają ¹⁾, zasługa Kolumba polega głównie nie na tem, że odkrył Amerykę, lecz że w warunkach ówczesnych wyprawę naukową przedsięwziął i uskutecznił.

Ta sama sprawa powtarza się z jabłkiem Newtonu. Każdy wypomina mu owe nieszczęsne jabłko. Wskazują nawet na nie,

¹⁾ H. Joly: „Psychologie des grands hommes.” Revue philosophique. N° 11, 18-2.

nietylko jako na moment pomocniczy, lecz jako na punkt zwrotny w poszukiwaniach tego uczonego. A jednak byłoby i słusniejsze, i sprawiedliwsze, gdybyśmy źródła wiekopomnych odkryć Newtona szukali wyłącznie w jego organizacyi duchowej, w wielkiem zamiłowaniu do nauki i niezmordowanej pracy. Wszakże wiadomo, że Newton, nie mogąc, dla braków w nauce ówczesnej, zastosować na razie prawa ciężenia powszechnego do księżyca i wyprowadzić stąd szybkość jego obiegu dokoła ziemi, potrafił przez lat 14 z rzędu oddawać się pracom przygotowawczym. Przez długie lat 14 czynił wyliczenia astronomiczne i matematyczne, badał optykę i, nie tracąc ani na chwilę z oka swej idei przewodniej, gromadził dokoła niej całe szeregi wynalazków drobnych, częściowych, roztaczał coraz szersze widnokregi, aż w końcu stworzył swe wielkie uogólnienie, obejmujące ruchy nieba i ziemi. W całości kształcie tej olbrzymiej pracy rola przypadku redukuje się do zera. Zresztą na równi z anegdotą o jabłku znane jest zdanie, przypisywane ogólnie Newtonowi, który miał rzec, że wielkie swe odkrycia poczynił, „myśląc o nich stale.“ Zdanie to wskazuje w każdym razie metodę tworzenia Newtona i zadaje niejako kłam wnioskowi o przypadku, przynajmniej w stosunku do niego.

Nakoniec przykład Daguerre'a, uważany przez Paulhana za bardzo znamienny, naszym zdaniem również na korzyść przypadku nie świadczy. Któż to był Daguerre? ¹⁾ Najpierw artysta-malarz, który już w wczesnym wieku wystawiał nie bez powodzenia swe prace w salonach artystycznych. Potem słynny dekorator teatrów paryskich i wyborny znawca sztuki dekoracyjnej, a w końcu dyrektor wspaniałej dioramy, która mu zyskała rozgłos wszechświatowy. Rzecz prosta, że na zasadzie swych zajęć dojść musiał do zgłębienia wszelkich tajników światła; stał się też istotnie mistrzem w uniejętności rozkładania promieni świetlnych oraz w otrzymywaniu najbardziej niespodziewanych efektów przez działanie światła na barwy. Cóż w tem dziwnego tedy, że skoro w r. 1817 świeżo poczynione przez Niepce'a wynalazki na polu sztuki fotograficznej zwróciły uwagę Daguerre'a i zachęciły do poszukiwań w tym kierunku, był on nietylko wybornie przygotowanym, lecz niejako powołanym do wprowadzenia tej sztuki na drogę postępu. Tak się też stało. Zaznajomiwszy się więc gruntownie z metodą Niepce'a, Daguerre zaczyna ją stopniowo ule-

¹⁾ Benj. Gastineau: „Les génies de la science et de l'industrie.“ Bibliothèque utile, t. XXIII.

pszać. Zamiast smoły ziemnej, w której Niepce zanurzał płyty fotograficzne, używa mieszaniny oleju lawandowego, czulszej na działanie światła; płyty miedziane, powleczone cienką warstwą srebra, wystawia na działanie par jodu, a w końcu odnajduje w sposób rzekomo przypadkowy, że pary rtęci wywołują obraz na płycie.

Czy możemy w tym razie mówić z czystym sumieniem o zwykłym przypadku? Czy przypadek nie był tu ściśle uwarunkowany przez liczne okoliczności, mające źródło w osobie samego Daugerre'a? Czy nie wywarły tu przemożnego wpływu jego zajęcia, materiały, z jakimi miał w swej pracowni do czynienia, a wreszcie ciekawość i uwaga, z jakimi za doświadczeniami swymi śledził? Zapewne, Daguerre mógł umrzeć i naczynia z rtęcią nie odnaleźć, ale prędzej lub później byłyby to niewątpliwie uczynił jeden z jego następców. I możemy rzec śmiało, nie licząc się wcale z siłą okoliczności przypadkowych, że byłby to uczynił nie gdzieindziej i nie inaczej, tylko podczas doświadczeń w pracowni doświadczalnej.

To rzecz pewna, że pojedynczy fakt, oderwane spostrzeżenie, choćby największej wagi, nie może nigdy wywołać odkrycia naukowego, kreacji artystycznej lub technicznego wynalazku. Może, co najwyżej, albo dopełnić poszukiwania twórcy, albo stać się do nich zachętą. Lecz i w tym razie nawet spostrzeżenie takie właściwego charakteru przypadkowości nie posiada, ponieważ musi się ściśle wiązać z całą treścią umysłową i uczuciową twórcy.

Co jeszcze każe nam wątpić o sile przypadku, to ten взгляд, iż prawie nigdy się nie zdarza, aby geniusz odznaczył się przypadkowo na innem polu działania, aniżeli to, na jakim z potrzeby wewnętrznej z zamiłowaniem pracuje. Czy ewolucya pewnej idei, pewnego wynalazku odbywać się będzie jawnie, w sposób systematyczny, powolny, czy też trwa głęboko ukryta w umyśle twórcy, poczem występuje naporz nagle, jako owoc natchnienia, szczęśliwy przypadek, który ma w tej ewolucyi współdziałać, spotykamy zawsze tylko tam, gdzie ześrodkowują się wszystkie myśli i uczucia, wszystkie dążenia i poszukiwania twórcy. Kant jest uczonym, Napoleon wodzem i prawodawcą, Byron poetą a Chopin artystą. Genialne ich dzieła poza obręb tych dziedzin nie wychodzą i nie wyrastają, dzięki przypadkowi, za granicami ich właściwego posłannictwa. Wprawdzie geniusz może w każdym zakresie tworzyć dzieła wybitne, pracować z pożytkiem, ale to nie ta praca ryje wieczystymi głoskami jego imię w historii.

Tem trudniej to objaśnić wobec spotykanych często teoryj, które przyjmują geniusz za ogólne tło umysłu, za uzdolnienie

wszechstronne, pozwalające człowiekowi na każdym polu czynić rzeczy wielkie. Co prawda, nie wiele znajdujemy przykładów takiej genialności wszechstronnej. Vinci, Michał-Anioł, Baldi, Goethe, Franklin powtarzają się przez wszystkie usta tam, gdzie o wszechstronności mowa, jakkolwiek sprawiedliwość nakazuje wyznać, że działalność tych twórców przedstawia także wyraźne nierówności i nie na każdym punkcie sięga szczytu. Nie o to jednak idzie. Jedni mogą przyjmować geniusz za wszechstronną i równomierną potęgę umysłu, drudzy za pewne usposobienie wyłączone, za dążność szczególną, za „monstrum per excessum“ Schopenhauera, ale na to zgodzić się należy, że bezstronny sąd o rzeczy sprowadza rolę przypadku w powstawaniu i ewolucyi wynalazków do rozmiarów nikłych. W przeciwnym razie, jakim sposobem moglibyśmy wytłómaczyć sobie i na przykładach stwierdzić fakt, że ilekroć geniusz nie zdołał poznać i zgłębić należycie własnych upodobań i dążeń, ilekroć oddawał się zajęciom, niezgodnym ze swem usposobieniem, nie tylko nie tworzył tam, przy pomocy przypadku np., rzeczy nadzwyczajnych, lecz co prędzej zajęcia te rzucił. Tak się stało z działalnością takich twórców, jak Fulton i Humphry Davy; tak z Schillerem, który zawód literacki rozpoczynał, jako lekarz, od specjalnych prac medycznych; tak z Claude Bernard'em, który naodwrot zaczął swą karierę, jako mierny pisarz dramatyczny, a skończył jako genialny lekarz.

Trudnoby nam było również pojąć, dlaczego ludzie genialni wiedzą po większej części żywot odosobniony, zamknięty w sobie. Dlaczego starają się związek swój ze światem możliwie ograniczyć, chronić się od wrażeń i wzruszeń zewnętrznych, jednym słowem zapewnić sobie jaknajwiększą miarę spokoju i niezależności umysłowej. Wszakże to nie jest droga, na której najłatwiej o działania i wpływy przypadkowe. Popęd twórczy zrodził się razem z człowiekiem i w tyłowiekowym swym pochodzie mógł już niewątpliwie odnaleźć drogę, najprędzej i najpewniej wiodącą do celu. Gdyby przypadek zewnętrzny był często odgrywał rolę jeżeli nie światła przewodniego, to przynajmniej małego drogowskazu w życiu twórców, z pewnością nie widzielibyśmy ich tylu, poszukujących natchnienia w ciszy i samotności swych pracowni, skupionych w sobie, a w życiu zewnętrznym mały biorących udział. Znany powszechnie jest fakt, że działalność praktyczna twórców, poza akcją tworzenia, sprowadza się po większej części do ciągłego koła zajęć i przyzwyczajzeń, dochodzących prawie do granic automatyzmu. Stąd powstał nawet wniosek, że silnie wyrażony popęd twórczy rozrasta się zwykle kosztem innych władz duch-

wych człowieka, które upośledza lub doprowadza do zaniku. To też co do uczonych badaczy, nikt nie wątpi, że pracują najowocniej w spokoju i ciszy. Co się tyczy poetów i artystów, w ich życiu podnoszony bywa t. zw. „głód wrażeń“, który ma warunkować powstawanie i rozwój twórczości. Nam się jednak zdaje, że zarówno do jednych i drugich można śmiało zastosować pogląd takiego głębokiego znawcy dusz ludzkich, jak Bourget. Autor ten utrzymuje, że pierwszym warunkiem dla rozwoju każdej siły twórczej jest „samotność ducha, chodząca zwykle w parze z polem, a nawet zuchwałością myśli.“ Jeżeli poeta lub artysta rzuca się w wir życia, szuka wrażeń, pożąda zmiany, — to stan taki bywa zwykle przejściowym, poprzedza i przygotowuje właściwy okres tworzenia, do którego niezbędne są: skupienie się w sobie, samotność, lub, co najwyżej, współczujące otoczenie.

Wiemy, jak bardzo Mickiewicz kochał swój pomysł do „Pana Tadeusza“, jak rozkoszował się tworzeniem tego poematu i szukał w nim wytchnienia wśród politycznej i życiowej zawieruchy. A jednak pomimo znanej łatwości tworzenia, wybornej znajomości rzeczy i wielkiej ochoty — praca szła opornie i trwała blisko dwa lata. Działo się tak dlatego, że praca ta, jak sam Mickiewicz w listach do przyjaciół opowiada, przypadła na niespokojny, pełen trosk i przeszkód okres jego życia. Spokój i cisza, „jeden tydzień przeszłorocznej ciszy“, były w owym czasie celem gorących marzeń poety i wydawały mu się jedyną odpowiednią dla pracy twórczej drogą.

Zresztą myśl podobną wyraził Mickiewicz dobitnie w swych „Uwagach“, drukowanych w Paryżu w r. 1836, gdzie mówi: „Kto pragnie wieszcze słowo w głębi własnej duszy sam usłyszeć, niech wprzód zamknie uszy.“

Jeżeli teraz, pozostawiając na uboczu twórczość indywidualną, spróbujemy rozpatrzyć dzieje jakiegokolwiek wynalazku w czasie i przestrzeni, to przekonamy się, że w jego rozwoju, przekształcaniu się i doskonaleniu stopniowem, powtarza się ta sama sprawa; brak tu również miejsca na szerszy udział przypadku.

Przedewszystkiem do pierwotnej postaci wynalazku nigdy nie dotrzemy. Zdaniem Tylora, im użyteczność pewnego wynalazku jest większą a budowa prostszą, tem daley jego początek wybiega poza granice historii, tem trudniej odnaleźć ogniwa kolejne, wiążące jego przypuszczalną postać pierwotną z tem, na co obecnie patrzymy. To tylko przyjąć należy za fakt niewątpiwy, że każdy wynalazek, który zwraca dzisiaj naszą uwagę, jest po większej części wytworem krótszego lub dłuższego czasu, wytwo-

rem pracy zbiorowej. Z tego stanowiska też, a nie pod kątem widzenia szczęśliwego przypadku, oceniany i sądzony być powinien.

Zastanówmy się choćby nad wynalazkiem tak pospolitym i stosunkowo prostym, jak wóz kołowy, a zobaczymy, jak długą i urozmaiconą ewolucję przebywać musiał, zanim doszedł do obecnych, wielce złożonych i różnorodnych postaci. Ponieważ początki wozu giną w czasach przedhistorycznych, więc antropologia,¹⁾ tylko na zasadzie prawdopodobieństwa, poucza, że ongi był to zapewne „prosty wał drewniany, może zwyczajny pień drzewny, na którym przetaczano ciężary.“ Z czasem wał taki, obciosany pośrodku, stanowił oś i koła w jednej całości, a postawiona na tej osi skrzynia była już prototypem dzisiejszego wozu. Odtąd każdy wiek, każdy dziesiątek lat dorzuca do wynalazku tego nowe przyczynki, stosuje ulepszenia i odkrycia, poczynione w różnych dziedzinach wiedzy, komplikuje budowę wozu i doprowadza go do granic najwyszukańszego zbytku. W całokształcie tej długotrwałej ewolucji tracimy z oka i pierwowzór i pojedyncze ogniwa w jego rozwoju. Zapominamy, patrząc dzisiaj na parowóz lub samochód, że to również postać wozu kołowego, ale postać rozrosła, potężna, stanowiąca sumę wielu dodatkowych, gdzie każda pozycya nietylko inną ręką, lecz często zbiorowymi siłami była pisana.

W odkryciach poważnych, zmieniających doszczętnie warunki życia ludzkiego, pochodz myśli twórczej jest jeszcze wyraźniejszy, odbywa się powolniej, i z większym mozołem. Ot, weźmy pod uwagę przykład takiej doniosłości, jak odkrycie siły poruszającej pary. Ileż to czasu było potrzeba, ile potęgi twórczej, ile badań doświadczalnych i prób nieudanych, zanim człowiek zdołał odkrycie opanować i poznać należycie prawa, na zasadzie których dokonał zamiany ciepła na energię mechaniczną.

Wszakże siła pary została właściwie zużytkowaną dopiero od lat 100 z okładem, a jednak pierwsze odkrycie w tym kierunku przypisywane jest powszechnie Heronowi z Aleksandryi, który żył na lat 217 przed rozpoczęciem naszej ery. Że Grecy i Rzymianie już w głębokiej starożytności znali własności pary, świadczą o tem daty, podane przez Arago w jego mowie pochwalnej, wypowiedzianej na cześć James'a Watt'a w gronie akademików francuskich. Wprowadzić wiadomości, zebrane przez Arago, posiadają charakter cokolwiek anegdotyczny, dowodzą jednak jasno, że świat starożytny umiał się parą celowo posługiwać. Poczynając

¹⁾ E. B. Tylor: „Antropologia.“ Warszawa, 1902.

zaś od w. XVII historia cywilizacji przechowała nam wyraźne ślady głębokich poszukiwań nad własnościami pary i pracy twórczej na tem polu. Wszakże z połową XVII w. związane jest nazwisko Dyonizego Papina, który jest już twórcą idei, że para może stanowić motor uniwersalny i po raz pierwszy kreśli obraz przyszłej żeglugi parowej. Od tego czasu do dnia dzisiejszego ciągnie się nieprzerwany szereg wynalazków, mających stale punkt wyjścia w sile poruszającej pary i wkraczających stopniowo w wszelkie dziedziny pracy ludzkiej. Wynalazki te bywają z początku częściowe, niepełne; potem dopełniają się wzajemnie, zlewają z sobą i w końcu wyrastają w potężną całość, np. w dzisiejszą maszynę parową i wszelkie z nią spokrewnione i od niej zależne maszyny i przyrządy. Każdy szczegół wiedzy ogólnej, raz zdobyty, stawał się tu czynnikiem dalszych zdobyczy. Każde nowe doświadczenie, każdy fakt wywiązywał się ze spostrzeżeń i faktów dawniejszych i prowadził w sposób systematyczny, konsekwentny i nieunikniony do nowych pomysłów i nowych uogólnień. Każdy twórca pracę swą rozpoczynał od rewizyi tego, co w danym zakresie jego poprzednicy zdziałali i, biorąc nabytki przeszłości za podstawę, dążył do doskonałości i postępu. Wspólny pierwiastek ideowy zachował się tu niezmiennie, a okoliczności przypadkowe w jednych razach o tyle dopomagały w jego pochodzie cywilizacyjnym, o ile w innych gromadziły zawady na drodze jego postępu.

Dokładna znajomość antropologii i etnografii potrafiłaby nam z pewnością pokazać, że działalność ducha ludzkiego od początku do końca można objąć w jedną spoiłą całość. Potrafiłaby dowieść, że wynalazki najodleglejsze i najbardziej z pozoru różne, posiadają wyraźny związek ideowy. To też nie jest pozbawionym słuszności sąd Letourneau¹⁾, który powiada, że śledząc krok za krokiem wszystko, co człowiek odkrył i wynalazł, można odnaleźć łączność pomiędzy zjawiskami tak odległymi „jak maszyna parowa i krzemień łupany, okręt i tratwa, pałac i grot, wytworny, posiadający odmiany język dzisiejszy i monosylaby ludów barbarzyńskich, rachunek różniczkowy i bezskuteczne próby Australczyka, który własnych palców zliczyć nie może, wielkie religie Aryjczyków i animizm afrykańskiego murzyna.“

To rzecz wiadoma, że twórczość stanowi dotychczas zagadkę nierozwiązaną. W zjawisku tem są dla nas rzeczy niejasne i nie-

¹⁾ M. Ch. Letourneau: „La préhistoire vivante.“ Revue scientifique. N. 23. 1885.

pojęte. Niepotrzebnie jednak staramy się zapełnić próżnię wnioskami o przypadku. Wyjaśnień należałoby raczej szukać w głębiach historyi lub tajemnicach przyrody. Przypadek, wzywany tu na pomoc, nic nam nie mówi i nic nie wyjaśnia. Nie stanowiąc sam przez się żadnej siły realnej, nie może być ani czynnikiem, ani tembardziej podstawą jakiegokolwiek, zwłaszcza złożonego zjawiska. I rozumieć go należy chyba tylko w tym sensie, jak nam to Paweł Janet¹⁾ tłumaczy. Autor ten mówi: „przypadek, to nie jakaś zamknięta w sobie, istotna całość, nie jakieś bóstwo tajemnicze i zazdrosne, które, ukryte w chmurach, snuje na ślepo nic naszych przeznaczeń.“ Taki przypadek nie istnieje... „To też słusznem jest poniekąd twierdzenie, że przypadku niema, że przypadek — to wyraz pusty, pozbawiony treści i wynaleziony przez naszą niewiedomość.“

MIECZYSLAWA BIEGAŃSKA.

¹⁾ P. Janet: „Les causes finales.“ Paris, 1901.

Z życia ministra Lubeckiego.

IV.

Przeobrażenie Rządu.

Nigdy chyba i nigdzie ludzie z sercem i głową takich nie przechodzili katuszy; i w Polsce nie, bo od rozbioru nigdy tyle nie było do stracenia...

„...Najgłębszy mnie smutek dręczył; przyszłość stawała się coraz bardziej wątpliwą... Wierzyłem, że dałoby się jeszcze zapobiedz zupełnemu zerwaniu; chciałem przynajmniej ścieśnić, o ile można było, granice tego zerwania, gdyż przeczuwałem aż nadto, nieszcześnie a prawdopodobne, następstwa walki z bronią w rękę...“

Tak o tych katuszach pisze Władysław Zamojski, w całym późniejszym życiu jeden z nieprzejednanych. Z tych mąk wewnętrznych zrodziła się w głowie młodego podporucznika szczególna myśl, żeby Rząd, Rząd królewski i „w króla imieniu działający“ ogłosił niepodległość, i to w porozumieniu z W. Ks. Konstantym. „Mógł jeszcze Rząd nowy ośwładnąć powstanie, byle tylko wyrzekł słowo: „niepodległość,“ — tak tę myśl osobliwą rozwija — „mogło to słowo, na czas krótki przynajmniej, zaspokoić wzburzenie powszechne... A przecie ogłoszenie niepodległości nie byłoby jeszcze ostatecznym zerwaniem; słowo *niepodległość*, zastosowane do Królestwa Polskiego, sam Cesarz Aleksander wprowadził do akt urzędowych; dowodziło by to tylko, że naród chce sam o swojej sprawie radzić. Zresztą było to wyrażenie ulubione

mas, wyrażenie nieodbitcie potrzebne; a z niem można było pogodzić wiele rzeczy, gdyby jedna i druga strona dały się natchnąć umiarkowaniem... Jeżeli nie, to inny Rząd nastąpi niebawem, a wtedy już niepodobna będzie myśleć o żadnem pojednaniu.... Ale niech wie o tem W. Książę: Rząd, jaki teraz istnieje, utrzymać się może tylko pod jednym warunkiem: potrzeba, ażeby dziś jeszcze ogłosił niepodległość Polski.“

Co do takiego „koniecznego, nieuchronnego warunku“ utrzymania Rządu na stanowisku — nie bardzo się może mylił młody adjutant W. Księcia; co do rzeczy samej, sam otwarcie wyznaje: „nie zdając sobie z mojej myśli sprawy dokładnej, widziałem albo przeczuwałem, co było nieuchronnem, co już nie mogło być inaczej.“ Dość, że adjutant przedstawił swoją „myśl“ Konstantemu; ten, choć już na taką rozinowę przez pruskiego konsula przygotowany, ofuknął go zrazu krótko; „Jak pan śmiesz mnie znieważać w ten sposób?“ Ale pojednał się wkrótce z adjutantem, nie z jego „myślą“, i wyprawił go znów do miasta po wiadomości. „Widząc — opowiada Zamoyski — że mi żadnego polecenia do Rządu nie daje, zapytałem, czy mnie przynajmniej upoważnia zdać sprawę Ministrom z mojej z nim rozmowy; odpowiedział, że mogę mówić i robić, co uznam za stosowne, ale nic w jego imieniu.“

Działo się to jeszcze 30-go przed południem; Zamoyski przybył do Banku niedługo po uroczystem przeprowadzeniu Rady Administracyjnej do tej improwizowanej siedziby. On sam tak opowiada: „Rząd się organizował, zapobiegał tysiącom wymagań bliższej potrzeby. Wszakże, gdyin powiedział, że przybywam od W. Księcia, Rada natychmiast zebrała się dla wysłuchania mnie. Opowiedziałem dosłownie, co zaszło między W. Księciem a mną. Po chwili rozmowy między członkami Rady, książę Lubecki zabrał głos w ich imieniu (choć nie widziałem, by go do tego wezwali) i oświadczył, że Rada nie dzieli zdania mego o potrzebie ogłoszenia niepodległości; że przeciwnie, wzywa mnie, ażebym zapewnił W. Księcia, że jej członkowie w niezachwianej dla króla wierności trwać zamierzają i że, jakiegokolwiekby następstwa z tej okoliczności wynikły, członkowie Rady nie przekroczą granicy, jaką jest utrzymanie imienia cesarza i króla na czele aktów rządowych. „Jednakże — dodał — to coś Pan powiedział W. Księciu, może nam posłużyć. Jeżeli przypuszcza, że się tak daleko damy wciągnąć, o tyle chętniej zapewne uzna naszą zasługę; na-przód spodziewamy się, że wszelkich nieprzyjacielskich zaniecha kroków i wnijdzie w porozumienie z Rządem, przedewszystkiem

dla utrzymania pokoju, a następnie, *by słusznym wymaganiom narodu zadosyć uczynić*.

Lubecki, zawsze skłonny do optymizmu, w jaśniejszych barwach widział rzeczy, niż młody podporucznik. Po tryumfalnym pochodzie Rady przez ulice poczeiwej Warszawy—myślał, że już się dosyć zrobiło *dla ulicy*. Cały dzień zresztą zajęły jeszcze narady i zarządzenia w celu uspokojenia miasta; z kolei jednak inna troska stawała na porządku dziennym, troska o uspokojenie,—ale nie tylko o samo uspokojenie—drugiej strony, dalekiej wprawdzie, lecz silniejszej od tłumów, snujących się po ulicach Warszawy.

To też kiedy Rada nazajutrz rano (1 grudnia) zebrała się znowu na posiedzeniu, pora była wreszcie pomyśleć o tym, „którego imię — jak Lubecki przypominał Zamoyskiemu — stało na czele jej obwieszczeń i postanowień“ — o cesarzu i królu. On przecież, w odległości 150 mil, nie mógł dotąd jeszcze nawet przyjechać, co się dzieje w jego nadwiślańskiej stolicy.

Pierwsza wiadomość o warszawskich wypadkach doszła do Petersburga dopiero późnym wieczorem 7 grudnia, w tydzień właśnie po tej pierwszej dyskusyi o „niepodległości“ w Radzie Administracyjnej Królestwa. Dość późno, jak i na owe czasy, chociaż o wiele rychlej nie można było w tej porze zdążyć z Warszawy do Petersburga, kiedy w Królestwie i na Litwie nie było jeszcze sanny. Wiadomo dobrze z wszelkimi szczegółami, ile czasu potrzebowała sztafeta na przebycie tej drogi; a przecież musimy mieć to nieustannie w pamięci, żeby zrozumieć zdarzenia następnych dni w Warszawie, następnych paru tygodni w Warszawie i w Petersburgu. Tak niedaleko odbiegliśmy od „nocy belwederskiej;“ nie starzy dzisiaj jeszcze, znali dobrze niejednego „Belwederczyka“ i z własnych ust tylu świadków naocznych słyszeli opowiadania o listopadowem powstaniu; wie się o tem, pamięta się dokładnie, jakie były naówczas warunki komunikacyi, a jednak przy ocenieniu każdej chwilowej sytuacji łatwo nieraz zapomnieć, że to były takie same warunki, jak za Aleksandra Wielkiego, gorsze nierównie, niż za Cezara, a od tych, z którymi żyliśmy się od dawna, tak zupełnie odmienne. Słowem, cała historia pierwszych tygodni listopadowego powstania, byłaby już nie dalej jak po 30 latach—w czasach kolei i telegrafu — eżemś zgoła niemożliwem.

Wzmocniona Rada w nielegalnym swym składzie, już od 36 godzin dzierżyła słabą ręką nominalny ster rządów kraju, a jeszcze nie zdobyła się na to, żeby zawiadomić monarchę o wypadkach, które ją zniewoliły przywłaszczyć sobie królewskie atrybuty,

„w interesie Tronu, legalnego porządku i nienaruszalnego związku Królestwa z Rosyą,“ t. j. powołać do swego grona ludzi, o których monarcha nic nie wiedział. Nie było czasu myśleć o tem zawiadomieniu, tak tłoczyły się wydarzenia pierwszej nocy i następnego dnia. W pierwszej jednak, cokolwiek spokojniejszej chwili, zajęto się tą sprawą i postanowiono wysłać do Petersburga z raportem jednego z członków Rady, z dawnego jej, rozumie się, legalnego składu, królewskiej nominacji. Wybór padł na Jana Maksymiliana Fredrę, Marszałka królewskiego polskiego Dworu. Równie mizerny tragik, jak znakomitym komedyopisarzem był młodszy jego brat Aleksander, tak jak i tamten żołnierz Napoleoński, z pułkownika wojsk Księstwa Warszawskiego generał brygady po r. 1815; do r. 1828 adjutant Cesarza Aleksandra, ożeniony z Rosyanką, Praskowią hr. Gołównówną; od koronacji w r. 1829 i związanego z nią pomnożenia dworskich urzędów, Marszałek Dworu, pierwszy i ostatni; od kilku miesięcy wreszcie Kurator Jeneralny instytutów naukowych, na tem stanowisku następca Dawida Oeschelwitza i równie jak on niepopularny—Fredro nadawał się niezawodnie do misyi, którą mu zamierzano powierzyć. Można go uważać za doskonałego przedstawiciela typu, który tak był szeroko rozpowszechniony między wyższymi dygnitarzami Królestwa Kongresowego. Wychowany w Puławach, za młodu dzielny żołnierz o niepodległość ojczyzny, w wieku dojrzałym do tego stopnia przejeżdżany z nowym porządkiem rzeczy, że się ożenił z Rosyanką, dworak, na stanowisku Kuratora powolne narzędzie Nowosilcowa, a w każdym razie o tyle słaby, że się nie ważył wejść w jakiegokolwiek kolizye z Pełnomocnym Delegowanym J. C. Mości. Był u Dworu dobrze widziany, w Petersburgu posiadał rozliczne związki, rodzinne i osobiste: jeżeli zatem podejmował się powieźć raport Rady Administracyjnej o wypadkach 29 listopada i o stanowisku jakie zajęła wobec nich Rada, nie można było znaleźć dogodniejszego delegata; Fredry chyba nikt nie mógł posądzić w Petersburgu o jakieś wykroczenie przeciw lojalności.

Nim jednak raport wygotowano, Rada Administracyjna powzięła nowe postanowienia, wskutek których przestała już być stanowczo Radą Administracyjną Królestwa, jakkolwiek na razie jeszcze nie wyrzekła się tej niepopularnej nazwy.

1-go grudnia doniesiono zebrany na posiedzeniu członkom Rady Administracyjnej, że w gmachu bankowym pojawiła się „Delegacya od członków Senatu i Izby poselskiej.“ Składała się z jednego Senatora, Kasztelana Leona Dembowskiego, i czterech po-

słów; między nimi był Lelewel, główna sprężyna całej akcji; przewodniczył Dembowski. Jeden z przybranych członków Rady, kasztelan Kochanowski, był teściem Dembowskiego; teść wprowadził na posiedzenie zięcia i jego towarzyszy i poparł ich żądania.

Sam Dembowski pisał po 30 latach w swoich Wspomnieniach: „w istocie, *nadużywając nazwy*, zameldowaliśmy się jako delegacya od członków Senatu i Izby poselskiej.“ Na zaimprovizowanym zebraniu bowiem, które odbyło się na Zamku, było zaledwie kilkunastu posłów i deputowanych; tam jednogłośnie wybrano tę delegacyę. Zebranie poselskie zwołano pod pozorem narady, jakim sposobem położyć tamę „rabunkom“ i „nieporządkom“ w mieście. Po krótkiej naradzie zgodzono się ze zdaniem Lelewela, że cel ten najłatwiej będzie można osiągnąć, „jeżeli z Rady Administracyjnej usunięci będą członkowie, którzy nie posiadają zaufania publicznego, jakimi są Fredro, Rautenstrauch i inni.“ Spisano siedem punktów, które Delegacya miała przedstawić Radzie. Trzy pierwsze były to same rekryminacye, z powodu dotychczasowego postępowania Rady: wyraz niezadowolenia z odezwy, wydanej po wybuchu powstania, i zarzut „że działania Rady są zbyt powolne, że nie są w duchu rewolucyjnym powzięte.“ Trzy dalsze punkta domagały się usunięcia członków Rady, nie posiadających zaufania publicznego, przybrania nowych członków z Izby poselskiej, „bo oni naród reprezentują,“ wreszcie zwołania Sejmu. Ostatni stwierdzał, „że należy obmyśleć żywność dla wojska.“

Takie to miały być, według Lelewela, skuteczne środki powściągnięcia „rabunków“ i „nieporządków;“ w rzeczywistości były to postulata, których przyjęcie przez Radę równało się wyrażonemu przystąpieniu do rewolucyi. To bowiem, co Rada uczyniła na pierwszą wieść o wybuchu powstania, było już wprawdzie nielegalnem wkroczeniem w wyłączne atrybucye króla i wielkiem uchybieniem pod względem formy, dawało się jednak usprawiedliwić zarówno wyjątkowem położeniem, jak i lojalną niewątpliwie pobudką; wszakże przybrani przez nią członkowie „przyrzekli współdziałanie z Rządem w interesie króla i tronu.“ Co innego po upływie półtora dnia przybierać drugą seryę członków nie z własnej, jak wówczas, inicjatywy, lecz pod naciskiem z zewnątrz; co innego zwłaszcza, przybierać ich na miejsce bezprawnie usuniętych legalnych członków Rządu, z nominacyi królewskiej, których sam król miał prawo uwolnić od powierzonych im obowiązków. Równie rewolucyjnym, jaskrawo rewolucyjnym krokiem byłoby, samowolne zwołanie Sejmu, stanowiące jedną z głównych atrybucyj

monarchy, nietylko według litery konstytucyi, ale według kardynalnej, podstawowej zasady parlamentaryzmu.

Gdy delegacya przedstawiła Radzie żądania poselskiej konferencyi, Lubecki uderzył odrazu w najdrażliwszą stronę i zapytał, którzy to są owi członkowie Rządu, co zaufania publicznego nie posiadają? „Książę pierwszy tego zaufania nie posiadasz“—ozwał się głos Sołtyka; inni członkowie Delegacyi, dyplomatyczniej się wyrażając, wyjaśniali, że według głosu opinii publicznej, „stosunki, jakie oddawna łączą Lubeckiego z Dworem, mogą być na przeszkodzie, aby teraz tak działał, jak tego sprawa narodowa wymaga.“ Lubecki nie stracił zimnej krwi; jeżeli swoim dotychczasowym postępowaniem nie zdołał narodu przekonać o swych czystych zamiarach, gotów tej chwili wystąpić z Rady; to oświadczył, powstał i zamierzał wyjść z sali. Zaprotestowali jednak Czartoryski i sędziwy Niemcewicz, a składając wymowny hołd dobrym chęciom i nieskazitelności Ministra Skarbu, zsolidaryzowali się najściślej z Lubeckim; jeśli Lubecki ustąpi, i oni się usuną. Zawtórowali im inni członkowie Rady; i Deputacya zatem „połączyła się z życzeniem Rady, aby Lubecki w Rządzie pozostał.“ Odniosłszy takie świetne zwycięstwo, zajął napowrót swoje miejsce przy stole obrad, nie bez jasnego zapewne przeświadczenia, jak strasznego pozbyłby się ciężaru, gdyby się był uparł w tej chwili i pozostał przy pierwszym oświadczeniu. I to musiał rozumieć bez wątpienia, że ogrom tego ciężaru będzie wzrastał; epizod z delegacyą i rewolucyjnymi jej żądaniami zapowiadał to najwyraźniej. Nie skorzystał z tego momentu i nie usunął się z Rządu, bo przedewszystkiem miał przed oczyma to proste przykazanie, które sobie powtórzył na pierwszą wiadomość o wybuchu powstania: *Trzeba być na swoim miejscu!* Tą dewizą kierował się w całym życiu. Ile mu tę decyzję ułatwiło zadośćuczynienie, jakiego doznał przed chwilą w uprawionej miłości własnej, tak boleśnie dotkniętej i w tym samym momencie tak doskonale zaspokojonej? To pytanie, na które chyba i on sam nie potrafiłby odpowiedzieć. Może jedno jeszcze przemknęło mu w tej chwili przez głowę. Cała Rada tak stanowczo za nim stanęła, a przedewszystkiem zsolidaryzowali się z nim ci dwaj członkowie, odświeżonego Rządu, których nazwiska stanowiły dla opinii publicznej główną rękojmię czystości zamiarów i patryotyzmu dzisiejszej Rady. To było dla Lubeckiego czemś więcej jeszcze, niż zadośćuczynieniem obrażonej miłości własnej: to, bądź co bądź, dawało mu pewną siłę, wzmacniało pozycję Księcia Ministra, nietylko w Radzie, ale

i wobec społeczeństwa. A jemu tak trudno było pozbyć się wiary — w szczęśliwą gwiazdę Lubeckiego.

To pewna, że w dalszym ciągu posiedzenia każdy krok Lubeckiego nacechowany był jakby spotęgowaną jeszcze pewnością siebie. Gdy Delegacya oddaliła się z sali posiedzeń, kasztelan Kochanowski poparł jedno z głównych jej żądań w sprawie przybrania nowych członków do składu Rady: według słów urzędowego protokołu „przedstawił, że nadzwyczajne poruszenie umysłów nadzwyczajnych wymaga środków i że najdogodniej w obecnych okolicznościach byłoby, iżby z pomiędzy członków Izby poselskiej trzy osoby ten sam odebrały zaszczyt, jaki członków Senatu przez Radę wybranych spotkał, i wezwane zostały do zasiadania w Radzie.“ W odpowiedzi zabrał głos Lubecki. Miał odwagę zbyć popularny ten wniosek krótką tylko przestrogą: „baczyć na to potrzeba, żeby Rząd w miejscu rządzenia nie stał się rządzonym.“ Po tem ostrzeżeniu rozbiierał dwa inne najważniejsze żądania Delegacyi: sprawę usunięcia niektórych członków Rady i sprawę zwołania Sejmu. Co do pierwszego żądania, nie sprzeciwił mu się wyraźnie, jakby właściwie przystało na Ministra, który był, bądź co bądź, obowiązany, nie zezwalać na usunięcie mianowanych przez króla członków Rządu. Nie można jednak odmówić zręczności stanowisku, które zajął w tej sprawie. Gdy sama Deputacya nie wymieniła, kogo chce mieć usuniętym, i oświadczyła, iż każdy sam się winien ocenić, Rada takóŜ nie może, jak tylko własnemu członków ją składających ocenieniu rzecz tę zostawić.“ Była to niemal wyraźna zachęta, skierowana do niektórych kolegów, żeby sami się usunęli; Rada nikogo nie wykluczała ze swego grona. Zwołaniu Sejmu natomiast oparł się stanowczo, „bo król nie zwołał.“ Tak więc oświadczył się w gruncie przeciw wszystkim pozytywnym żądaniom Delegacyi, sprzyjając cichaczem jedynie puryfikacyi Rady z jej znieawidzonych powszechnie żywiołów; oportunistą, nie lekcewał przytem korzystnego wrażenia takiej puryfikacyi, upozorowanej dobrowolnem ustąpieniem niepopularnych członków. Czerpiąc zaś naukę z epizodu, który się przed chwilą odegrał, Lubecki rozwinął program dalszego postępowania Rządu. Oto myśli ogólne, krótko i pośpiesznie w protokule zanotowane. „Zapobiedz potrzeba, aby posiedzenia Rady słuchaniem pojedynczych żądań przerywane nie były; Rada winna działać nie tak, aby chwilowym wymaganiom dogodzić, lecz aby spokojność i prawo, *był i swobodę* kraju zapewnić.“ Stanowisko godne ministra i obywatela, strzegącego interesów monarchy, ale równie dbalego o utrzymanie i rozszerzenie swobód. Rada działa i działać po-

winna w imieniu króla: roztropność wszakże nakazuje, aby formy tej „w imieniu króla“ nie używać. Do czegoż dążyć powinniśmy? Do tego, co jest podobnem. Otóż *aby co bądź otrzymać* — trzeba mieć siłę. Siła jest w wojsku, w gwardyi naród formuje się dopiero. Wojsko, tyle ile go teraz, niedostateczne. Trzeba więcej sprowadzić... generałowi Chłopickiemu polecić wydanie rozkazów do sprowadzenia wojska, a zawsze w imieniu króla.“

Z tych pobieżnych, niedokładnych zapisek protokołu odsłania się wyraźnie nowa faza w ewolucyi politycznego stanowiska Lubeckiego pod wpływem pierwszych chwil listopadowego powstania. Zrazu na nocnem posiedzeniu w pałacu Branickich, jedyną jego troską było bez wątpienia stłumienie nieporządków, uśmierzanie powstania. W półtora dnia po tem mówi: „*aby co bądź otrzymać, trzeba mieć siłę.*“ Pożąda siły dla Rządu, do którego należy i którego jest duszą, nie tylko dla poskromienia wszczętego ruchu, a zwłaszcza jego wybujałości, ale i dla poparcia jego uprawnionych dążeń i pragnień. Tak mówi, ale nietylko tak mówi, tak niezawodnie myśli. Stając zaś w ten sposób jedną nogą na gruncie rewolucyi, już nie pod względem formy, jak w pałacu Branickich, ale i w samej rzeczy, nie myśli wcale, żeby tem uchylał przysiędze, którą jako minister złożył królowi, a z którą liczy się rzetelnie w sumieniu. W jego umyśle interes króla i kraju były nieodłączne. Skoro wybuchło już powstanie, dobro króla i dobro kraju wymaga jednej przedewszystkiem rzeczy: zapobiedz za jakąbądź cenę krwawemu starciu, któreby między królem a krajem wyżłobiło przepaść niewyrównaną. Choćby więc było dość sił do represyi, do stłumienia rewolucyi przemocą, Lubecki opierałby się niezawodnie wszelkiej krwawej represyi. Jeśli zaś uda się wyzyskać wszczęte powstanie dla dobra kraju, dla utwierdzenia i rozszerzenia narodowych swobód, będzie to nietylko zdobyczą dla Królestwa, ale niemniej ważną, rzetelnej wartości wygraną króla, bo, według Lubeckiego, nie było równie zgubnem dla żywotnych interesów tronu, jak to wszystko, co niszczyło harmonię między królem a krajem. Gdy krew się lała pod Maciejowicami, Lubecki był petersburskim kadetem; pod Novi, pod Marengo, komenderował może ognia na legionistów: był żołnierzem; między Jeną a Tylżą, gdy formował się pierwszy zawiązek wskrzeszonej Polski, on zaprzątnięty był dyspensą na ślub z córką rodzonej siostry. W ostatnich jednak latach, iluż to weteranów z boją o niepodległość godziło się bez zastrzeżeń na ówczesne położenie Królestwa, iluż ich było, co sarkać umieli jedynie na zapaleńców i zgubne ich roboty; wówczas jeden Lubecki

nietylko bronił Sądu Sejmowego, ale — co ważniejsza — wytrwale walczył z nieprzyjacielem i w pocie czoła pracował nad wyrwaniem złego z korzeniem. Zanim doszedł do celu, wrzód wezbrał, minęła pora łagodnych środków, powolnych reform; Lubecki i do operacyi był zdolny, gdy widział nieuniknioną konieczność, byle zażegnać katastrofę, ostateczne zerwanie. W imię obowiązków wiernego sługi króla i dobrego obywatela, jedno miał przed oczyma zadanie: znaleźć drogę do rozwiązania pokojowego, bez szkody, a o ile możności z korzyścią dla Królestwa. Kto inny, równie wierny sługa monarchy, stanąłby bezradny i zrozpaczony na samą myśl o tak ślizkiej i ciernistej zarazem drodze, cierniami najeżonej na jedną i drugą stronę. Lubecki miał tę właściwość, że każda trudność go podniecała, wydobywała zeń tem większy zasób energii i pomysłów. Wśród tak wyjątkowych trudności nie zaprzętał się, nie krępował obmyślaniami planów na dalszą metę. Ten unyśił nawskroś praktyczny, zwykł był mieć tylko jasny cel przed oczyma; droga do celu, a w braku szerokiej drogi, choćby wązka i stroma ścieżka, znalazła się już zawsze, według okoliczności chwili.

Narazie, pod wrażeniem epizodu z Delegacją poselską, jedna myśl zajmowała go przedewszystkiem. Czuł słabość Rządu, widział rosnące niebezpieczeństwo nacisku z zewnątrz. Do przysporzenia sił Rządowi zmierzał też wniosek w sprawie ściągnięcia wojsk do Warszawy. Wątpła to jednak rękojmia siły, gdy wewnątrz ujawniały się coraz bardziej elementy słabości; z przybranych członków Rady, każdy był dobrą, doskonałą firmą wobec patriotycznej stolicy, nie było jednak nikogo, kto by głową, odwagą cywilną i hartem charakteru w stosunku do rewolucyjnych żywiołów, pracowitością wreszcie, przydał się na coś w Rządzie. Zaszkozić natomiast mógł niejeden — jak dopiero co dowiódł zacytowany Kochanowski — słabością i skłonnością do ustępstw. Lubecki z dwoma tylko gotów był się władzą podzielić: z księciem Adamem i z Chłopickim; obaj mu byli nieodzownie potrzebni, nietylko, jako firma. Zabrawszy zatem głos w odpowiedzi Kochanowskiemu, prócz sprowadzenia wojska jedną myśl jeszcze ważną poruszył — utworzenie Wydziału wykonawczego. Wydział ten miał być — według słów protokołu — Radą nieustającą (permanente), „aby w nocy nawet miejsca posiedzeń nie opuszczali jej członkowie.“ Postulat, w tych nadzwyczajnych okolicznościach uzasadniony, niemal nieodzowny, w oczach wnioskodawcy miał nadto zapewne i tę wartość, że naturalnym biegiem rzeczy usuwał z Wydziału niepożądanych kandydatów, którym wiek i sterane już

siły nie dozwalały podjąć się tak ciężkiego zadania. I rzeczywistość, gdy w dalszym ciągu posiedzenia Mostowski zaproponował „na członków Rady szczególnej: księcia Czartoryskiego, Lubeckiego i Kochanowskiego,“ zacy kasztelan odparł: „Muszę się wyłączyć, bo fizyczne siły nie dozwalają mi tego, ale generał Chłopiński niech nim będzie.“ Lubeckiemu pozostawało tylko poprzeć preopinanta: „To samo i ja myślę i mówić chciałem; uprzedził mnie tylko szanowny kolega Kochanowski.“

Zanim jednak Lubecki skończył długie swe przemówienie, wpadł do sali posiedzeń nowy gubernator miasta Warszawy, Sierawski, z hołobowemi prawdziwymi wiadomościami o zachowaniu się tłumów ulicznych przed samym Bankiem. „Lud po dwakroć tu chciał wejść — raportował stary generał — po dwakroć wstrzymywałem; chciano zbrodnię nawet popełnić; pierściami ich (tak) zasłoniłem. Wybaczą więc Panowie, że wymienię tych, na których powstają. Lud powiada, że nigdy nie będzie miał w Radzie ufności, dopóki będą w niej generałowie: Rautenstrauch i Kossecki. Jako Polak, odpowiedzialny za spokojność miasta, powiedziałem, co mi zlecono.“

Nikt nie żałował Rautenstraucha i Kosseckiego; każdy czuł jednak, jakim to będzie świadectwem słabości Rządu, jeśli pod takim naciskiem pozbędzie się z swego grona obydwu generałów. Czuł to także stary Niencewicz; ostrzegając—według niezgrabnej stylizacyi protokołu — „że trzeba pamiętać, aby nie nadać otuchy ludowi; że dobrzeby było powiedzieć, iż ci generałowie poprzednio sami się usunęli.“ Niezręczny wybieg, który chyba Rządowi nie przyczynił powagi u „ludu,“ gdy się dowiedziano o pomyślnym skutku wywartego nacisku. Zgodzono się jednak na projekt Niemcewicza, a sam Lubecki podyktował do protokołu: Rada oświadcza, że przed zaczęciem jeszcze posiedzenia dzisiejszego, Rautenstrauch i Kossecki o uwolnienie siebie prosili, i że Rada odmówić tego na teraz nie może;“ w oryginale protokołu „na teraz“ dopisano później ołówkiem; charakterystyczne świadectwo, że Lubecki równie dobrze oceniał nielegalność, jak i potrzebę usunięcia tych dwóch członków Rady, mianowanych przez króla. Dobrze — myślał zapewne — że skończyło się na dwóch kozłach ofiarnych; o Fredrę i Grabowskiego nie wiele mu też chodziło, pragnął jednak utrzymać ich w pełnym składzie Rady, ze względu na Petersburg, na „króla.“ Pierwotny jego wniosek i tak zmierzał do przekształcenia pełnej Rady na chór greckiej tragedyi, służący do aprobaty działań Wydziału wykonawczego.

W ogóle „lud“ okazał się w swych żądaniach dużo skromniejszym od swoich „reprezentantów;“ wszak posłowie domagali się wyrzucenia Rautenstraucha, Fredry, Kosseckiego, Grabowskiego, a przedewszystkiem samego Lubeckiego. I jego własna sprawa znów była dyskutowana w obecności starego Sierawskiego. Znów ta dyskusya przybrała raczej postać owacyi, a zarazem była dowodem, że Minister Skarbu większych miał nieprzyjaciół w szeregach sejmowej opozycyi, niżli wśród „ludu.“ Sierawski od razu zaraportował: „Oświadczyłem ludowi co do księcia Lubeckiego, że sam jestem w tych czasach zaburzenia świadkiem gorliwości i obywatelstwa księcia; odpowiedział mi lud, że Izba poselska chciała księcia przy ministerstwie mieć utrzymanym.“ Jakkolwiek zatem nie było teraz żadnej obawy o Lubeckiego, koledzy korzystali ze sposobności, żeby mu oddać hołd w obecności popularnego generała, mającego z „ludem“ tak bliską styczność. Mostowski gorąco się odezwał, „że Rada bez księcia Lubeckiego obejść się nie może i że bez niego wszyscyby musieli ustąpić; prosi więc generała Sierawskiego, aby to ludowi oświadczył i że tego zdania są wszyscy członkowie Rady, między którymi są przecież tacy, którzy całego zaufania narodu są godni, jako to: książę Czartoryski, Niemcewicz, kasztelan Kochanowski.“ Wyzwany tem sędziwy kasztelan pospieszył z niemniej pochlebnem oświadczeniem: „Niechętnie wobec księcia Lubeckiego chwalić mi go przychodzi, ale największych godzien pochwał. Jeżeli kto chce rozpędzić Radę, niech księcia Lubeckiego usunie. Wołałbym w szeregach, jako żołnierz służyć, niż tu deliberować. I obowiązki i odpowiedzialność tu większa; ale sumienie i przekonanie o potrzebie, abyśmy tu zostali, pełnić nam każe dalej naszą powinność.“

Po odejściu Rautenstraucha i Kosseckiego, resztę sesyi zajęła sprawa Wydziału wykonawczego. Nie było czasu określać kompetencji Wydziału i zakresu działania; nie było to też zapewne po myśli Lubeckiego; w braku jakiegokolwiek regulaminu, w okolicznościach tak wyjątkowych, punkt ciężkości Rządu musiał z natury rzeczy przesunąć się do Wydziału. Odezwał się wprawdzie jeden głos, jeśli nie z opozycją, to przecież z niejakimi wątpliwościami, głos Chłopickiego, który przybył na posiedzenie już po usunięciu Rautenstraucha i Kosseckiego: „Nie można dopuścić władzy, któraby silniejszą była od tej, która jej istnienie nadaje.“ Na to odparł Lubecki: „Egzekucya tylko zapadłych postanowień do tej Rady szczegółowej ma należeć.“ Przed chwilą, co prawda, w poprzedniem swem przemówieniu, (5-em z rzędu), zakreślał szerszy zakres działania Wydziałowi wykonawczemu, raz tak go

nazywając, to znowu Radą albo Komisją szczegółową. „Komisji szczegółowej Rady — mówił — należy dać moc nie tylko wykonawczą, ale i upoważnienie do wezwania członków Senatu i Izby poselskiej, dla przygotowania potrzebnych rozporządzeń.“ To też, jeśli kto tylko jaką sprawę poruszył w ciągu tej sesji, Lubecki w lot przecinał dyskusję, odsyłając wszystko do Wydziału wykonawczego. Tak Radziwiłł przemawiał za zwołaniem Senatu, poparł go Kochanowski słuszną uwagą, że „Senat może być zawsze przez prezesa zwołany.“ I ten wniosek, i sprawę „raportu do króla,“ i mianowanie dwóch zastępców ministrów—wszystko odesłano do Wydziału. Jedno wreszcie, i to bardzo ważne postanowienie, wykonano w ciągu tego samego posiedzenia; Chłopicki przywołał pułkownika Skrzyneckiego i rozkazał mu przyprowadzić do stolicy 8-my pułk piechoty. Był to początek koncentracji wojska w Warszawie w myśl wniosku Lubeckiego, koncentracji, która później tyle się przyczyniła do utwierdzenia powstania. Było jednak coś więcej jeszcze w rozkazie Chłopickiego. Wczoraj, po długim — jak wiadomo — wahaniu, Chłopicki objął komendę nad wojskiem w Warszawie się znajdującem. Na pamiętnym posiedzeniu 1-go grudnia, gdy Chłopicki wszedł do sali, Lubecki — według słów protokołu — „powtarza, że Rada mniema, iż on z polecenia Rządu wojsko sprowadzić tu winien, i aby generał Chłopicki dowództwo już nie wojska stolicy, ale całego wojska polskiego objął.“ I motywuje to w sposób znamienny: „My zobowiązani królowi zdać sprawę“ (t. z. odpowiedzialni jesteśmy wobec króla), „jeżeli energicznych nie przedsięwziemy kroków: półśrodki jątrzą tylko.“ W protokule niema ani śladu jakiegokolwiek uchwały lub dyskusji w przedmiocie tak wielkiej wagi; Lubecki powiedział: „Rada mniema,“ nikt nie odezwał się z opozycją, a Chłopicki przystąpił bezzwłocznie do wykonania tak powziętej uchwały.

Największa niespodzianka i najdonioślejsza w swych skutkach, zaszła pod koniec posiedzenia w sprawie wyboru członków do Wydziału wykonawczego. Gdy Lubecki poruszył pierwszą myśl utworzenia tego Wydziału, nie wiadomo, co mówił o jego składzie i czy wogóle dotykał tej ważnej kwestyi; przerwał, co prawda, swe przemówienie, gdy wszedł Sierawski. W ciągu dalszej dyskusji mówiono później o Wydziale wykonawczym w ścisłym znaczeniu tego słowa, o szczupłej liczbie członków; Mostowski trzech proponował. Naraz odezwał się Lubecki: „Trzeba jeszcze wymienić osoby z Senatu, z Izby poselskiej i inne, które do Rady szczegółowej mają należeć.“ Z Izby poselskiej... A zatem

reprezentanci Izby nie mieli należeć do Rady, ale wpuszczono ich do Wydziału wykonawczego. Rzecz to nowa i niezbyt zgodna z przestrogą, wypowiedzianą na samym początku sesyi: „Baczyć na to potrzeba, aby Rząd w miejscu rządzenia nie stał się rządzoneym.“ Opozycyi jednak nie było i pamiętne posiedzenie zakończyło się następującą uchwałą:

„Rada Administracyjna, chcąc zabezpieczyć wszystkie części służby, która z przeznaczenia swego w obecnych okolicznościach najnaglejszego wykonania potrzebuje, postanowiła nominować Wydział wykonawczy z członków grona swojego: ks. Adama Czartoryskiego, ks. Michała Radziwiłła, ks. X. Lubeckiego, kasztelana Kochanowskiego, J. Chłopickiego, tudzież z Senatu L. Dembowskiego i z posłów Joachima Lelewela, Władysława hr. Ostrowskiego i Gustawa hr. Małachowskiego. Wydział ten interesy nagłe odbywać i rozstrzygać będzie natychmiast, a odnosić się będzie do całego składu Rady w przedmiotach, któreby nowych potrzebowały przepisów, lub nagłej (nie) wymagały decyzyi.“

Co Lubeckiego skłoniło do takiego *salto mortale*, od wniosku w sprawie Wydziału wykonawczego, który miał swym składem dawać wszelkie rękojmie sprężystości i lojalności, do utworzenia ciężkiego ciała, złożonego z dziewięciu członków, a z tak różnorodnych żywiołów; od przestróg przed przybraniem nowych członków w skład Rządu, do przekształcenia projektowanej komisji wykonawczej na *nowy Rząd*, składający się niemal w połowie z przedstawicieli sejmowej opozycyi?

Gdy kto opiera wyłącznie na protokółach urzędowych historję jakiegokolwiek zgromadzenia czy ciała zbiorowego, musi z góry pożegnać się z nadzieją przedstawienia pełnego i prawdziwego obrazu najważniejszych wydarzeń. Kto brał udział w życiu publicznem, wie dobrze z doświadczenia, że fakty najdonioślejsze, decydujące, nie pozostawiają najczęściej żadnego śladu w protokółach urzędowych, toną tylekroć w cichych szeptach pod ścianą sali obrad, gdzie tymczasem toczą się błahe nieraz i nużące rozprawy; rzadko nawet te fakty decydujące dochodzą do świadomości uczestników zebrania, którzy biorą następnie udział w głosowaniu i przypisują sobie naiwnie czynne współdziałanie w powzięciu jakiejś ważnej uchwały. Co było, na posiedzeniu Rady 1-go grudnia, tą ukrytą sprężyną, która pierwotny wniosek Lubeckiego przekształciła w uchwałę tak zupełnie odmienną, i to za zgodą, z czynną pomocą samego wnioskodawcy — to pozostanie chyba zawsze tylko polem domysłów. Być może, że raport Sierawskiego nie pozostał bez wpływu na Ministra, który — bądź co

bydź — o włos był tylko oddalony od losu Rautenstraucha i Kosseckiego; już „lud“ szturmował do gmachu bankowego; oprzeć się w tej chwili żądaniu posłów, reprezentantów ludu — było nie tylko niebezpiecznie, ale może istotnie niepolitycznie. Domagając się ustąpienia Rautenstraucha i Kosseckiego, „lud“ popierał tylko jedno z poselskich żądań, w moment po zjawieniu się Delegacji; łatwo było domyśleć się, i słusznie, że jedna ręka kierowała i garstką posłów na Zamku i „ludem“ stojącym za tą garstką. Lud ująłby się tem pewniej za posłami, gdyby im odmówiono miejsca w Rządzie, którego się domagali; w takim razie dalszy opór prowadziłby koniecznie do abdykacyi Rządu, do ustąpienia steru tej garstce posłów, która się zebrała na Zamku; o represyi nie było mowy.

Temu należało zapobiedz; w tak trudnem położeniu, los ojczyzny złożony w rękę piętnastu doktrynerów pod wodzą Lelewela — to była najoczywistsza zguba. Na to bezwarunkowo zgadzali się Lubecki i Czartoryski, choć podobno nie było między nimi w tej chwili już tej samej zgodności zapatrywania na sytuację, co przedwczoraj, przy spotkaniu w pałacu Branickich. Czartoryskiemu coraz bardziej przykrzyła się już fikcja Rady Administracyjnej, z dawnymi członkami Rady, niewiedzącymi, co począć w odnówzonej bezprawnie władzy, z ciężkiem zaiste i paraliżującym dobrodziejstwem inwentarza, przejętem po dawnej Radzie, z jej powszechnem w opinii zohydzeniem. Gdyby jeszcze teraz przybrać nowych członków do Rady, fikcja stałaby się po prostu farsą; członkowie z nominacyi królewskiej, po ustąpieniu dwóch generałów, utonęliby już zupełnie wśród wprost przeciwnych a nielegalnie przybranych elementów. Lepiej stanąć otwarcie na gruncie rzeczywistości; niech Rada Administracyjna ustąpi miejsca nowej władzy, której skład będzie dostateczną rękojmią i dla opinii i dla dobra narodu. Z dawnego Rządu musiałby wejść do nowego Lubecki; mógłby w nim pozostać wreszcie Mostowski lub Sobolewski. Z nich, z członków, którzy weszli w skład Rady 29-go listopada, i z kilku przedstawicieli Izby poselskiej utworzyłby się „Rząd Królestwa Polskiego,“ któryby mógł stanąć na wysokości zadania i wyprowadzić to Królestwo z groźnego przesilenia.

Lubecki natomiast pragnął utrzymać fikcję Rady Administracyjnej, jako legalnego Rządu, działającego „w imieniu króla;“ pragnął za każdą cenę, póki było możliwe. Zrozumiałe to najzupełniej z jego stanowiska politycznego. To też uchwała, którą zakończyło się posiedzenie Rady 1-go grudnia, ma wszelkie cechy kompromisu między stanowiskiem księcia Adama i Lubeckiego.

W gruncie rzeczy Wydział wykonawczy był istotnie nowym Rządem pod niewinną pozornie nazwą, która jednak, co najmniej, ratowała pozory „działania w imieniu króla“ i wobec króla usprawiedliwiała poniekąd legalność nowej władzy. Tak też, i słusznie, pojęto tę rzecz w Petersburgu. Według komunikatu rządowego, umieszczonego w *St.-Petersburgskich Wiedomościach*, Rada Administracyjna Królestwa przestała istnieć 1-go grudnia; Lubecki, przeczytawszy w Petersburgu ten komunikat, wystosował obszerne pismo do adjutanta cesarza Mikołaja, w którym starał się zbić to mniemanie i dowodził dalszego istnienia Rady po utworzeniu t. z. Wydziału wykonawczego.

„Faworyt Mikołaja“ — tak nazywano Lubeckiego w Warszawie — nie spostrzegł się, jak został nietylko członkiem, ale i twórcą Rządu, stojącego na czele rewolucyi. Spostrzegł się czy nie spostrzegł, to pewna, że w sumieniu był zupełnie spokojny. Zawsze zadowolony z siebie, nie chwiał się w przekonaniu, że to wszystko uczynił w imię przysięgi, którą złożył swemu królowi i której był zdecydowany pozostać wiernym. Sądził, że temu służy królowi, jeśli wciąga do Rządu żywioły rewolucyjne, które inaczej powiodłyby rewolucyę na tem niebezpieczniejszą drogę, groźną dla króla i dla Królestwa. Wiara w samego siebie, dotąd nigdy nie zawadzająca i powodzeniem rozzuchwalona, dawała mu otuchę, że on potrafi te żywioły okiełznać, poprowadzić, gdzie zechce. Jeśli się mylił, był u nas jednym z pierwszych, a raczej chyba pierwszym, na szerokiej drodze takich omyłek. U niego jednak miała ta omyłka znamioną, typową cechę, rodzicielki całego typu licznie później rozmnożonych omyłek, charakterystycznych i zrozumiałych w wyjątkowym położeniu narodu. „Lubecki przybieranie nowych popularnych osób do składu starego Rządu nazywał *rewolucjonizowaniem* władzy; Rada Administracyjna, mówił, rewolucjonizuje się przez to.“ Tak pisze o nim Mochnacki, który te słowa słyszał niezawodnie z własnych ust Lubeckiego. Myli się jednak, biorąc je za obłudę, za manewr dla osłonięcia celów „kontrewolucyi.“ Lubecki szczerze chciał *rewolucjonizować* Radę, chciał nawet samego króla *rewolucjonizować*, w znaczeniu, które przywiązywał do tego słowa, przez siebie ukutego. Rewolucyę potępiał i brzydził się nią z zasady, w Hiszpanii, czy we Włoszech, w Paryżu czy w Brukseli, a tembardziej w Polsce. Ale żywe były w nim zawsze te same aspiracye, na których gruncie zrodziło się listopadowe powstanie. Tym aspiracyom otworzyć przystęp do lęklivej i ospalej Rady i przez nią, a raczej przez Lubeckiego, utorować im drogę do Mikołaja: to znaczyło w poję-

ciu Lubeckiego, *rewolucjonizować* Rząd Jego Królewskiej Mości, jedyny w tem położeniu — tak rozumiał — obowiązek Ministra i obywatela, a człowieka z głową i z sercem.

V

Układy z Wielkim Księciem.

W mieście wrzało; za rogatekami biedował W. Ks. Konstanty; w Banku Rząd obradował, to Rada, to nowy Wydział. Tak było od rana do późnej nocy.

„Raz po raz przychodziły do Rządu deputacje: od miasta, od wojska, od klubu, od szkół... Na czele zbrojnego tłumu, rozlukanego mowami, stawali na schodach pałacu rządowego zapaleńcy. Po wielokroć przełamawszy wartę, lud wdarł się aż na górę, gdzie powstrzymać go zaledwie zdołało kilku ludzi, posiadających zaufanie powszechne. Niemcewicz powielekroć przemawiał do tłumu, bądź na schodach, bądź z ganku. Powiadał, że wiek, odejmując mu możność służenia krajowi, nadał mu prawo mówienia współrodakom prawdy, choćby surowej. Rząd dawał posłuchanie deputacyom, nawet i pojedynczym osobom, wybranym z publiczności, niespokojnej o przyszłość. W samejże sali posiedzeń Rady kilku opętanców uniosło się aż do pogroźek sztyletami i pistoletami. Jenerał Chłopicki postawą i znaną tęgością charakteru, hamował zapalczywych. Obecność jego wiele razy przyczyniła się do przywrócenia porządku i oczyszczenia sali Rządu.“

Opis to naocznego świadka, młodego Zamoyskiego, który całe dnie spędzał w gmachu Bankowym lub o ścianę, w pomieszkaniu Lubeckich, a dopiero pod osłoną wieczora przekradał się do kwatery W. Księcia, by nazajutrz przed świtem znów powrócić do Banku. W dzień niebezpiecznie było z adjutancką kitką u kapelusza przejeżdżać przez ulice Warszawy. „Mnie“—opowiada—„od pierwszego dnia, z obawy, by mnie kitka na kapeluszu nie nabawiła nieszczęścia, księżna Lubecka, żona ministra, przypięła łaskawie dużą białą wstążkę... Wszyscy mieli kokardy, ale te kokardy były trojakiego rodzaju. Większość miała białą starodawną. Trójkolorowa świadczyła, że niepodległość i narodowość nie jedne były na celu u niektórych twórców ruchu, oznaczała dążenie do zmian społecznych i naśladowania Frantyi. Inni mniemając poprostu, że wypadało przyjąć kokardę odmienną od

tej, jaką nosiliśmy za Rządu poprzedniego, do białej kokardy dodali obwódkę czerwoną...”

Niemniej jaskrawy opis pozostawił jeden z członków nowej władzy rządowej:

„Narady Wydziału wykonawczego odbywały się w Banku, przy tłumie spektatorów, całą salę napełniających. Nie można mieć wyobrażenia o tem, co się działo przez resztę dnia (1-go grudnia) i część nocy w miejscu posiedzeń najwyższej władzy. Owi widzowie, którzy napełniali salę, ciągle mieszały się do dyskusji w sposób prędzej rozkazujący, jak doradzający. Ustawicznie słyszeliśmy głosy: „Czego Państwo próżnują,“ „Dlaczego nic nie robią“ i t. p. Zniecierpliwiony ks. Radziwiłł rzekł na jedną z podobnych interpelacyj: „Jeżeli Pan chcesz ze mną się kłócić, to proszę na ulicę, a zobaczymy, kto ma silniejsze pięście.“ Obok tego zgłębku nieustannie przybywały rozmaite deputacje... każda z nich zanosila żądania, czasem zupełnie między sobą sprzeczne... Niektóre z tych deputacyj wyrażały się z umiarkowaniem, inne z groźbami, posunięciem do tego stopnia, iż nalegano, ażeby żądaniom zadosyć uczynili, bo w przeciwnym razie przez okna nas powyrzucają. Aczkolwiek batalion piechoty trzymał wartę na dole, lecz ten nie słuchał rozkazów Rządu i mimo, że kilka razy udawano się do dowódcy, ażeby rozstawił warty przy schodach i wejściach do sal i nie dozwolił tłumowi wciskać się do pokojów obrad rządowych, dowódca był głuchym na to wezwanie, mówiąc, że ma rozkaz pilnowania Banku, a nie rozstawiania wart honorowych dla Rządu... Tego dnia siedzieliśmy, wprawdzie nie wszyscy, aż do trzeciej w nocy w Banku... Nazajutrz równy zgłębek panował w salach obrad, jak dnia poprzedniego... Znowu siedzieliśmy do godziny trzeciej w nocy. Był to już drugi dzień, w którym, prócz wypitej zrana filiżanki kawy od 48 godzin nic nie jadłem i nie spałem i do tego stopnia znużenia doznałem, iż musiałem poprosić ks. Lubeckiego, ażeby mi kazał przynieść szklankę wina i kawałek chleba...”

Tak opisuje rozkosze władzy kasztelan Dembowski, z przywódcy wczorajszej deputacji poselskiej nowy członek Rządu. *Tu l'as voulu*, mógł mu słusznie powiedzieć dzisiejszy kolega w Rządzie, a dawny członek Rady Administracyjnej; początek zrobiła deputacja garstki posłów zgromadzonych na Zamku, za tym przykładem poszły inne deputacje. Nie dziwnego, że tak dorywcze, tak nieporządne są urzędowe protokoły tych posiedzeń Rady i Wydziału wykonawczego; raczej można się dziwić, że Krysiński i tak potrafił protokółować, wśród tego zgłębku, takich scen

i awantur. Co zaś zwłaszcza widoczne z tych protokołów, to to, że w praktyce nie rozróżniano pomiędzy Radą a Wydziałem; na posiedzeniu Wydziału są obecni członkowie Rady, nie wybrani do Wydziału wykonawczego, na posiedzeniach Rady znów najczęściej głos zabierają Dembowski, Lelewel, Małachowski, po Lubeckim, rozumie się, który najczęściej mówi na każdym posiedzeniu Walenty Sobolewski, przewodniczący z nominacji królewskiej, rzadko się pokazywał; po wyborze Wydziału wykonawczego uwięziła go w domu — podagra i lojalność. Najwięcej Czartoryski przewodniczył na posiedzeniach.

Ciekawe są przemówienia, któremi Lubecki wyjaśniał swe stanowisko na pierwszym zaraz posiedzeniu Wydziału wykonawczego, gdy po raz pierwszy zajęli w Rządzie miejsca nowo przybrani członkowie z Sejmu. „Jest brat królewski, który ma wojsko rosyjskie i polskie. Jest Rząd w imieniu króla; żeby nie my, Rządu tegoby nie było; żeby nie my, byłyby już wojna między temi dwiema władzami“. Lelewelowi, który wraz z Dembowskim podnosi sprawę przyłączenia Litwy i Rusi, odpowiada Lubecki: „Do króla trzeba napisać, że my dostrzegamy, iż są takie życzenia, ale nie że to nasze myśli. Gdyby wszyscy tak czuli, jak p. Lelewel, wartoby nawet czwartą część ludności ryzykować“—a zatem w wojnie — „ale szanse zbyt niepewne, a i to, co mamy, stracić możemy... Wojsko, które zostało“—t. j. to wojsko, które nie stoi w Wierzbnie przy Konstantym—„logicznie biorąc, nie jest rewolucyjne, bo rzucono hasło, że Moskale chcą wyrzynać; stanęło więc wojsko w obronie. Że tylko dla tego, dowód stąd, że samo nie wiedziało co czynić... Uczucia p. Lelewela nie są uczuciami wszystkich. Słuchają nas, bo w imieniu króla działamy; mało kto bez tegoby nas słuchał.“ Takie miał, jeszcze wieczorem 1-go grudnia, przekonanie o słabości powstania. Nie powątpiewał nawet o lojalności stolicy, po za garstką zapaleńców i pijanego motłochu; „gdyby nie pijaństwo“, mówił w obecności Lelewela i towarzyszy, „nie mielibyśmy ani jednej godziny niebezpieczeństwa.“ Mówił to mimo awantur, jakie działy się w obliczu Rządu, tem bardziej nie wierzył w rewolucyjne usposobienie kraju, nie myślał, żeby hasło powstania znalazło przyjazny grunt w województwach Królestwa. Tak mówił i tak myślał: to pewne. Ale już wówczas bywały chwile, gdzie zaczynał chwiać się w swojej opinii; może się myli, może przecież kraj pójdzie za hasłem ruchu. Tego samego wieczora, raz się odezwał; „My działamy w imieniu króla; zarzucano nam to, ale będziemy tak robić; *jeżeli nam się nie uda*, nie będziemy wojny wypowiadać, tylko ustąpimy z miejsc naszych“.

Czy się uda? Póki była jakakolwiek nadzieja: *trzeba być na swoim miejscu*; Lubecki trwał w tej męskiej zasadzie, w imię której przed dwoma dniami rozpoczął śmiałą, niebezpieczną grę. Dla celu, który zawsze miał przed oczyma, nie krępował się ściśle obserwowaniem formy; i w spokojniejszych czasach nie miał tego w zwyczaju. Można było jaką drobnostką zjednać Rządowi przychyłność, zaufanie „ulicy:“ i owszem, mniejsza o formalną legalność. Domagano się usunięcia Starnalskiego, znieawidzonego powszechnie urzędnika, prezesa Komisji wojewódzkiej w Podlaskiem; Dembowski był echem tych żądań w Radzie. „Dać mu zaraz dymisyę“ — odezwał się bez wahania Lubecki; napróżno sprzeciwiał się Prezes Rady, Walenty Sobolewski: „Nie można, bo to do króla...;“ w protokóle zapisano: „Rada Administracyjna, z powodu odebranych doniesień o czynnościach Starnalskiego, zaburzeniom powód dających, zawiesza go w urzędzie prezesa Komisji województwa Podlaskiego i urządzenie tymczasowego zastępstwa jego, ministrowi spraw wewnętrznych porucza.“

Pierwsze posiedzenie Wydziału, wieczorem 1-go grudnia, całe niemal zajęte było sprawą deputacyi do Konstantego. Zamoyski dał znać Rządowi, że W. Książę chętnie przyjąłby jego członków i wszedłby w porozumienie. Na zawezwanie Czartoryskiego, żeby adjutant powtórzył słowa W. Księcia, rzekł Zamoyski:

— W. Książę kazał mi oświadczyć, że jest przyjacielem Rady i Rządu, który działa w imieniu króla. Z tego, co mówił, zdawało się, że się, spodziewa, iż Rząd przystąpi z nim do negocjacyj; że położenie jego przykre i długo wytrwać w niem nie może; że głodno i chłodno.

Cały Wydział zgadzał się na negocjacje z Konstantym; jeden tylko Radziwiłł odzywał się z wątpliwościami. Postanowiono jednak w tak ważnej sprawie odwołać się do Rady w komplecie, adjutanta zaś odprawiono z oświadczeniem, w którym Lubecki streścił poprzednią w tym przedmiocie dyskusyę, a raczej ściśle biorąc, wyraził swoją własną opinię.

W tej dyskusyi Leon Dembowski rozwinął odrazu obszerny program. Kasztelan po raz pierwszy zasiadał w Rządzie i pierwszy raz głos w nim zabierał. Oto krótka treść tego rozległego programu, według zapisek protokółu: „Nawet i w dzisiejszym stanie fermentacyi, zdaje się, że gdyby warunki polityczne przyrzekł W. Książę wyjednać, zgodziliby się wszyscy. Warunki te są: 1) żeby wojsko rosyjskie z za granicy Królestwa nie otrzymywało rozkazów do marszu; 2) żeby W. Książę obrał sobie środki bądź do wyjścia z Polski, bądź do udania się do jakiej jej

części; 3) niejasności w Konstytucyi uprzątnąć; wyszczególnić ich nie będę, niech Izby o tem postanowią; 4) korzyści Konstytucyi rozciągnąć do gubernij „rosyjskich,” t. j. polskich gubernij Cesarstwa, czyli innemi słowy, połączyć Ruś i Litwę z Królestwem.

Dembowskiego poparł energicznie Lelewel, głównie co do Litwy i Rusi; w ciągu dalszej jednak dyskusyi, po ostrzegających wyrazach Czartoryskiego i Gustawa Małachowskiego, i Lelewel nawet oświadczył: „Moglibyśmy ograniczyć działanie na obręb tylko kraju (t. j. Królestwa), jeżeli W. Książę zaręczy za amnestyę, że nie będzie szpiegostwa, że dawne szpiegi nie pokażą się już w kraju, że cenzury nie będzie i t. p.“ Czartoryski odwodził od żądań, do których poparcia nie było siły: „Idzie o to, czy jest podobieństwo to otrzymać i teraz otrzymać, kiedy nie mamy ani zasobów, ani siły. Byłoby to odstręczać (od rokowań co do możliwych ustępstw). Walka między nami a Rosyą nader nierówna; słaby więc winien starać się siły pokrzepić i nie puszczać się nieostrożnie na bój, w którym uledez może i musi.“

Lubecki długo milczał, wbrew swemu zwyczajowi; dyskusya, w jego oczach, przybierała drażliwy już charakter, zwłaszcza w obecności Maxymiliana Fredry, do którego Książę-Minister nie miał widocznie żadnego zaufania: swobodniej też zaczął dopiero mówić, gdy Fredro się oddalił na znak Czartoryskiego. Co do pierwszego punktu, stwierdził jasno, że nie można o to rokować z cesarzewiczem: w sprawie wkroczenia rosyjskich wojsk do Królestwa nie może on przyjąć żadnego zobowiązania; gdyby nawet przyrzekł, dotrzymanie nie od niego zależy“. O Konstytucję, o Litwę — nie z Konstanytem także prowadzić negocyacje; i Dembowski sam przyznał w ciągu dyskusyi, że te dwa punkta poruszyć należy raczej w raporcie do Mikołaja, Lubecki zaś co do formy jedynie się zastrzegał, w jaką trzeba było przyoblec te żądania. Usunął zatem z programu Dembowskiego trzy punkty; pozostał jeden, najpraktyczniejszy: co Konstanyt ma począć, z swoją osobą i z wojskiem rosyjskiem, które przy niem się znajdowało. Uznał to sam Dembowski, jak w protokóle wyraźnie zapisano, mówiąc: „Co do 1-go — zbyteczne; co do 3-go i 4-go, ponieważ do króla raport, więc teraz także zbyteczne; pozostaje więc tylko 2.“ Istotnie, należało rozstrzygnąć, czego żądać od Konstantego w sprawie decyzyi, co do jego własnej osoby. Lubecki jednak, zamiast oświadczyć się jasno w tej sprawie, utopił ją w swem charakterystycznym „gadulstwie,” które mu tak często nieocenione oddawało usługi; nie chciał snąć o tem decydować w takim składzie obradującego Wydziału, w obecności Lelewela i Dembow-

skiego. W ten sposób zagadał najpraktyczniejszą kwestyę i już do niej nie powrócono. Zawezwano natomiast Zamoyskiego, do którego Lubecki mówił w imieniu całego Wydziału wykonawczego, dawał mu wyjaśnienia na zapytania, interesujące W. Księcia, i oświadczył gotowość wysłania deputacyi do Wierzbna. „Niech W. Książę powie, kogo mamy przysłać; natychmiast go przysłemy. Temu powie W. Książę, czego chce, a niemożność jedynie będzie w danym razie przeszkodą (że żądań jego nie wypełnimy). Ale chcielibyśmy, aby można ogłosić *prawdę*, a prawdę *do wdzięczności dla W. Księcia zachęcającą*.“ Immieni słowy: jeżeli ma naszą deputacyą odprawić z niczem, niech lepiej nie nalega, żebyśmy ją wysłali. Przy tem, mówiąc do Zamoyskiego, Lubecki nie szczędził jaskrawych barw w przedstawieniu groźnego położenia w jakim Rząd się znajdował. Należało przygotować W. Księcia, wprawić go w odpowiedni do rokowań nastrój: niech nie myśli, że Rząd królewski, dlatego, że jest wierny królowi, da się zbyć lada czem; chociażby chciał, nie może, bo sam w przymusowem znajduje się położeniu. „My w niepewności, w której jesteśmy, nie wiedząc, czy noc przeżyjemy, jednak z narażeniem się osób naszych, zgadzamy się na porozumienie z W. Księciem. Jemu zimno i głodno, nam gorzej. On ma wojsko posłuszne, my za godzinę posłuszeństwa nie możemy zaręczyć.“

Zamoyski zrozumiał doskonale myśl Lubeckiego. Nazajutrz rano, zdając sprawę z raportu, który złożył W. Księciu, nie zapomniał o jednym szczególe: „Mówiłem, że był dobyt puginął w tej sali,“ dla zastraszenia Rządu.

Cóż miało jednak — według słów Lubeckiego — „zachęcić do wdzięczności“ względem Wielkiego Księcia? Lubecki, uchylając po kolei wszystkie punkta programu Dembowskiego, wysunął na pierwszy plan dwie rzeczy, o których gorący kasztelan nie wspominał; niech Konstancy przyobieca amnestyę, i to amnestyę bezwzględną, bezwarunkową; niechaj odeśle polskie wojsko, które przy nim zostało. Jedno i drugie *mógł* cesarzewicz uczynić; gdyby przyrzekł, jak najrozleglejszą amnestyę, z tem przyrzeczeniem musiałby się liczyć bezwarunkowo cesarz, choćby się na to krzywił. Amnestya zaś, ale właśnie i jedynie amnestya bez jakichkolwiek zastrzeżeń i wyjątków — to, zdaniem Lubeckiego, był jedyny i niezawodny środek do uśmierzenia ruchu, pewny, bezpieczny pomost, na którym powróciłoby wszystko do normalnych stosunków; główne bowiem źródło fermentacyi umysłów widział zawsze jeszcze w obawie odpowiedzialności za wypadki „nocy Belwederskiej.“ Odesłaniem polskiego wojska mógł zaś Konstancy

również narazić się na niezadowolenie cesarza; niezawodnie, w tem jednak znikąd nie doznałby przeszkody; była to rzecz nieodzowna, nietylko dla uspokojenia umysłów, dla zapobieżenia powtórnemu „buntowi“ polskich oddziałów, o których było wiadomem, że już długo nie wytrzymają w coraz wstrętniejszej im „wierności.“ Jeżeli zechcą oddalić się samowolnie, nawet wylekły Konstanty nie będzie chyba bezczynnie spoglądać na taki „bunt“ przed własnymi oczyma; rosyjskie pułki staną przeciw polskim, a w Warszawie atak na obóz mokotowski był przecież ciągle celem trudnej do powściągnięcia pożądlivości uzbrojonego ludu i żołnierza. I po za tem jednak, po za nieodzownym środkiem zażegnania bezpośredniego niebezpieczeństwa, odesłanie polskich wojsk, *w porę*, miało w oczach Księcia Ministra nieobliczoną wartość. Jedno tylko mogło dać siłę „królewskiemu“ Rządowi: wojsko, polskie wojsko, karne i posłuszne rozkazom popularnego wodza. W tym celu postanowiono ściągnąć pobliskie pułki, w tym celu oddano Chłopickiemu komendę nad całym wojskiem. Nie darmo jednak W. Książę, gdy mu adjutant doniósł o tem postanowieniu, zaśmiał się i powiedział: *Et moi?* I miał najzupełniejszą słuszność; temi dwoma słowami trafnie ogarnął sytuację. Wierny królowi Rząd, „działający w imieniu króla,“ odbiera naczelną komendę królewskiemu bratu, wodzowi, przez dwóch z kolei królów na tem stanowisku utrzymanemu; mimo to Rząd królewski i brat królewski prześcigają się w przyjaznych oświadczeniach, Rząd w stwierdzeniu swej lojalności, W. Książę w zapewnieniach sympatii i uznania dla Rządu. Zakrawało to istotnie na farsę, choć nią nie było: na farsę, niebezpieczną zarówno w stosunku do rządu, jak i do króla: tu podkopywało—i nie dziw — zaufanie do Rządu; tam usuwało niemal możliwość rozpoczęcia jakichkolwiek rokowań. Lubecki był przekonany: niech Konstanty uwolni polskie wojsko, niech je milcząco odda pod Chłopickiego komendę, a sytuacja wyjaśni się od razu, u góry i u dołu: między narodem a tronem — inaczej już być nie mogło—stanie Rząd silny, zdolny sprostać ciężkim zadaniom, uratować w pożarze rewolucyi — i tron i naród.

Amnestya i uwolnienie wojska—to były zatem w jego oczach dwa postulaty, nie na dziś tylko i jutro obmyślane. W najważniejszej chwili swojego życia, Lubecki pamiętał o przyszłości. O konstytucyę, o jej ubezpieczenie i ulepszenie, nie było co traktować z Konstantym; w tym przedmiocie, jak w sprawie wkroczenia rosyjskiej armii, żadne nawet zobowiązanie W. Księcia nie miałyby najmniejszej wartości. *Co innego* amnestya; w tak zasa-

dnicznych jednak przedmiotach, Mikołaj nie mógłby się powodo-
wać względami delikatności wobec starszego brata, którego lojal-
ności czy lekliwości zawdzięczał tron. Przeciwnie, jakiegokolwiek
wyraźne zobowiązania ze strony W. Księcia mogłyby raczej utru-
dnić rokowania, bo cesarz musiałby stać na straży swej królew-
skiej powagi. Można było jednak i należało wymóżyć na W. Księ-
ciu współdziałanie z wiernym królowi Rządem, w sprawie rękoi-
mi i ulepszenia urzędzeń konstytucyjnych, w myśl tego samego
rozległego programu, nad którego spełnieniem Lubecki pracował
od lat czterech. On znał grunt petersburski, wiedział co powtar-
zała tylekroć cesarzowa matka w krwawym dniu 14-go grudnia
1825 roku: *Qu'est ce que l'Europe en dira?* w Europie wywarłoby
to z pewnością niemały efekt, gdyby W. Ks. Konstanty poparł
jawnie i głośno żądania polskiego narodu, nie występując zgoła
z granicy wiernopoddańczych obowiązków względem starszego
brata, któremu przed paru laty ustąpił tronu; w ręku Rządu, sto-
jącego między krajem a królem, jawne wobec całego świata orę-
downictwo cesarzewicza, miało wartość atuta nieobliczonej wagi.

Jawne i głośne orędownictwo: inaczej choćby i najgorętsze
nawet współdziałanie W. Księcia traciło wszelką wartość, bo Mi-
kołaj ani nie miał wiary w rozum starszego brata, ani serca nie
miał do niego. Dla tego też kamieniem węgielnym całego tego
planu było i być musiało: pozostanie W. Ks. Konstantego w War-
szawie, przedewszystkiem powrót jego do opuszczonej stolicy
z wszelkimi honorami, następnie zaś beczynny — ile możności —
pobyć w Belwederze, choćby z dawnymi rewiami na Saskim placu,
ale z pozostawianiem rzeczywistej komendy w rękach Chłopickie-
go. Im lepszego doznałby W. Książę przyjęcia w powrocie do
Warszawy, im więcej rozgłosu nabrałoby następnie jego orędo-
wnictwo wobec „Europy,“ tem lepsze i pewniejsze widoki otwar-
łyby się przed deputacją do Petersburga; dopóki W. Książę skar-
żył się w Wierzbnie na głód i zimno, nie było z czem i po co wy-
syłać tej deputacji, choć wszelka dalsza zwłoka z raportem do
Mikołaja stawiała się z każdą chwilą coraz bardziej rażąca.

*

*

*

Nazajutrz rano, 2-go grudnia, zebrała się Rada na pełnem posiedzeniu. Zamoyski przybył już z oficjalnem oświadczeniem W. Księcia, że chętnie przyjmie deputacyę Rządu; wszystko, co mówił, rokowało pomyślny skutek zabiegów Lubeckiego: W. Książę był tak dobrze usposobiony, że nawet „pochwalił wybory do Rady i do Wydziału,“ t. j. wczorajsze przybranie nowych członków. Adjutant ostrzegł wyraźnie W. Księcia, że przybycie deputacyi do Wierzbna miałooby wprost szkodliwe dla sprawy następstwa, jeźliby rokowania nie odniosły pożądanego skutku. Natomiast zapewniał Konstantego, „że jeźli będzie mediatorem między narodem a królem, może wjechać dziś do stolicy i znajdzie posłuszeństwo.“ Lubecki nie mógł sobie życzyć lepszego pośrednika; Zamoyski pod każdym względem starał się przygotować W. Księcia i utorować drogę działaniom deputacyi; uspokajał go wprawdzie, że niema mowy o zerwaniu z Rosją, uprzedzał jednak zarazem, „że idzie o wykonanie konstytucyi i że niektórzy pragnęli otrzymać połączenie Litwy.“ Jeźli nawet ta ostatnia wiadomość nie wstrzymywała Konstantego od przyjęcia deputacyi „wiernego królowi“ Rządu, nie było co dłużej zastanawiać się nad jej wysłaniem. Lubecki zabrał głos po Zamoyskim, streścił przebieg wczorajszych obrad Wydziału wykonawczego i zakończył następującym wnioskiem: „Poślijmy delegowanych: dawna Rada jednego; przybrani jednego; członkowie Wydziału wykonawczego jednego.“

Mostowski zaproponował Lubeckiego i Lelewela. „Prosimy o Czartoryskiego“ — zawołał na to pewny siebie Książę-Minister, uważając swój wybór za rzecz bezwarunkowo konieczną i niewątpliwą. Niespodzianie jednak odezwał się głos protestu: „Lubecki nie może jechać“ — rzekł kasztelan Dembowski — „*są głosy nieufności*; nie mogą zawsze też same osoby jechać.“ Żywo ujęli się za kolegą Mostowski i Czartoryski, czyniąc z jego wyboru kwestyę gabinetową; jeźli Lubecki nie pojedzie do Wierzbna, oni ustąpią z Rady; „nikt W. Księciu tyle nie powie, co Lubecki,“ zapewniał książę Adam.

Był to moment krytyczny; bez jego udziału w Deputacyi, zwicnięty był cały plan działania, znany zapewne Czartoryskiemu i Mostowskiemu. Nim przystąpiono do głosowania, Lubecki jeszcze raz się odezwał i wypowiedział w całym tego słowa znaczeniu mowę kandydacką. Oto jej krótka treść: „Jeźli nie otrzymamy żądań naszych od W. Księcia, ja występuję z Rady; nie będziemy mówić: my żądamy, ale traktujemy; *nous sommes l'écho de la nation*; słuchaj nas i tak pisz do króla, jak my mówimy.“

Po krótkiej dyskusyi wybrano Deputacyę. Przemogła w tej chwili jeszcze powaga Czartoryskiego; ten i ów, w tajnem głosowaniu, poszedłby bez wahania za zdaniem Dembowskiego, otwarcie nikt nie odważał się wtórować czerwonemu kasztelanowi. Do trzech zatem proponowanych dobrano Ostrowskiego; przedstawił go Lelewel, sam niby gotów mu swojego miejsca ustąpić. Był to więc pewien rodzaj cichego kompromisu; niechaj wreszcie jedzie Lubecki, ale pod kontrolą aż dwóch przybranych członków Wydziału wykonawczego. Na Lelewela z góry była już chyba zgoda, skoro sam Mostowski go proponował; jego firma mogła skutecznie osłonić Deputacyę w tej niepopularnej wyprawie. I Lelewel jednak i Władysław Ostrowski—to istotnie za wiele, jak na cel Deputacyi.

Wobec całego przebiegu posiedzenia, Lubecki mógł być zresztą zadowolonym, że na tem się skończyło. Inna bowiem zupełnie była teraz temperatura, niżli wczoraj wieczorem. Radziwiłł, co prawda, i wczoraj nie bardzo się zapalał do Deputacyi; dziś, mimo wyraźnego już zaproszenia ze strony Konstantego, wprost sprzeciwiał się tej wyprawie do Wierzbna. „Niech oni przyszłą”—mówił—„niech przyszłą Moskala, nie Polaka; nie traćmy ufności, którą mamy.“ — „Radziwiłł nie rzecz samą potępia, ale idzie mu o to, żeby się nie narazić“ — tłumaczył książę Adam. O to, żeby się nie narazić, chodziło teraz wszystkim, oprócz jednego może, jedynie, Lubeckiego. Przybranym wczoraj członkom nie wypadało jawnie sprzeciwiać się Deputacyi, skoro jeszcze przed kilku godzinami nic jej nie mieli do zarzucenia, o trzeciej zrana, gdy kończyło się wieczorne posiedzenie Wydziału. Ostrowski zatem i Małachowski chcieli przynajmniej zastąpić się patryotyczną odezwą Rządu, z wyjaśnieniem pobudek i celu Deputacyi. Lelewel ułożył tę odezwę; Lubecki przemawiał przeciwko ustępowi o Litwie i o Rusi, wreszcie zgodził się na tekst Lelewela z małemi poprawkami. Wszyscy obecni podpisali tę proklamacyę, zdaje się, że i Fredro nawet podpisał, gdy nagle wszedł Chłopiński. Przeczytano mu gotową odezwę. Skrzywił się: „za wiele tu o Rosyi mowy; proklamacya ta zrobi rozruch w wojsku.“ Takiego oświadczenia przeleżeli się sami wnioskodawcy, Ostrowski, Małachowski; uchwalono zaniechać proklamacyi i bez tego uspokajającego środka czterej Delegaci wyruszyli do Wierzbna. Ogłoszono tylko obwieszczenie, że W. Książę zabronił swemu wojsku kroków nieprzyjacielskich i pragnie rozpocząć układy z Rządem; podpisali je w imieniu Rady Administracyjnej Sobolewski, przewodniczący, i Tymowski, Sekretarz.

Przerwano posiedzenie aż do powrotu Deputacyi z Wierzbna. Przed jej wyjazdem odezwało się parę głosów, żeby jeszcze w pośpiechu załatwić naglejsze sprawy. W odpowiedzi, Lubecki wyrzekł znaczące słowa: „Zawiesić do powrotu Delegacyi; pilniejsze rzeczy (bez nas) poczta uregulować. Dotąd jesteśmy w obrębie konstytucyi; czekajmy, czy będzie konieczność wystąpienia z niego.“ Miał widocznie o tem rozstrzygnąć rezultat układów z W. Księciem.

Było około czwartej popołudniu. „Tysiące ludu na placu Bankowym zebranego otoczyły i zatrzymały pojazd, a otworzywszy go, wynurzały swe uczucia, uniesienia, życzenia, przestrogi, groźby i kawał drogi przez pobliskie ulice towarzyszyły;“ tak opisuje tę jazdę Lelewel i dodaje: „towarzyszyły mu, oczekując w zupełnym umysłów obłądnie rezultatów, które musiały być żadne.“ Znakomity historyk, głośny wyznawca doktryny gminowładztwa, wiedział dobrze, co to tak podnieciło te tłumy, snujące się „w zupełnym umysłów obłądnie“ po wzburzonych ulicach miasta. Wczoraj wieczorem jeszcze wszedł był na posiedzenie Rządu wiceprezydent miasta z pomyślnem sprawozdaniem, „że spokojność wszędzie“ panuje. Podczas tego raportu odbywało się już jednak pierwsze zebranie klubu, który przybrał nazwę Towarzystwa Patryotycznego i obrał prezesem Lelewela, gdy on sam był najspokojniej obecny na posiedzeniu wieczornem Wydziału wykonawczego. „Obcesowo działać byłoby bezskutecznem, gdyż może ani jeden oddział wojska nie byłby udzielił pomocy przeciw Radzie, w której zasiadał Czartoryski, Niemcewicz, Pac, i do której był wezwany Chłopicki; zwołanie klubu było jedynym środkiem do zwrócenia uwagi ludności na cel powstania.“ To słowa Bronikowskiego, wiceprezesa, założyciela Klubu. Od rana, 2-go grudnia, Klub nie próżnował i tak pracowicie „zwracał uwagę ludności na cel powstania,“ że popołudniu droga do Wierzbna była już niebezpieczna; gdyby w powozie nie było samego prezesa Klubu, Deputacya nie byłaby zapewne dotarła do Konstantego. Widział to dobrze Lubecki i rozumiał, skąd się dziś wzięło na posiedzeniu Rady to dziwne podniesienie temperatury, tak widoczne zwłaszcza u Dembowskiego i towarzyszy, a nawet u Radziwiłła; wszak sam Fredro zamiast wysłania Deputacyi radził prosić W. Księcia, żeby raczej przysłał pruskiego konsula Schmidta dla negocyacyj z Rządem.

Obok powozu Deputacyi jechał konno Zamoyski. Zbliżając się do Wierzbna, wyprzedził wysłańców na kilka minut, aby donieść W. Księciu o przybyciu Deputacyi i uczynić go powolniej-

szym na jej żądania. W żywych kolorach wystawił niebezpieczeństwo, na jakie narazili się Deputowani, chcąc spełnić jego życzenie i dodał: „Życie ich było zagrożone, większego dowodu posłuszeństwa dla tronu dać nie mogli.“ Zamoyski dobrze ocenił słabości Konstantego, takie przedstawienie zrobiło na nim wrażenie; kazał Deputowanych natychmiast przyjąć, mówiąc: *Il ne faut pas faire attendre ces Messieurs*

W. Książę przyjął Deputację w obecności żony, która nie oddalała się z pokoju przez cały czas nużącej, pięć godzin niemal trwającej konferencji. Rozmowa toczyła się w małej karczemce, stanowiącej od dwóch dni rezydencję cesarzewicza; w ciasnej izdebce o jednym oknie; całe umeblowanie składało się z jednego łóżka, kanapki, krzesła, jednego stołka i małego stolika, „a w przestrzeni“ — mówi Lelewel — „zaledwie parę kroków uczynić było można.“ Gdy Deputacja weszła do izby, księżna Łowicka siedziała na kanapce, opodal, przy łóżku stał W. Książę; „na stoliczku leżały dwa talerze, bo to była godzina 3-cia, obiadowa“ — według Zamoyskiego piąta popołudniu.

Lubecki mówił pierwszy; „gadał długo“—według słów Lelewela. Może istotnie za długo mówił. Jeżeli jednak w obfitym potoku słów nie streścił zwięźle żądań, z którymi Deputacja przybyła: kto wie, może to i tym razem czynił nie z „gadulstwa,“ ale z rozmysłem, według ułożonego planu. Może i teraz nawet jeszcze nie chciał od razu odstąpić swych projektów, nie mogąc zgoła liczyć na poparcie Lelewela i Ostrowskiego; wołał może przygotować raczej grunt do dalszej dyskusji, z którejby się wyłoniły zasadnicze punkta jego wczorajszego projektu. Sam wreszcie z góry zapowiadał na posiedzeniu, że Deputacja stanie przed W. Księciem, jako echo życzeń narodu i będzie z nim „traktować,“ nie zaś stawiać żądania. Żądań tych zatem może z umysłu nie formułował z należytą precyzją, wyjaśniał zaś natomiast stanowisko i położenie Rządu, przyczyny i źródło wszczętego ruchu, który Rząd zniewoliły stanąć na jego czele, uprawnione życzenia, których echem Rząd się staje wobec W. Księcia, wreszcie środki zażegnania grożących niebezpieczeństw, polegające na zaspokojeniu tych uprawnionych życzeń. Dwie rzeczy — to pewne — uwydatnił z wielką precyzją: na dziś nieodzowną konieczność oddania całej armii polskiej do dyspozycji i pod rozkazy Rządu; na przyszłość równie nieodzowną potrzebę reform, któreby dały pewną i bezpieczną rękojmię przeciw dotychczasowym nadużyciom, jednemu źródłu niepokoju i wszczętej obecnie rewolucji. Czy równy na-

cisk położył na bezzwłoczne zapewnienie ogólnej i bezwarunkowej amnestyi — niewiadomo.

Tak mniej więcej można sobie odtworzyć tę mowę Lubeckiego z króciutkiej i niedokładnej wzmianki Lelewela, z pobieżnych notat protokołu spisanego na nocnem posiedzeniu Rady, na którym Deputacya zdawała Rządowi sprawę z układów z W. Księciem, wreszcie z raportu Rady do cesarza, który sam Lubecki podyktował w kilka godzin po powrocie do miasta.

„Celem tej Deputacyi“ — czytamy w raporcie do cesarza — „było: powiedzieć całą prawdę. Przedstawiła więc przedewszystkiem wiernie przebieg wypadków, których przyczynę opinia publiczna upatruje głównie w odstąpieniu od zasad uświęconych w zasadniczym pakcie (pomiędzy królem a narodem, *dans le pacte fondamental*). Następnie starano się wyjaśnić istotne położenie Rządu; pociągnięty okolicznościami, Rząd nie był w stanie nad niemi zapanować bez znaczniejszej i więcej poszanowania obudzającej siły. W tym celu Deputacya prosiła (czy żądała: *elle a demandé*), żeby J. C. Wysokość zechciał oddać do dyspozycyi Komitetu (wykonawczego) całą armię polską. Spodziewano się, że wskutek tej koncesyi mogłyby rzeczy przybrać pomyślniejszy obrót, ponieważ Rada Administracyjna, pozostając i nadal na czele ruchu (*tout en restant à la tête du mouvement*), nie miałaby trudności w obronie legalnej władzy przeciw wybujałościom fermentacyi, propagowanej w licznych już klubach, przez szerzenie niesłusznej nieufności do Rządu a za pomocą nieszczęsnej egzaltacyi. Deputacya oświadczyła zarazem, że, gdy wybuch 29-go listopada przybrał wszelkie znamiona rewolucyi, która bez żadnego wątpienia znajdzie wszelkie poparcie w województwach Królestwa: należałoby sobie życzyć, żeby Rząd pogodził interesa Monarchyi i kraju, a to przez szczere i rzeczywiste odrodzenie całej administracyi, oparte na dostatecznych rękojmiach ubezpieczających przeciw wznowieniu się wszelkich nadużyć, tej istotnej przyczyny tylu nieszczęść.“ Ostatni ustęp brzmiał w pierwotnym projekcie: *pour empêcher le retour de tous les abus, première cause de tant de maux*; złagodzone go przez skreślenie wyrazu *tous* przed *abus* i mniej stanowczą redakcyą: *abus regardés comme la cause de tant de maux*.

Tak czy tak, była to w każdym razie mowa stanowcza i śmiała, nie tyle śmiała wobec W. Księcia, który w tej izdebce o jednym oknie rzeczywiście nie wydawał się strasznym, co wobec Cesarza Mikołaja, któremu w ten sposób i to z zupełnym rozmysłem taki złożono raport o audyencyi u Konstantego.

Lubecki długo mówił, ale nie jednym ciągiem, bo mu W. Książę przerywał. Konstanty nie szczędził rekrymacyj, o „mordercze najście“ na Belweder, które z żywością przedstawiał, jako fakt znamienity, nadający całemu ruchowi właściwe piętno; o komendę oddaną Chłopickiemu, czem ubliżono jemu, jako naczelnemu wodzowi; mówił, „że nie może oddać wojska, bo ono jemu pod komendę oddane.“ — Cóż więc chcecie? ja wojska dać nie mogę, odbieracie mi komendę, którą mi król dał.“ Chwalił wierność polskiego wojska; z wyjątkiem oddziałów, które pozostały w Warszawie—cała armia słucha jego rozkazów. Mówił, że komendanci poodsyłałi mu rozkazy, wydane w imieniu Rządu, i pytają, co mają robić; „więc mnie słuchają, nie Was.“ Nie bardzo sam może wierzył w trwałość tej wierności i posłuszeństwa, fakt ten wzmacniał jednak jego pozycję wobec nalegań Deputacyi, nie dziw zatem, że się nim szczycił.

— My rozumiemy, że nas usłuchają, odparł mu spokojnie Lubecki.

— A jeżeli za dwa dni będę miał całe wojsko przy sobie?... zapytał żywo.

— To będziemy prosić, żeby je nam W. C. Wysokość wydał, a jak my będziemy działać w porozumieniu z W. C. W., to wojsko tem niezawodniej pójdzie za nami; będziemy panami położenia.

Wśród takich przerw i wywiązującej się ogólnej rozmowy, Lubecki nie mógł może na samym wstępie wypowiedzieć wszystkiego, co był sobie ułożył. Z tego powodu, zdaje się, nie zdążył uzasadnić, jak tego pragnął, niezbędnej konieczności przyrzeczenia amnestyi; nie mówił też podobno, jak był do tego obowiązany, o Litwie i o Rusi — może z rozmysłem — choćby w tej formie, jak to zapowiadał w Wydziale wykonawczym, że naród dopomina się połączenia. Wyrezył go Ostrowski, wtrącając się do rozmowy i zapewniając, że to jest właściwym „celem rewolucyi.“

„Wtem — opowiada barwnie Lelewel—zerwała się z kanapki Księżna Łowicka i przyskoczywszy do księcia Lubeckiego, patetycznie, głosem uroczystym poczęła mu wyrzucać, że on, który dotąd zupełne posiadał zaufanie króla, który był jego faworytnym ministrem (*son ministre favori*), teraz go zawodzi i opuszcza; że obowiązek⁷ powinien być jedynym działaniem celem, od którego gdy kto się oddala, wpada w miliony niepewnych cyfr“ (złośliwość wobec ministra Skarbu); „że obowiązkiem jego było Radę Administracyjną zachować, jak ją król postanowił, że wtenczas byłby Książę mocny, ale ją osłabił, przybierając osoby popularne i w re-

wolucyjną zamienił władzę. Książę Lubecki odpierał te natarczywe zarzuty tem, że Rada Administracyjna, będąc w największym niebezpieczeństwie, przez przybranie osób więźność mających w narodzie, mogła władzę królewską ocalić i stolicę od zniszczenia ochronić; że zapał posunięty jest do najwyższego stopnia i chyba tylko ciężkim krwi rozlewem mógłby być uśmierzony.“ Księżna nie dała się tem przekonać i z wzrastającą goryczą wyrzucała Księciu-Ministrowi, „że polega na osobach, które właśnie rządową moc osłabiają, a w rozczulonej żywości wskazując Lelewela, w nim słowem i gestem sprawcę poburzenia wskazywała.“ Nastąpiła ożywiona wymiana słów. Księżna zwróciła się do Lelewela i Ostrowskiego, „chwyciła ich za ręce i wystawiała im, na co kraj polski narażają. W żywych, groźną przyszłość malujących kolorach, wzywała ich wyrazami najczulszymi, aby chcieli to poburzenie uśmierzyć, bo jest przeświadczona, że to jest w ich mocy. Książę Lubecki, popierając niejako argumentowanie Księżny, utrzymywał, że Ostrowski i Lelewel mają więźność swoją i że ich powołanie do Rady Administracyjnej i postępowanie obu były jedynym środkiem działania Rady Administracyjnej zabezpieczającym, lecz że *wstrzymać rewolucyi ani oni, ani już nikt nie zdoła.*“

Taka była — rzec można — dramatyczna strona nużącej konferencji, istotnie tragicznych motywów nie pozbawiona; w niej rzeczywiście może Lelewel i Ostrowski odgrywali najczynniejszą rolę, bo Konstanty i Księżna ciekawsi byli poznać opinię rzeczywistych niż poniewolnych przywódców rewolucyi. Co do samych układów, te leniwo się wlokły, przerywane takimi drastycznymi epizodami, bo w rzeczach istotnych, zasadniczych, W. Książę do żadnych ustępstw się nie skłaniał. Omal też już raz nie przyszło do zerwania, które nie byłoby się obeszło bez doniosłych następstw: gdyby Deputacya wróciła z niczem, nie można było wątpić, że żadna siła nie wstrzymałaby teraz i tłumów ludu i wojska od ataku na Wierzbno.

Mówiono właśnie o amnestyi. W. Książę chwalił się ostatnim rozkazem dziennym, „zaręczającym amnestyę dla tych, którzy swe błędy wyznają“; po za tę linię ani na krok nie chciał się posunąć, twierdząc, „że niezmierną okazuje wyrozumiałość, gdy wszystkie jakiegokolwiek gwałtowne zdarzenia błędem nazywa.“ To naturalnie Deputacyi nie wystarczało: jednomyślnie domagała się poręczenia bezwarunkowej i ogólnej amnestyi (*oubli total*). „Po długiem wzbranianiu się, gdy zaledwie umawianie się nie zerwało, przystał nareszcie W. Książę, że *będzie pośrednikiem* do wyjednania łaskawości króla (*clémence du Roi*).“ „Wojska bezwarunkowo

nie chciał oddać Rządowi; protestował się tylko, że żadnych kroków nieprzyjacielskich nie czynił i czynić nie zamierza; gdyby zaś musiał przystąpić do ataku na miasto, obiecał „ostrzedz o tem Radę 48 godzinami wprzód.“ Co do Litwy i Rusi, „najmocniej stał przy tem, że nie może ani o to się wstawiać, ani być pośrednikiem u króla.“ Swoją drogą wyrwały mu się ciekawe słowa: *Vous seriez des gens foutres, si Vous ne le désiriez pas.* Ten frazes był jedyną zdobyczą. Lelewel innej jeszcze zapragnął i nadmienił, „że gdy w obecnej rozmowie z W. Księciem rzecz o guberniach polskich była omawianym przedmiotem, tego pewnie J. C. W. nie zaprzeczy.—A nie, odparł W. Książę.—A zatem, dodał Lelewel, pewnie też pozwoli, aby o tem przy umowie w druku wymienić. Na to W. Książę przystał i pozwolił, a nawet nie odmawiał uczynić się mającego przedstawienia do swych rąk przyjmując i królowi go złożyć.“ Ten ostatni szczegół niepewny; w każdym razie była to koncesya bez wartości, obwieszczenie zaś, że Deputacya *mówiła* z W. Księciem o Litwie, mogło być tylko — świadectwem dobrej konduity dla członków Deputacyi. Prezes Klubu rad był i z tej zdobyczy.

W szczególny istotnie sposób „traktowano“ o kwestyi najpraktyczniejszej: co Konstancy ma począć z sobą. Trudno dociec, co teraz o tem myślał Lubecki, kiedy w toku rokowań coraz bardziej przychodziło się pożegnać z nadzieją, żeby W. Książę oddał wojsko do dyspozycyi Rządu i zaręczył bezwarunkową amnestyę. Bez tego zaś—czy można było zapraszać go do Warszawy? Gdy jednak wypadło oświadczyć się w tym przedmiocie, Lubecki pozostawał przy swoim zdaniu. Jeszcze, co prawda, rzecz o amnestyi nie była wówczas zdecydowana; może myślał, że i z nią pójdzie łatwiej, i z uznaniem komendy Chłopickiego, w osobistym interesie W. Księcia, jeżeli postanowi powrócić do Belwederu. Lelewel tak opowiada oryginalne załatwienie tego przedmiotu: „W. Książę pytał, coby mogło najprędzej całe zawiechrzenie uspokoić. Ostrowski na to objawił swą myśl, że oddalenie się wojsk rosyjskich od Warszawy i ustęp ich do Rosyi, mogłyby pojątrzone umysły ułagodzić. Wtedy Księżna Łowicka i W. Książę wymówili się, że nietrudno to nastąpić może. Ale razem zaszło z ich strony pytanie, co ze swą osobą W. Książę ma uczynić? Książę Lubecki opiniował, że najlepiej uczyni, kiedy do Warszawy powróci“—jeszcze raz jednak nastawał przy tej sposobności na złożenie komendy nad polską armią. „Rozpoczęło się o to prawdziwe wotowanie. Ks. Lubecki dał głos za zostaniem. Ks. Czartoryski chciał niektóre uwagi nad tem czynić, ale mu W. Książę

przerwał, żądając odpowiedzi: tak albo nie (*Oui ou non?*). Zatem ks. Czartoryski głosował za pozostaniem. Ostrowski był za oddaleniem się z kraju, Lelewel podobnie. Tyle Lelewel; Dembowski dodaje: „Wtenczas W. Książę oświadczył, iż widząc równość zdań, przechyla się do zdania panów: Ostrowskiego i Lelewela.“

Może tak istotnie powiedział; byłby w tem humor nie obcy dziwacznej inteligencji cesarzewicza. Zdaje się jednak, że nie byłby usłuchał większości głosów, gdyby się oświadczyła za powrotem do Belwederu, w obecnych okolicznościach. Sam to wyraźnie stwierdził, 5 grudnia, mając w świeżej jeszcze pamięci tę konferencyę. „Byłbym pragnął“ — mówił 5 grudnia — „żebyśmy mogli między wami pozostać; *nous avons tous des liens bien chers à Varsovie*. Ale wasz Rząd (tu skłonił głowę) powiedział mi przez usta swej deputacyi, bym sobie poszedł albo też stanął na czele polskiego wojska i z niem wszedł do stolicy. Odmówiłem, żeby się nie buntować przeciw memu Monarsze (*pour ne point être rebelle à mon Souverain*); nie będę nigdy grał roli księcia Orańskiego; obowiązki moje wytknięte jasno i pozostaną im wierny.“ Niezawodne to zarazem świadectwo, że W. Książę doskonale rozumiał główną myśl Lubeckiego, jeżeli powrót do Warszawy na czele polskiego wojska uważał w tej chwili za krok równający się buntowi. Jest w tych słowach również i pewny dowód, że Lubecki tę myśl swoją zrozumiałe w Wierzbnie wyłożył, we wstępny swem przemówieniu czy też w ciągu dyskusyi; nie rozumiał jej tylko, czy też z unysłu pominął ją w swem sprawozdaniu—Lelewel.

Do t. z. jednak konwencyi, którą spisano, nie pozwolił bynajmniej włączyć tej oryginalnej „uchwały“, którą sam dyrymował wobec równości głosów. On w tym przedmiocie, dla siebie najważniejszym, zachował swobodę najzupełniejszą. Nie darmo pytał: „Co będzie, jeżeli za dwa dni będę miał całe wojsko przy sobie?“ Póki mógł mieć nadzieję, że armia, rozłożona po województwach, skupi się koło niego—nie mogło być mowy o jakichkolwiek z jego strony ustępstwach na seryo. W tem był węzeł całego położenia; Lubecki miał słuszość najzupełniejszą, gdy nalegał na szybkie ściąganie wojsk do Warszawy, licząc na to, że usłuchają Rządu i Chłopickiego. Konstancy bowiem przedewszystkiem był — tchórzem; więcej tchórzem, niż Rosyaninem, niż Cesarzewiczem. Bał się rewolucyi, zwłaszcza po najściu Belwederu; bał się z nią zmierzyć, choć wszyscy twierdzą, że z samem rosyjskiem wojskiem byłby zgniótł powstanie z łatwością. Bał się jednak także Cesarza; miał przecież w świeżej pamięci śmiałe jego postępowanie w dniu 14-go grudnia, czuł tem więcej całą

mizeryę swego zachowania się w czterech ostatnich dniach. I wiedział, co go czeka, jeżeli mu się nie uda zrehabilitować. Pragnął gorąco powrotu do Warszawy, nie podług myśli Lubeckiego, ale na czele „wiernej armii.“ To jedno mogło go ocalić, wówczas zrobiłby obrachunek z Rządem, „działającym w imieniu króla,“ i nie wątpić, że obrachunek z Lubeckim obudzał w nim szczególniejszy apetyt; można to było wnosić z expektoracyj Księżny Łowickiej. Te dwa dni zatem, o których wspominał, to był widocznie termin, w ciągu którego spodziewał się skupić wojsko przy sobie. To też i w raporcie do Mikołaja jest mowa o dwudniowym terminie. „J. C. W. wyraził w końcu nadzieję, że zresztą za dwa dni będzie mógł z pomyślniejszym skutkiem wznowić rokowania.“ Wtem był także swego rodzaju humor, na którym Deputacya się nie spostrzegła, sądząc może naiwnie, że W. Książę oczekuje jakichś komunikacyj z Petersburga.

Na pewno jednak nie mógł spodziewać się tak pomyślnego obrotu rzeczy: któż zaręczy za wierność wojska polskiego? On sam niedawno ręczył, na kilka dni zaledwie przed najściem Belwederu, i czego się doczekał? Miał więc w odwodzie, jeżeli wojsko polskie zawiedzie, retyradę z granic Królestwa, *byłe bezpieczną*. Wygadała się z tem Księżna Łowicka; on nie przeczył, że to możebne. Nie dziw też, że zgodził się na tak zwaną konwencyę, w której spisano błahe „obietnice“ W. Księcia. Konwencya nie dawała mu wprawdzie pewnych rękojmi bezpieczeństwa na całe dwa dni następne, dawała jednak w każdym razie wiele *prawdopodobieństwa*, że będzie mu i nadal tylko „chłodno i głodno.“ I druga bowiem strona mało obiecywała — nie dlatego, żeby nie chciała. Na żądanie W. Księcia, żeby nawzajem obowiązano się nie atakować go bez poprzedniego zawiadomienia, Deputacya, sumienna i uczciwa, odpowiedziała zgodnie z prawdą, że za to nie może ręczyć, bo „pohamowanie zbrojnego ludu nie ulega niczyjej mocy.“ „Obietnice“ za „obietnice:“ „Deputacya“ — tak napisano w umowie — „zaręczyła wszelkich dołożyć usilności, ażeby ujętych i przytrzymanych Rosyan, wszystkich w całości do linii wojsk J. C. Wysokości w blizkich godzinach odstawić, a nawzajem i zaraz potem wszystkich aresztowanych, tak wojskowych, jak i cywilnych polskich na wolność nietkniętych wypuścić raczy J. C. W. W. Książę.“

Z takim rezultatem, z przyrzeczeniem, że Warszawa nie będzie atakowana bez uprzedzenia, i z czezą obietnicą wstawienia się o amnestyę, wracała Deputacya przez ciemne już od dawna ulice Warszawy, między dziesiątą a jedenastą. Wiozła jeden jesz-

cze rezultat, i to ważny, choć w konwencji nie zapisany. Jeżeli Lubecki wyobrażał sobie przed wyjazdem z Banku, że Rząd dotąd pozostał „w obrębie konstytucyi,” mimo przybrania dwóch seryj członków, i mimo oddania komendy Chłopickiemu, teraz nie mógł się chyba łudzić, że nastąpiła „konieczność wystąpienia z tego obrębu.” Kości były rzucone, odkąd W. Książę zaprotestował stanowczo przeciw naczelnemu dowództwu Chłopickiego, a Rząd nie miał na to innej odpowiedzi, prócz natarczywego żądania: „Wojsko oddać!” Tak lakonicznie zapisał Krysiński opinię Lubeckiego w protokóle posiedzeń Rady, streszczając krótko raport Deputacyi. Już podczas tego raportu los Rady był rozstrzygnięty. Nie miała nawet czasu z uwagą wysłuchać sprawozdania swych delegatów. W sąsiednim pokoju wrzało; tam inna czekała deputacya, z kategorycznym żądaniem Klubu, żeby nie wchodzić w żadne rokowania z W. Ks. Konstantym, żeby Chłopicki natychmiast otrzymał rozkaz rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich, żeby ministrów oddać pod straż „aż do dalszego z nimi postąpienia“ i t. p. i t. p. Gdy Rząd, po niedługim oporze, przyjął tę deputacyę, wysłuchał cierpliwie rzucone sobie w oczy obelgi i po pełnej patosu scenie pozwolił sobie „złożyć żądania“ Klubu — tem samem wydał wyrok śmierci na siebie. Nazajutrz rano sam spełnił wykonanie wyroku: zaprosił przedstawicieli Klubu do swego grona i — przestał istnieć. Rada Administracyja ustąpiła miejsca Rządowi Tymczasowemu; Czartoryski objął w nim przewodnictwo, do składu Rządu weszli wszyscy przybrani członkowie Rady Administracyjnej, z pierwszej i drugiej seryi (29 listopada i 1 grudnia), z wyjątkiem Radziwiłła, Chłopickiego i Gustawa Małachowskiego. Tak — Lubecki przestał być członkiem Rządu; toż samo wszyscy dawni członkowie Rady, z królewskiej nominacyi.

STANISŁAW SMOLKA.

PIŚMIENNICTWO.

WŁADYSŁAW GRABSKI. *Historja Towarzystwa Rolniczego 1858 — 1861.*
Warszawa 1904.

W przedmowie autor zaznacza, że parę lat temu, gdy zaczęły powstawać u nas Towarzystwa rolnicze, obudziło się żywiej wspomnienie byłego Towarzystwa Rolniczego z 1858 r. Wspomnienie to odległe było szczytne. Na ogół widziano w dawnym Towarzystwie rzecz wielką, niedościgłą dla współczesnych, a jednocześnie w swoim czasie nieudaną, której zatem naśladować w obecnej dobie ani można, ani należy.

W r. 1900 autor zajrzał do archiwów Towarzystwa rolniczego. Tysiące w niem dokumentów, setki foliałów, pomimo, że Towarzystwo trzy lata tylko istniało. Treść foliałów odkrywa przed nami cały ogrom pracy konkretnej, fachowej, rolniczej i organizacyjnej, społecznej, jednym słowem realnej. Zetknięcie się z tym materiałem odrazu dało poznać całą niesłuszność dzisiejszych zapatrywań na ówczesne Towarzystwo rolnicze, oraz całą wartość, jaką mieć winno dla współczesnych działaczy na polu rozwoju Towarzystw rolniczych, zapoznanie się z działalnością ich poprzedników. Ażeby przedstawić działalność ówczesnego Towarzystwa rolniczego w należytem historycznem oświetleniu, niezbędnem było poprzedzić samą historję Towarzystwa szkicem, wyobrażającym tło, na którem się ta historja rozgrywała. Na tło składały się trzy czynniki: rozwój postępu rolniczego i stosunków włościańskich, oraz rozwój pracy organiczno-rolnej. Dla historyi postępu rolniczego w kraju samo archiwum Towarzystwa dostarczyło licznych danych do historyi rozwoju pracy organiczno-rolniczej. Roczniki gospodarstwa krajowego zawierały główne dane, ale najtrudniejszą rzeczą było oświetlić działalność Towa-

rzystwa w zakresie rozwoju stosunków włościańskich. Dla poznania tych zagadnień archiwum nie zawierało dostatecznych danych. Trzeba było zwrócić się do opracowań i broszur, których było wiele, ale przeważnie małej wartości. Autor też podzielił swoją pracę na dwie części; w pierwszej pomieścił szereg rozdziałów, przedstawiających rozwój stosunków włościańskich, postępu rolniczego i pracy organicznej rolniczej w XIX w., do czasu powstania Towarzystwa. W drugiej części pomieścił właściwą historię Towarzystwa. Z materiału, którym autor rozporządzał, starał się korzystać krytycznie i obiektywnie.

Po dokładnym o ile można wstępie bibliograficznym, autor w części I-iej daje rozwój sprawy włościańskiej od 1800 do 1858 r. Dla oświetlenia należytego stosunków włościańskich, autor musiał się cofnąć do drugiej połowy XVIII wieku, gdy się zaczęła reakcja w społeczeństwie polskim przeciw wszechwładztwu systematu pańszczyźnianego, właściwie przeciw poddaństwu, w jakim się lud znajdował. W przedstawieniu reform prywatnych włościańskich, autor nie wyzyskał w pełni prac księcia J. T. Lubomirskiego, prof. Korzona i ruskiej Miakotina. Skutkiem tego autor pominął tę charakterystyczną okoliczność, że najwcześniejsze reformy włościańskie zaprowadziło miasto Poznań, dalej pominął te reformy, które duchowni przeprowadzili, i wreszcie dopuścił się drobnej pomyłki, albowiem przywileje lokacyjne Bieżuniowi nadane były w r. 1767 a nie w 1760 roku. Rządy w częściach austriackiej i pruskiej nie omieszkały określić bliżej należnej włościanom opieki prawnej. W r. 1782 patent Józefa II zniósł poddaństwo włościan zarówno w krajach austriackich, jak i w Galicyi. Takież same zabezpieczenie posiadania, ograniczenie pańszczyzny i opiekę prawa dawał włościanom i landrecht pruski (a co się tycze patentu Józefa II, to autor Leibeigenschaft czyli niewolę, wziął za poddaństwo, czyli Erbunterthanenschaft). Poddaństwo włościan i władze dominialne (Gutsobrigkeiten) zostały nadal przez Józefa II utrzymane i nadano im rozmyślnie charakter udrczający lud i wyzyskujący go na korzyść państwa, aby je podać w ohydę, a swoją drogą używać go jako wygodnego środka wzniecania socyalnej waśni. Szkoda, że autor nie wyzyskał pracy Kalinki (Galicya i Kraków pod panowaniem austriackiem) i cennego dzieła Grünberga, kreślącego historię włościan na Szląsku, Czechach i na Morawach.

Kreśląc obraz prawodawstwa agrarnego za czasów Księstwa Warszawskiego, autor zwraca uwagę czytelnika na projekt uwłaszczenia włościan Surowieckiego, który poprzedził konstytucję

Księstwa z 1808 r. Projektowi temu jednak za mało poświęca miejsca i w oddawaniu myśli za dużo odstępuje od oryginału. Instytucje gminne, spichlerze, szkoły, ubezpieczenia, wszystko, co miało wspierać uwłaszczenie włościan, autor najzupełniej pominął, a jednak program Surowieckiego nie miał sobie równego, ani w Księstwie ani w ościennych państwach. Prócz tego program reformy Surowieckiego nie był w Księstwie jedynym. Z drugim projektem, zaczerpniętym z własnego doświadczenia wystąpił Klimontowicz, a z trzecim Biernacki, który chciał dla włościan tymczasowo wieczystej dzierżawy, ale z toku myśli jego było widocznem, że środek ten uważał za tymczasowy i prowadzący do zupełnego uwłaszczenia. Był nawet i czwarty projekt, Manteuffla, ale zbyt ogólnikowy, choć swoją drogą za własnością włościan przemawiający. Wreszcie wszyscy reformatorzy zgadzali się na to, że włościanin polski jest ekonomicznie przygotowany do posiadania własności, i że takowa podniesie należyte jego poziom etyczny. Towarzystwo rolnicze, powstałe w r. 1810, ocenia autor za surowo, widocznie porównywając z Towarzystwem rolniczem z r. 1858, bez uwzględnienia różnicy położenia, jakie z biegiem czasu nastąpiło. Towarzystwo rolnicze z r. 1810 utworzonem zostało w epoce wielkiego wycieńczenia ekonomicznego kraju, w której członkowie Towarzystwa musieli poświęcać w innych instytucjach gorliwą pracę dla dobra kraju. Senat, Rada Stanu, Izba poselska, ministerya, władze administracyjne, wojsko, wszystko to pochłaniało siły umysłowe członków Towarzystwa rolniczego, dla którego właściwych zajęć mało pozostawało czasu. Mimo to jest poważny ślad działalności Towarzystwa nawet w r. 1812, czyli w chwili, kiedy wszystkie umysły zajęte były ratunkiem samoistności krajowej, a ofiary materialne doprowadziły społeczeństwo do zupełnej ruiny. Tymczasem w r. 1858 społeczeństwo miejscowe pozbawione autonomii i samorządu, mogło jedynie za pośrednictwem Towarzystwa wpływać na rozwój rolnictwa, a tem samem na podniesienie się dobrobytu krajowego. Tym sposobem w ograniczonym zakresie, Towarzystwo rolnicze z 1858 r. wywiązało się znakomicie ze swego zadania i na rozwój rolnictwa wpłynęło daleko skuteczniej, aniżeli jego poprzednik z r. 1810, co nie przeszkadza, że i temu należy się obywatelska zasługa, iż w tak ciężkich czasach nie zaniedbał pracy w celu podniesienia rolnictwa.

W r. 1814, powstał nanowo ruch w literaturze na korzyść włościan w Księstwie przemawiający. Ruch ten, któremu główny impuls nadał cesarz Aleksander I, został uwzględniony jedynie

pod względem bibliograficznym, ale ocenienie tych programów drukowanych pozostawia autor na uboczu, jakkolwiek z wielu względów zasługują na uwagę. Prócz tego istnieje jeszcze spora ilość projektów pozostających w manuskrypcie, które, dzięki jednemu z niestrudzonych badaczy przeszłości naszej, ukażą się niezadługo w druku. W przedstawieniu sprawy włościańskiej na sejmie w r. 1831, autor dopuścił się kilku drobniejszych niedokładności z tego powodu, że mu pozostał obcym Dyaryusz sejmowy z 1831 r., następnie dzieło Barzykowskiego, które kwestyi włościańskiej w tej dobie sporo poświęca miejsca i nareszcie czasopisma z tego czasu, które zawarły sporą ilość artykułów czy artykułików sprawie włościańskiej poświęconych. Za te drobne przeoczenia i pominięcia wynagrodził autor sownicie czytelnika, notując skrupulatnie każdy ruch rolniczy, czy w literaturze, czy bezpośrednio na glebie. Zaraz po 1840 r. inteligencya krajowa doszła do zrozumienia i uznania konieczności uregulowania stosunków włościańskich. Spostrzeżono się nareszcie, że należy nawiązać nić między oczyszczaniem a kulturą rolniczą, że należy wytworzyć własne pojęcie kultury rolniczej rodzinnej, wyswobodzić ją z ciasnych ram częściowego naśladownictwa różnych wzorów zagranicznych, a nadać ogólne tło społeczne, uwzględniające miejscowe warunki krajowe.

Zadanie powyższe podjęła spółka wydawnicza Roczników gospodarstwa krajowego, zawiązana dnia 20 kwietnia 1842 r. Spółka ta była przedewszystkiem zjednoczeniem ludzi czynu, a Kurtz powitał ją w „Bibliotece Warszawskiej“ słowami: „my z naszej strony ośmielamy się w powstaniu Roczników widzieć jutrzeńkę piękniejszych dla naszego rolnictwa czasów.“ Istotnie prace Garbińskiego, Malczewskiego, Górskiego i innych dowiodły, że krytycyzm i samodzielność myśli znalazły w Rocznikach odrazu swój jasny wyraz. Poznanie, choćby było owocem myśli samodzielnej, nie wystarcza jeszcze do wywoływania czynów, do tego potrzeba działania woli, wpływu określonych dążeń i przykładu. Pierwiastek ten, tak zasadniczy, wprowadził do grona, które się skupiło około roczników gospodarstwa krajowego, Andrzej Zamoyski. Zamoyski ujrzał przed sobą odrazu wielkie pole pracy. Jeszcze w r. 1835 objął z ordynacyi Zamoyskiej dwa folwarki w dzierżawę, bez należącej do nich pańszczyzny, a obejmując, zamierzał samego siebie, a następnie zaś i innych przekonać, że gospodarowanie bez pomocy pańszczyzny, jak zagranicą się dzieje, i w naszych warunkach też opłacać się może. Najpierwej w ordynacyi powytwarzano folwarki bez zgoła żadnej pańszczyzny, ale żeby

obsadzić na nich dzierżawców, postanowiono sprowadzić Szkotów. Dopiero wtedy gdy na roli i folwarkach ujrzano cudzoziemców, znaleźli się dzierżawcy z miejscowej ludności. W szeregu dzierżawców, którzy mieli dać innym przykład obok Szkotów, stanął Andrzej Zamoyski. I on z początku myślał sobie sprowadzić rządę Szkota, ale po ośmiu latach mozolnej pracy wykazał, że bez forsownych nakładów z zewnątrz, którychby już sama rola zwrócić nie zdołała, można istotnie podnieść gospodarstwo, a każdy grosz włożony w gospodarstwo, wracać się w bliskiej nawet przyszłości musi.

W r. 1842, ogłosił Andrzej Zamoyski pierwszą pracę w Rocznicach p. t. „Zdanie sprawy o gospodarstwie na folwarku w Michałowie, w Lubelskiem“ i przez nią stanął odrazu w szeregu ludzi, którzy się koło Roczników skupiali, zwracając na siebie powszechną uwagę. Dnia 16 lipca 1843 r. zjechało się oprócz dzierżawców ordynackich kilkudziesięciu obywateli z całego kraju do Klemensowa, do Zamoyskiego, dla przekonania się o jego dziele w Michałowie. Był to pierwszy zjazd od 1831 r. Nie pozostał on bez wyraźnego i doraźnego wpływu. Oprócz Zamoyskich, Andrzej Koźmian, margrabia Wielopolski, Adam Potocki, dobra swe między 1843—1845 r. oczynszowali z uwagą na racjonalne urządzenie włościan. Na drugi zjazd do Klemensowa r. 1845 przybyło stu kilkudziesięciu obywateli. Zamoyski głośno wypowiadał pragnienie, aby w całym kraju mogły się upowszechnić zwyczaje, bardziej zbliżone do istotnych potrzeb i zadań życia społecznego, aniżeli czeze i bezmyślne, jakie przeważają w życiu towarzyskim. Pierwsze dwa zjazdy w Klemensowie skryształizowały pewien wyraźny program społeczny, a mianowicie, programat pracy organicznej, który był w społeczeństwie czemś nowem. Program Zamoyskiego podnosił znakomicie poziom ogólny, który naówczas nie był wysokim, przez ujęcie codziennych czynności jednostki w system obowiązku względem kraju.

Zamoyski w poglądzie na sprawę włościańską zabrał odrębne stanowisko. Wychowany w Anglii, kładł on wraz z Garbińskim, główny nacisk na to, że poprzednio przy pańszczyźnie dochód z całych dóbr był mniejszy, niż następnie z samych czynszów, skutkiem tego czynszowanie ma być połączone z korzyścią zobopólną. Ogółowi szlachty jednak nie przypadło powyższe rozumowanie, bo w wioskach mniejszych pańszczyzna nie była marnotrawiona. Następnie, podług Zamoyskiego, system dzierżaw czasowych, 20 letnich, miał być dla kraju zbawczym, wszelki zaś inny system, jak nadanie własności lub dzierżaw wieczystych spro-

wadziły wprost przeciwny skutek. W r. 1845 wystąpił Zamoyski z samodzielnym artykułem „O własności i dzierżawie ze względu na włościan naszych,“ w którym swój pogląd stronniczy jeszcze wyraźniej zaznaczył. Swoją drogą ostrzegał on, że pańszczyzna gospodarstwu naszemu, nam samym i ludowi naszemu do postępu materyalnego i duchowego nieprzezwyctężoną stawia zaporę.

Zjazdy Klemenrowskie, po trzecim w r. 1847, musiały być zaniechane, ale sam Zamoyski rozwijał w Rocznikach coraz więcej energii. Powstawał on silnie przeciw uwłaszczeniu włościan i w r. 1848 wydrukował artykuł kwestyi włościańskiej poświęcony, w którym myśl o darowaniu ziemi włościanom nazywa potwornym płodem. Za to wzywa do oczyszczowania. Dajmy sobie przyrzeczenie, powiada, że bez dalszej zwłoki szczerze i usilnie weźmiemy się do tej roboty. Odmiennego przekonania był Tomasz Potocki i wielu innych, dość, że sprawa włościańska w Królestwie znajdowała się w r. 1858 na złej drodze, sytuacja stała się niemożliwą i wymagała prędkiego rozstrzygnięcia. Światlejsza część społeczeństwa uświadomiła sobie potrzebę gospodarczego usamowolnienia włościan, ale jak to usamowolnienie przeprowadzić, na to zgody w łonie społeczeństwa polskiego nie było. W okresie od r. 1800 — 1858 dokonano w stosunkach rolniczych w Królestwie wielu zasadniczych przewrotów. Powstała w tym czasie kultura folwarczna, posiadłość zaś folwarczna została ograniczona i uszczuplona. Przez to wytworzył się proletaryat rolny i antagonizm klasy włościańskiej względem całego społeczeństwa, które jej praw uznawać nie chciało. Jednocześnie kultura rolna wytwarzała nowe źródło dobrobytu włościańskiego, osady czynszowe oraz zarobki, ogólnie zaś potęgowała pracowitość i inteligencyę włościan i wyrabiała ich, jako indywidualne, uzdolnione jednostki do walki o byt. Kultura więc rolna była źródłem rzeczywistego postępu, a twórcami tej kultury byli właściciele folwarków. Interesy więc właścicieli folwarków na szwank narażone być nie mogły bez obniżenia ogólnej kultury kraju. Interes kultury kraju, interes ogólny nakazywał pogodzenie sprzecznych interesów dworu i włościan i wytworzenie programu reformy społecznej organicznej, czyli ekonomiczno-prawodawczej.

Tom 2-gi pracy p. Grabskiego poświęcony został właściwej historii Towarzystwa rolniczego. Zawiązanie jego w r. 1858 powstało, jako naturalny wynik utrwalenia się w kraju pracy społecznej organicznej wśród rolników i długoletniej działalności Roczników gospodarstwa krajowego. Zrazu przeciwko projektowi Towarzystwa rolniczego miał Muchanow pewne wątpliwości, ale

dał się wreszcie uspokoić Zamoyskiemu, choć według przyjętego regulaminu porządek dzienny zebrań publicznych powinien być być z góry ogłoszony, a na zebraniach publicznych nikt dłużej nad 15 minut nie miał prawa głosu zabierać, a w mowie swojej zwracać się winien do prezesa, który mocen jest swoje uwagi mu czytać. Zaraz na pierwszym posiedzeniu założycieli liczba przyjętych członków Towarzystwa doszła do 1102, odrazu zatem kraj cały bez poprzedniej agitacji, nie czekając dowodów pożyteczności, dał mu od siebie zbiorowe poparcie. Widocznie potrzeba wspólnej pracy była żywa i powszechnie rozumiano, że w założeniu Towarzystwa rolniczego nietylko o rolnictwo chodzi, ale o pomyślność całego kraju. Prezes Zamoyski w przemówieniu inauguracyjnym położył nacisk na to, aby Towarzystwo rolnicze pracą swoją zyskało sobie takie zaufanie monarchy, iżby ten na mocy § 3 polecił mu opracować rozbiór pytań nawet szerszy zakres obejmujących niż ten, jaki ustawa określa. Goltz zaś wyjaśniał, że poza pracami w sekcjach, pozostaje najżywotniejsze oddziaływanie Towarzystwa w zakresie czysto praktycznego życia, które sięgać winno do wszystkich zakątków kraju. Właściwym polem działania Towarzystwa nie są to posiedzenia jego, nie to, co się mówi i pisze, lecz rola, wieś, to, co się działa samemu u siebie i co dla innych może być przykładem.

Pierwszą czynnością Komitetu po zebraniu ogólnym w lutym 1858 r. było wytworzenie w łonie własnym ściślejszej organizacyi. Dla ułatwienia pracy podzielono Komitet na dwa wydziały; pierwszy, gospodarstwa wiejskiego, obejmował wszystkie sprawy specjalnie rolnicze i składał się z 9 członków, drugi z 8-u członków złożony, był wydziałem ogólnym. Jądrem Komitetu stało się jego biuro, składające się z prezesa lub wiceprezesa i dwóch członków, którzy winni byli być ciągle obecni i czynni. Już w marcu 1858 r. Komitet mianował 85 korespondentów, którzy stanowili sztab poważny. Już w maju tegoż roku 80 korespondentów nadesłało korespondencye i prawie kompletne raporty statystyczne. Dnia 19 czerwca odbyło się posiedzenie Towarzystwa rolniczego, na którym Zamoyski ufny w przyszłość wyrzekł: „Piękny się dla nas otwiera zawód, wszyscy rodacy pragną się z nami złączyć. Czerwcowe zebrania staną się kiedyś uroczystością narodową. Pod hasłem postępu w rolnictwie, przemyśle i wykształcenia moralnego ludności, w imię Boże naprzód!” Edmund Stawiski zaś wyrażając ogólny pogląd na odbyte w kraju konkursy, zaznaczył, że przy rozpoczynaniu działalności pierwszą czynnością Towarzystwa rolniczego było rozbudzenie ogółu z letargi-

cznego odrętwienia, w które było wielu popadło, należało przeto podnieść pracę i zasługę na polu rolniczym do rzędu prac obywatelskich, wskazać zarazem w powołaniu rolniczym wyższe cele moralne nad prostą rachubę korzyści, stawiając w pierwszym rzędzie cele i potrzeby dobra publicznego. Towarzystwo rolnicze w działaniu swem od samego początku nosiło charakter więcej instytucji społecznej aniżeli specjalnie rolniczej.

Autor przedstawił w dalszym ciągu wszystkie zebrania ogólne w Towarzystwie, a następnie i całą jego działalność zawodowo-rolniczą. Zdaniem jego Towarzystwo rolnicze było niewątpliwie najlepszą instytucją, na jaką nasze społeczeństwo, a w szczególności obywatelstwo ziemskie, zdobyć się mogło. Postawiło ono sobie zadanie obszerne, głęboko pojęte i właściwie zakreślone, zadanie skupienia całego obywatelstwa ziemskiego około dźwigania rolnictwa z rutyny, zaniedbania w nieruchomości, dźwignięcia ludności wiejskiej z uposledzenia ekonomicznego, wyrwania inteligencji ziemskiej z bezpłodnego uśpienia, jednym słowem, powołania ogółu wiejskiego do pracy nad odnowieniem, odświeżeniem społeczeństwa. Wszystkie prace Towarzystwa celowo prowadziły do wyrobienia samodzielności w pojmowaniu postępu rolniczego, do wyzwolenia go z naśladownictwa szablonów. Na bankiecie Towarzystwa rolniczego w r. 1859 wyrzekł też słusznie Wodzicki: „Wy, panowie, pojęliście, że macie posłannictwo cywilizacyjne względem braci naszej, mniej zamożnej i mniej oświeconej, i ta to cecha, wyraźnie odznaczająca każde wasze usiłowanie, postawiła was odrazu wyżej od wszystkich innych Towarzystw. Cały ogrom pracy Towarzystwa rolniczego został w lat trzy dokonany. Nie korzystano przytem z żadnych subsydyj, a środki działania osiągnano dzięki nadzwyczajnej gotowości ogółu do ponoszenia ciężaru osobistej składki. Komitet Towarzystwa rolniczego w roku 1861 porobił wszystkie przygotowania by 1) znieść pańszczyznę w całym kraju przez zamianę jej na czynsze, 2) ustanowić czynsze znacznie niższe od dochodu z roli, 3) utworzyć fundusz gromadzki, 4) ułatwić włościanom separację i uregulowanie serwitutów, 5) wreszcie, i co główniejsza, skupić czynsze, by włościanie posiadać mogli osady swe na własność zupełną. Towarzystwo rolnicze nie z własnej winy nie zdołało dokonać reformy stosunków włościańskich.

W literaturze naszej powstały rozmaite, niedość korzystne sądy, nad działalnością Towarzystwa rolniczego. Niektórzy twierdzili, że zaszczerpiło ono w kraju skłonność i zamięłowanie do teoryj oderwanych, inni znów, że bawiło się w politykę, zamiast

dbać o rozwój rolnictwa. Autor udowodnił spokojnie i przedmiotowo, że wszystkie zarzuty podobne nie mają żadnego uzasadnienia i są jedynie tendencyjnym wymysłem. Cała też praca p. Grabskiego Towarzystwu rolniczemu poświęcona, wystawia autorowi bardzo pochlebne świadectwo, świadczy ona bowiem przede wszystkim o dużej sumienności i pracowitości autora, które to przymioty umiał połączyć ze spokojną rozważą i z rozumowaniem, któremu przewodniczyło poczucie sprawiedliwości i dążenie do prawdy. Nie wątpię też, że praca p. Grabskiego, pozostanie miłą pamiątką dla naszego stanu ziemiańskiego, albowiem notuje skrzętnie najmniejszą zasługę w dziedzinie rolnictwa i jest niejako aktem wdzięczności względem tych, co przez 3 lata gorliwie pracowali nad podniesieniem gospodarstwa, nadając tej pracy charakter obywatelski.

A. R.

Kronika miesięczna.

Otrzeźwienie socjalistów a ruina przemysłu. — Ruchy agrarne. — Potrzeba reform.—Kwestya litewska w prasie polskiej. — Podstawy statystyczne projektu odłączenia od Królestwa Polskiego wschodnich powiatów gub. Siedleckiej i Lubelskiej.

W Królestwie Polskiem, jak wiadomo, działa kilka partyj socjalistycznych. Pierwsze wśród nich miejsce zajmuje P. P. S. Obok niej należy postawić „Proletaryat“, który aczkolwiek nie posiada za sobą licznej armii zwolenników, ale z ulotnych pism swoich dał się poznać, jako partya, na której czele stoją ludzie mający coś do powiedzenia i z tego powodu, każe się liczyć z sobą poważnie. Dalej idą: krzykliwa Socyalna Demokracya i jej odłam, znany pod nazwą *Bundu* żydowskiego.

Otóż bywały rzadkie chwile, kiedy te partye działały z sobą solidarnie, poddając się zgodnie pod komendę komitetów i organizacji rewolucyjnych rosyjskich.

Na ogół jednak zawsze panowała pomiędzy nimi nieprzyjaźń. Szczególnie ostry charakter przybrała ona w stosunku wzajemnym dwóch emulujących się partyj P. P. S. i S. D. Tutaj—po za pewnemi momentami zgody — walka odbywała się ciągle i to walka zacięta. Dość było porównać ze sobą odezwy tych partyj, dość było rzucić okiem na ich „urzędowe“ i „półurzędowe“ organy, aby się przekonać, że idzie tu o wpływy, o hegemonię. Potępiano się wzajemnie, szykanowano i ośmieszano, dając folgę wszelkim namiętnościom. Gryziono się zapamiętale i licytowano jednocześnie w rzucaniu haseł najskrajniejszych. W rozpętaniu tej walki zapomniano też o wszystkim, nawet o interesach warstwy robotniczej, w których obronie obie partye występowały. Przewo-

dnicy klócili się, a robotnik tymczasem ulegał terrorowi silniejszych i strejkował, popadając sam w nędzę i rujnując jednocześnie przemysł krajowy.

Musiła atoli przyjść chwila opamiętania — i przyszła. Ktoś musiał spostrzedz, że kraj stoi na rubieży ruiny i gwałtownie popychany jest w objęcia anarchii. Powiedzmy szczerze, że spostrzegły to obie partye, bo nie mogły być ślepe na to, co się dokoła działo. Socjalna Demokracja jednak, upojona chwilowymi zwycięztwami i zacierzwiona w boju „o zasady“, nie miała odwagi przyznać się do tego. Uczyniła to natomiast P. P. S. w osobie swego *generalissimusa*, posła do Austryackiej Rady Państwa, p. Ign. Daszyńskiego, który ogłosił w krakowskim „Naprzodzie“ znany swój „List otwarty“ do Centralnego Komitetu robotniczego P. P. S. w Królestwie.

Ta śmiałość, szczerłość i bezwzględność, z jaką oceniona tam została sytuacja polityczna, wytworzona przez socyalistów u nas, zasługuje na uwagę i powinna być zapisana na dobro partyi, która poczuła, że związana jest z ziemią polską czemś więcej, niż interesami klasowemi proletaryatu.

Nie będziemy tu streszczali bardzo obszernego listu p. Daszyńskiego, trafił on już bowiem oddawna do szerszej publiczności. Pozwolimy sobie jednak podkreślić niektóre jego ustępy dla tego, że wiążą się one z tem, co niejednokrotnie na tem miejscu zaznaczaliśmy, dotykając spraw chwili bieżącej.

— Któż zdoła wytłómaczyć — mówi między innymi p. Daszyński — dlaczego podczas większego napięcia i ożywienia rewolucyjnego każą rewolucyoniści zamykać sklepy, kawiarnie, restauracje i cukiernie? Dla czego nie mogą kursować dorożki i tramwaje? Dla czego Warszawa ma wyglądać jak cmentarz, po którym bez żadnej przeszkody mogą krążyć tylko kozacy i patrole?

Tak samo — powiada dalej p. Daszyński — niezrozumiałe jest sekundowanie ruchowi rewolucyjnemu w głębi Rosyi przez zatrzymanie ruchu np. na prywatnej kolei Warszawsko-Wiedeńskiej — i tłómaczy, że w Królestwie jedynie społeczeństwo traci na strajkach, zwłaszcza zaś jego uboższe warstwy.

„I to wszystko dzieje się z nakazu rewolucyjnej organizacji polskiej, w celu poparcia ruchu rewolucyjnego w Rosyi. Cóż to za poparcie, w którym popierający spełnia na samym sobie pewnego rodzaju dobrowolne samobójstwo? Podobne to do owych strasznych strajków głodowych, do tych demonstracyj ludzi zgnębionych i zrozpaczonych, którzy nie mają już sił do niczego innego, jak

do biernych męczarni i konania z głodu. Straszne to i bezmiarem cierpienia wstrząsające, ale czy to taktyka dostosowana do naszego charakteru, do tradycyi naszych walk klasowych i rewolucyjnych, do naszych wreszcie sił, które są większe, niż w Rosyi.

„Obyśmy tą nie naszą taktyką nie zmarnowali w niepotrzebny sposób tych sił, bo my właśnie będziemy ich więcej w stanowczej chwili potrzebowali, niż jakikolwiek inny naród, jakakolwiek inna partya.

„Dzisiejsze strajki w Królestwie nie mogą mieć znaczenia ekonomicznego, ani politycznego, stają się demonstracją, która wyrządza więcej szkody klasie demonstrującej, niż rządowi, niż kontrrewolucyi. To wystarcza, ażeby z całą otwartością zabrać się do zmiany tej dotychczasowej taktyki bez względu na to, czy ona gdzieindziej przez pewien czas lub nawet stale jest zwyciężką.

Zważywszy, że to samo przecież przed kilku tygodniami pisał „Proletaryusz,“ organ Proletaryatu, zaznaczając, że „Socyaldemokraci lubią tylko krzyżeć o strajkach i nawoływać do nich bez względu na to, czy mają one szanse zwycięstwa, czy nie,“ oraz że „cała działalność“ socyaldemokracyi, polega na schlebieniu instynktom mas, na arogancyi, na upewnianiu ich, że same cudów dokażą, na lekkomyślnem wreszcie podjudzaniu ich do bezcelowych często strajków — dojdziemy do wniosku, że w obozie socyalistów polskich nastąpiło, jeżeli nie otrzeźwienie, to w każdym razie jaśniejsze zrozumienie sytuacji.

Naturalnie — Socyaldemokracya i „Bund,“ stoją poza obrobem tego i dalej trwają w swoim zaślepieniu pseudo-rewolucyjnym. Widać to z oburzenia, jakie list Daszyńskiego wywołał w jednej z głównych i wybitniejszych rzeczniczek programu S. D. — p. Róży Luxemburg.

Ta namiętna osoba rzuciła się na polską partję socyalistyczną i p. Daszyńskiego z całym impetem, na jaki ją stać było, i w szeregu artykułów udowadnia „burżuazyjność“ P. P. S. i jej wsteczniectwo.

Dyskusya taka niewątpliwie jest ciekawa i nauczająca. Jaka szkoda jednak, że toczy się ona dopiero obecnie, na ruinach dobrobytu krajowego. O ileż byłoby lepiej, gdyby sprawa „celowości“ strajków i ich znaczenia, jako narzędzia walki politycznej, oceniona była wcześniej, zanim tak oplakane przyniosła owoce. Jaka szkoda, iż p. Daszyński, który, jako poseł do Rady Państwa, niewątpliwie zna się na polityce lepiej, niż p. Róża Luxemburg,

lub p. Estera Golde, pozwolił tym dwom paniom prowadzić wielką robotę polityczną bez żadnego ze swej strony protestu i dopiero teraz odważył się na powiedzenie im słów prawdy.

Zapewne — lepiej jest uczynić to późno, niż wcale, ale obowiązek obywatelski i poczucie solidarności z proletaryatem polskim w Królestwie, powinny były p. posłowi wcześniej podyktować te rozważne słowa, jakie dopiero dziś z pod pióra jego wyszły.

Niestety—stało się tutaj to, co działo i dzieje się u nas zwykle, a czemu dało wyraz przysłowie: „Mądry Polak po szkodzie“.

I socjaliści polscy zmańdrzeli — po szkodzie: To samo zapewne będzie i z demokracją socjalną—tylko na to trzeba jeszcze poczeekać, bo socjalna demokracja potrzebuje argumentów silniejszych.

Tymczasem argumenty te, przynosi życie dzień za dniem.

To, co było przepowiedziane, czego się obawiano — zaczyna się urzeczywistniać.

Przemysł jest zagrożony poważnie. Mówi o tem bez ogródki ogłoszony niedawno memoryał Koła Przemysłowców.

Oto kilka ustępów z tego znamiennego aktu:

„Po kilku latach pomyślnych konjunktur i gorączkowego, sztucznego rozwoju, będącego następstwem ówczesnej polityki państwowej, nastąpiło wyjątkowo długotrwałe przesilenie i zastój, a w chwili, kiedy przesilenie zdawało się zbliżać ku końcowi, wybuchła wojna i wstrząśnienia, które całe państwo ogarnęły, a których bezpośrednie skutki odbiły się najdotkliwiej na przemyśle. Bilanse lat ostatnich większości fabryk wykazują nie dywidendy, lecz poważne straty kapitału, znaczna zaś liczba fabryk pracuje nie dla zarobku, lecz świadomie ze stratą, usiłując przetrwać nawałnicę i kierując się obywatelskimi względami niepozbawiania zarobku wielkiej liczby pracowników. Niestety, najlepsze chęci nie uchronią wielu przedsiębiorstw przemysłowych od przymusowego zamknięcia, likwidacyi czy upadłości, połączonych z zupełną ruiną. W chwili obecnej znaczna liczba fabryk stoi nad brzegiem przepaści i zamknięcie ich nie będzie wywołane przez chęć uchronienia się od strat, ale nastąpi przymusowo, *skutkiem nadmiernych ciężarów, spowodowanych przez strajki, brak środków pieniężnych, kredytu, oraz obstalunków*“.

Tak mówili przemysłowcy, a kronika bieżąca notowała jednocześnie bądź zamykanie fabryk poszczególnych w Warszawie i w Łodzi, bądź wróżby rychłego ich zamknięcia.

To samo Koło przemysłowców po posiedzeniu odbytem w dniu 10 stycznia r. b. rozesłało wszystkim pismom polskim komunikat,

który nietylko że obaw poprzednich nie osłabił, ale oświetlił położenie gruntowniej, wskutek czego okazało się, iż jest ono groźniejsze, niż się zdawało!

W komunikacie tym został stwierdzony fakt *zupelnego wyczerpania zamówień w większości fabryk i zakładów przemysłowych naszego kraju*

„Zastój ogólny w interesach całego państwa — powiedziano tam — nie pozwala ludzić się, że nowe zamówienia do fabryk napływać będą w takiej ilości, by można było nasze zakłady przemysłowe prowadzić w warunkach normalnych, t. j. przy zatrudnieniu w nich zwykłej ilości robotników. *Dziś nie ulega już żadnej wątpliwości, że wiele fabryk będzie musiało w mniej lub więcej znacznym stopniu zmniejszyć liczbę robotników, niektóre zaś fabryki postawione będą w tej smutnej pozycji, że będą musiały zupełnie zawiesić roboty na czas nieograniczony.*“

Oto jest opinia fachowców, z którą liczyć się musi całe społeczeństwo, a więc i socjaliści, którzy ze swej strony niemało przyczynili się do takiego zaostrzenia sprawy.

Przemysł nasz dalszych prób już nie wytrzyma. Albo więc należy wyteżyć wszystkie siły, aby mu przyjsć z pomocą i zapewnić powolne dźwiganie się z upadku, albo—szerząc w dalszym ciągu rozstrój i odciągając od pracy tych, dla których jest jeszcze praca, stworzyć wielkie rumowisko, pod którego gruzami znajdzie się odrazu kilkadziesiąt tysięcy robotników, co razem z ich rodzinami oznacza cyfrę kilkaset tysięcy ludzi, skazanych na głód i nędzę.

Ale p. Róża Luxemburg zupełnie nie uwzględnia tej smutnej perspektywy i podawnemu dowodzi, że bezrobocia są jedynym narzędziem walki, że tylko „rakarze postępu“ sądzić mogą inaczej etc.

Na szczęście lud roboczy poczyna się coraz wyraźniej wyłamywać z pod dyktatury socjalno - demokratycznej i sam orientuje się w sytuacji lepiej, niż to potrafili jego dotychczasowi przewodnicy.

Świadczy o tem bardzo wymownie sprawa Żyrardowska, jak wiadomo zakończona ogłoszeniem, wzywającym robotników do powrotu do pracy na warunkach dawnych. Świadczą o tem również coraz śmieiej podnoszące się w warstwach robotniczych głosy, oświadczające się za braniem udziału w wyborach, mimo, iż komenda z góry oświadczyła się przeciw wyborom i że agitacya w tym kierunku prowadzona jest bardzo zapalczywa.

Robotnik tymczasem 1-o wraca do pracy, 2-o chce skorzystać z praw, które są jego zdobyczą—to znaczy, że pragnie uspokojenia, wypoczynku i takiego ułożenia się stosunków, które go wyrwą z nędzy, w jaką popadł.

I tu dopiero zaczyna się prawdziwe „uświadomienie“ klasy robotniczej.

*

*

*

Niedawno temu p. Jan Stecki, ziemianin z lubelskiego, zwrócił uwagę na łamach *Gazety Lubelskiej* na to, że ruchy agrarne rosyjskie mają niepoślednie znaczenie i dla Królestwa Polskiego.

Wyszedł on z założenia, że dla Cesarstwa stało się rzeczą nagłą niezwołoczne powiększenie obszaru gruntów, będących w posiadaniu chłopów – powiększenie własności gruntowej włościańskiej kosztem własności innych kategorii. Same tylko użytki rolne dóbr rządowych i apanażowych w tym celu wystarczyć nie mogą, gdyż pierwszych jest zaledwie 3.9 mil. dziesięcin, a drugich 2.6 mil. dzies. w Rosji europejskiej. Część włościan bezrolnych da się skierować do Azji, część znów wypadnie zaspokoić *kosztem ziem obywatelskich*. To ostatnie źródło mianowicie jest tem konieczniejsze, że w olbrzymiej ilości wypadków grunta włościańskie i obywatelskie tworzą szachownicę, uniemożliwiającą poprostu wszelką uprawę bez skupienia się w jednych rękach.

Otóż społeczeństwo polskie—zdaniem p. Steckiego—jest podwójnie zainteresowane przez nadchodzącą reformę agrarną w Rosji. Naprzód dla tego, że obejmie ona (narówni z guberniami centralnemi) olbrzymi obszar kraju, w którym Polacy posiadają rozległe interesy ekonomiczne i kulturalne, a także pewne interesy polityczne, powtóre dla tego, że przebieg jej w Rosji musi koniecznie znaleźć pewne odbicie w Królestwie. Głód ziemi wśród włościan naszych, lubo inne, niż w Cesarstwie, przybiera formy, jest z pewnością nie o wiele mniej dotkliwy i nie o wiele mniej uzasadniony, wrażliwość ich na przeobrażenia agrarne, przy szalonej zwłaszcza agitacji demagogiczno-socyalnej, będzie wielka, tendencya zaś do rozciągnięcia na Królestwo Polskie samej zasady regulowania stosunków rolnych z urzędu, nie da się, o ile przewidywać wolno, powstrzymać, jak należy. Da się natomiast zmodyfikować odpowiednio do istotnych naszych potrzeb i rzeczywi-

stych warunków naszego życia ekonomicznego, na to wszakże, aby centralistyczny demokratyzm wyzyskać w kierunku dla siebie pożądanym i na korzyść odrębności naszej obrócić, trzeba gruntownego i wszechstronnego przygotowania.

Zawczasu tedy zabrać się należy do pracy, zmierzającej do gruntownego i wszechstronnego zbadania naszych stosunków agrarnych, zaopatrzyć się w wyczerpujące argumenty rzeczowe i mieć gotowy, wykończony w szczegółach plan reformy, gdyż inaczej najpoważniejsze grozić nam mogą niebezpieczeństwa. Należy bowiem pamiętać, że nietylko biurokracya rosyjska potrafi grać rolę opiekuna włościan polskich, nietylko więc od niej strzedz trzeba równowagi naszego rozwoju ekonomicznego w zakresie gospodarki rolnej.

Wypowiedziawszy te obawy, p. Stecki wzywa nasze Towarzystwa rolnicze, aby jaknajrychlej opracowały, rozwinęły i uмотywowały plan reformy agrarnej w Królestwie Polskiem.

Trudno zaprzeczyć, iż głos ten jest bardzo na czasie, zwłaszcza, że w ciągu ostatnich dwóch miesięcy sytuacja na głębokiej nawet prowincyi zaostrzyła się bardzo.

Partye socjalistyczne, uporawszy się z ludnością miast i doprowadziwszy ją do ruiny materyalnej, przerzuciły teraz swoją agitacyę z całą siłą na wieś i ze wszystkich stron kraju nadchodzą wiadomości o wcale poważnych preludyach ruchu agrarnego, który z wiosną może wybuchnąć w rozmiarach daleko większych.

Oto kilka przykładów z tego, co się dzieje:

Z powiatu grójeckiego doniesiono jednemu z pism, że przed kilku tygodniami w okolicach Błędowa i Nowego Miasta poczęły się tworzyć bandy, złożone ze służby folwarczej. Banda, wyszedłszy z jednego dworu, zabierała z sobą ekonomów, karbowych, parobków z drugiego dworu i w tak zwiększonym komplecie podążała do dworów pp. Bieńkowskiego, Górskiego, Bersohna i innych.

Wszędzie pierwszym żądaniem bandy, dochodzącej niekiedy do 150 osób, uzbrojonej w kije i drągi, było wydanie po 50 kop. na głowę strawnego. Kiedy jeden z właścicieli folwarku odwiedzzonego odmówił wydania żądanej sumy, wynoszącej około 75 rb., tłómacząc się, że takiej sumy nie posiada — zabrano go z sobą i przez trzy dni oprowadzano razem z bandą, nie dając mu wstępować do dworów.

Bandy obchodziły dziennie do 6-ciu dworów, tak że każdy uczestnik „zarabiał“ w ten sposób około 3 rb. dziennie. Zabierając ze sobą całą bandę folwarczną, zostawiały one w folwarku za ledwie jednego parobka do krów i koni, co w dużych folwarkach

zmuszało właścicieli do zajmowania się osobiście obsługą inwentarza. Po kilku dniach parobcy dworscy po tej włóczędze wracali i, nie biorąc się do roboty stawiali swe żądania. Żądania te dotyczyły podwyżki wynagrodzenia o 50% w stosunku do poprzedniego.

Strajkowano nawet w takich majątkach, gdzie gospodarstwo i opieka nad służbą są wzorowe, np. w Kozietułach, gdzie jest ochrona dla dzieci służby, bezpłatna pomoc lekarska, mieszkania obszerne i zdrowe, a nawet pensye wysokie. Mimo to parobcy zastrajkowali i posunęli się nawet dalej, banda bowiem dobijała się do gorzelni, chcąc zabrać i wypić zapas wódki.

W innym znów piśmie czytaliśmy o ruchach rolnych, wybuchłych w okolicach Skierniewic i Grodziska. I tam kilkudziesięciu ludzi chodziło od wsi do wsi z rządcą, przymusowo pociągniętym do wędrówki, by stawiać żądania i zabierać służbę.

Argumenty, których używano, łatwo wskazywały swoje źródło. W niektórych dworach mówiono wprost w charakterze pogroźki: „Za nami idą tacy, co zrobią porządek“. Niektórzy przyznawali, że kazali im iść „mądrzejsi“ z pod Skierniewic i powoływali się na „Komitet“, z którego rozkazu „świętują.“

Jeszcze inny korespondent zapytywał jednego z ziemian o stonki obecne na wsi. Rozmowa toczyła się w ten sposób:

— Czy i w stronach pańskich socjaliści mówią ludowi o zamierzonem jakoby przez panów przywróceniu pańszczyzny?

— Naturalnie — brzmiała odpowiedź — Agitacya kieruje się głównie przeciw *panom*, a poprzedza ją zawsze podkopywanie wpływu księży, działających na lud w duchu religijnym i narodowym. Niema oszczerstwa, kłamstwa, potwarzy, którejby nie rzucono na kapłana, jeżeli jest odważnym obrońcą kościoła i uczuć narodowych. Na zgromadzeniach słyszy się bluźnierstwa, od których uszy więdną, bluźnierstwa czasem zbyt wyrafinowane, aby chłop je mógł zrozumieć, a obliczone na podkopanie zaufania do duchowieństwa przedewszystkiem. Nadto urządzane są napady na plebanie...

— Jak jednak wygląda właściwy ruch agrarny?

— Wobec niewłaściwej pory propaganda ogranicza się do podżegania fernali i służby dworskiej. Agitacya wychodzi z komitetów po miasteczkach i osadach fabrycznych. Podżegacze idą po wsiach i namawiają fernali, aby wysłali deputacyę do „pana“. Deputacya zjawia się i przedstawia rzecz mniej więcej w taki sposób: „Bóg dał ludziom wolność i ziemię. Panowie zrobili to, że teraz są i bogaci i biedni na świecie. Nie możemy wyżyć z tego, co mamy, chcemy podwyżki.“

Warunki są zwykle względnie łagodne. Z ostrzejszemi chowają się agitatorzy na czas żniw — o czym zresztą głośno już teraz opowiadają. Na razie zabierają fernali i parobków z jednego dworu i nakazują im obejść czterech właścicieli po kolei i zabrać ze sobą służbę dworską. Tworzą się w ten sposób gromady po 300—400 ludzi, które wszędzie stawiają te same żądania, ułożone jak powiadają, przez „Komitet robotników rolnych.“ Żądania te są schematyczne, bez względu na warunki poszczególnych gospodarstw. I tak np. czy kto ma gorzelnię, czy nie ma, otrzymuje żądanie „wytłoków,“ zamienione czasem na 8 miar kartofli. Co lepsze, zdarzają się „programy,“ żądające wytłoków na wiosnę „w podwójnej ilości.“ Zapewne autorzy żądań są przekonani, że wytłoki „rosną.“

— A jak zachowuje się służba wobec tych komitetów?

— Ma dla nich ślepy posłuch. Jest to po części skutek oszukańczych obietnic, po części teroru, który stanowi przykład i budzi w ludziach najgorsze instynkty.

— Czy wiece socjalistyczne odbywają się często?

— Urządzane są przy każdej sposobności, zwłaszcza, gdy przyjedzie z Warszawy, lub z większego centrum agitacyjnego jaki wybitny „towarzysz.“ Wówczas ustawia się estradę, przydyum zjawia się w komplecie stałym, zagaja obrady, oddając głos przybyłemu. Naturalnie głównym przedmiotem „obrad“ są partye narodowe. Wyzwiska sypią się tak samo silnie na narodowość, jak i na rząd. Jeżeli zaś kto działa w duchu narodowym, może być przekonany, że dostanie wyrok śmierci. Znam księdza, który ma już kilka podobnych dokumentów na biurku i ciągle otrzymuje nowe...

Urywam.

Jeżeli teraz dodamy do tego, że w niektórych okolicach socjaliści podburzają chłopów do rąbania lasów, że jednocześnie po kraju zaczynają krążyć szajki opryszków, że kradzieże są na porządku dziennym i nocnym, a obok tego zdarzają się rozboje i napady o charakterze grabieżczym — to będziemy mieli przybliżony obraz tego, co dzieje się na wsi.

Zapewne — dalekie jest to jeszcze od tego rozpasania ciemnoty i barbarzyństwa, jakich widownią były centralne gubernie Rosyi, zapewne — wobec postawy grudniowego wiecu włościańskiego są także wszelkie zasady do mniemania, że ruchy agrarne nigdy nie przybiorą u nas takich znamion i nie rozleją się w powódź zniszczenia i anarchii, bądź co bądź jednak obraz, który możemy sobie wytworzyć na podstawie poszczególnych relacyj ko-

respondentów pism z rozmaitych okolic kraju, a szczególnie z radomskiego, z lubelskiego i z okolic, położonych bliżej Warszawy, każe nam się bardzo poważnie zastanowić nad całą sprawą, tem poważniej, że krepujące przepisy stanu wojennego uniemożliwiają wszelkie przeciwdziałanie robocie rozkładowej.

To wszystko przemawia za tem, że głos p. Steckiego, poruszający sprawę reformy agrarnej, powinien być istotnie wzięty jak najrychlej pod uwagę przez Towarzystwa rolnicze i że Towarzystwa te powinny wyteżyc wszystkie siły, aby rzecz jak najgruntowniej zbadać i jak najśmielej w kierunku potrzeb czasu rozwiązać.

*

*

*

Z niejednokrotnie już staczanych na łamach pism polskich polemik, znane jest powszechnie stanowisko, jakie względem Polaków zajęło pismo wileńskie „Vilniaus Zinios,“ szowinistyczny organ nacjonalistów litewskich. Impet tych ostatnich nie słabnie jednak bynajmniej. Przeciwnie, nabiera on coraz większego rozpędu. Oto niedawno wystąpili oni znów z szeregiem inwektyw przeciw polakom. W ten sposób powoli wytwarza się cała literatura, dotycząca „kwestyi litewskiej,“ literatura smutna z jednej strony, z drugiej jednak zasługująca na to, ażeby się z nią zaznajomić bliżej.

Rozproszone po pismach artykuły nie pozwalają atoli na objęcie całości. Nikt nie może wszystkiego przeczytać, a gdyby nawet to uczynił, to nikt wszystkiego nie zapamięta. Tymczasem, chcąc powziąć jasny sąd o rzeczy, trzeba ją *przestudyować* w dosłownem znaczeniu tego wyrazu.

I stało się to możliwe z chwilą, kiedy p. Zygmunt Gloger wpadł na dobrą myśl wydania broszury pod tytułem: „Kwestya litewska w prasie polskiej.“

Wydawca zadał sobie niemało trudu. Przewertował on wszystkie czasopisma polskie, na których szpaltach w ciągu ostatnich kilku miesięcy była mowa o kwestyi litewskiej i wyłowił ztamtąd co najcenniejsze artykuły, aby, zebrawszy je następnie w pełną całość, dać jasny przegląd tych argumentów, przy których pomocy uczeni i publicyści polscy zwalczali poglądy litwowanów.

W ten sposób powstała broszura o 112 stronicach bitego druku, zawierająca cały niemal materiał polemiczny w tym przedmiocie.

Po przeczytaniu tej broszury, czytelnik nabiera dopiero przekonania o tem, jak fałszywe i niezgodne z prawdą dziejową jest stanowisko nacjonalistów litewskich, jak spaczony jest cały ten ruch, oparty na szerzeniu niczem nieuzasadnionej nienawiści i przypisywaniu Polakom roli, jakiej nigdy nie spełniali, tudzież zamiarów na przyszłość, o jakich im się nigdy nie śniło.

Trudno zaiste nie zgodzić się i co do tej kwestyi ze słowami Sienkiewicza, wyjętymi z jego listu, drukowanego w naszej *Bibliotece* przed kilku miesiącami, a podkreślającemi to, że „fanatyczna nienawiść wzniosła przeciw nam wszędzie prawdziwy mur uprzedzeń. Szkalowano nasze dzieje, szkalowano tryumfy, szkalowano zwłaszcza epokę upadku i życie porozbiorowe. Przekręcano fakty i fałszowano na własny użytek historię. Byliśmy społeczeństwem wyjątkowo przez los prześladowanem, a czyniono nas prześladowcami — byliśmy rozbici, a prześladowano nas, jako rozbijających; byliśmy niejednokrotnie zawiedzeni, a widziano w nas przeniewierców. I czyniono tak nietylko na polu historii. Obok kłamstw historyczno-politycznych wznosiły się i wnoszą, nie z jednej, ale ze wszystkich stron, całe góry uprzedzeń, zmyślań i faktów, nawet etnograficznych, społecznych, ekonomicznych i wszelkich innych.“

Takimi właśnie fałszami operuje z niezwykłą arogancją „Vilniaus Zinios“ we wszystkich swoich artykułach, przesyconych jadem nienawiści dla żywiołu polskiego na Litwie.

Nie dotykamy tu kwestyi, dla kogo właściwie szowiniści litewscy pracują i komu może być i jest na rękę ruch, przez nich wszczynany. Wiemy tylko, że dla nas, jako Polaków, nie jest on niebezpieczny. Inna rzecz, że go nie będziemy od tej pory bagatelizowali. Nie leży jednak w naszym usposobieniu, ani w naszej godności narodowej, ubiegać się o czyjaś sympatyę, i słusznie zauważył kiedyś p. St. Kozłowski, że nikt u nas nie będzie szat rozdzierał nad taktyką obozu litwomianów, z kąd poczynają padać ku nam strzały zatrute. Zwykły to bowiem fortel stronnictw politycznych, słabych i nie skonsolidowanych, że często walczą bronią potwarzy i kłamstwa. Nie będziemy też nauczali „ludowców nadniemeńskich“, że taktyka podobna odbija się przedewszystkiem na ich własnej skórze.

Będziemy tylko uważnie śledzili wszystkie fazy tego ruchu, a informowanie nas o tych szczegółach jest jednym z koniecznych zadań prasy polskiej na Litwie, która w Wilnie ma już kilka or-

ganów. Sądzimy, że wszystkie one z zadania tego wywiążą się, jak należy.

Panu Glogerowi zaś musimy być wdzięczni za to, że wydawnictwem swojej broszury ułatwił nam zaznajomienie się z dotychczasowym stanem tej sprawy.

*

*

*

W pewnych kołach rosyjskich narodził się i bardzo jest popierany projekt oderwania od Królestwa Polskiego wschodnich powiatów gub. lubelskiej i siedleckiej i przyłączenia ich do generał-gubernatorstwa Kijowskiego.

Projekt ten podobny jest do wielu innych, podejmowanych przez miejscową biurokracyę rosyjską, a z góry skazanych na śmierć w archiwach. Świadczy on jednak o tem, że projektodawcy ciągle jeszcze stoją na dawniej zajętych stanowiskach i mimo ukazu o tolerancyi religijnej, mimo manifestu z dnia 30 października, tudzież mimo bijącej w oczy prawdy, dalecy są od zmiany swoich zapatrywań.

Dla nich „Ruś chełmska“ i Podlasie zawsze będą krajami „rdzennie rosyjskimi“, a ludność tamtejsza zawsze będzie „narażona“ na latynizacyę i polonizacyę, wskutek czego domaga się specjalnej obrony i ochrony przed „zgubnymi wpływami.“

Nie wdając się w szczegółową ocenę „projektu“, zobaczymy jednak, jak wyglądają te „rdzennie rosyjskie“ powiaty w oświetleniu cyfr prawdziwych, zaczerpniętych z ostatniego spisu jednolitego z roku 1897.

Cyfry te mówią, że w gub Siedleckiej na ogólną liczbę 722.246 głów ludności, było 510.621 Polaków, 120.152 Żydów, 107.785 Małorusinów, 19.839 Rosyan i 11.645 Niemców.

Ludność niegdys uniecka zamieszkiwała przeważnie powiaty: włodawski, biański i konstantynowski, oraz częściowo powiaty radzyński i sokołowski. Większość stanowiła jednak ludność ta jedynie w powiatach: włodawskim (54.653 Małorusinów wobec 21.017 Polaków) i biańskim (29.202 Małorusinów wobec 25.978 Polaków). Nie trzeba dodawać, iż obecnie, w skutek manifestu tolerancyjnego, stosunek procentowy grup wyznaniowych, uległ zupełnej zmianie. Ludność prawosławna w powiatach: biańskim, konstantynowskim, sokołowskim i radzyńskim przechodziła gromadnie na kato-

licyzn, który dla niej jest jednoznaczny z polskością, przeprowadzony więc obecnie spis ludności pod względem narodowościowym dałby zupełnie inne rezultaty. Jedynie w powiecie włodawskim niektóre okolice pozostały przy swoim prawosławiu.

Na tych podstawach opiera też swój rachunek p. E. M. w № 44 „Pracy Polskiej“ z r. b., twierdząc, że w całej gub. siedleckiej poza urzędnikami i wojskiem pozostało teraz co najwyżej 30.000 ludu prawosławnego.

W gub. lubelskiej stosunki są nieco inne. Zaliczana dotychczas do prawosławia ludność, zamieszkuje tam powiaty: chełmski, hrubieszowski i tomaszowski, oraz w mniejszej ilości—biłgorajski, zamojski i krasnostawski. Nadto w powiatach, janowskim i lubartowskim znajduje się kilka parafij prawosławnych, które w rachunek wchodzić nie mogą.

Według danych spisów z roku 1897 było w gub. lubelskiej: Polaków 729.529 dusz, Małorusinów 196.476, Żydów 155.398, Rosyan 48.437 i Niemców 25.972.

Przewagę nad ludnością katolicką miała wówczas ludność prawosławna, jeżeli nie liczyć urzędników i wojska, tylko w pow. hrubieszowskim (60.413 Małorusinów wobec 23.387 Polaków) i tomaszowskim (48.940 Małorusinów wobec 36.043 Polaków).

Należy nadmienić, że w samym powiecie chełmskim, będącym rzekomo głośną ostoją prawosławia, było wówczas tylko 46.003 Małorusinów wobec 47.463 Polaków. Dziś zaś, jak wiadomo z do-
rażnych tylko obliczeń, z liczby tych Małorusinów przeszło na katolicyzm z górą 13000 czyli 28^o o. O tyleż powiększyła się liczba Polaków.—Obecnie zatem stosunek przedstawia się mniej więcej tak: 60.000 Polaków wobec 33.000 Małorusinów.

Co do innych powiatów nie mamy pod ręką danych o ruchu, wywołanym tam przez manifest tolerancyjny. Należy jednak przypuszczać, iż żadną miarą nie był on słabszy, niż w powiecie chełmskim, a w takim razie obecnie w gub. lubelskiej jest niewiele ponad 130 tysięcy ludności prawosławnej i tylko w jednym pow. hrubieszowskim ludność rusińska dosięga prawie połowy ogólnej liczby mieszkańców powiatu.

Tak wyglądają z bliska „zasady,“ na których opiera się cały projekt, a wobec tego nie potrzebuje on krytyki z innego stanowiska.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

Dnia 13 grudnia 1905 odbyło się posiedzenie Komisji do badania historii sztuki w Polsce pod przewodnictwem prof. D-ra Maryana Sokołowskiego.

Prof. Dr. M. Sokołowski przedłożył rezultaty wycieczki naukowej do Królestwa Polskiego, której członkowie zdejmują plany i fotografie z zabytków dawnej architektury. Dotychczas p. Szyszko-Bohusz zbadał dokładnie dwunastkowe kościoły w Wiślicy, Stopnicy i Szańcu.

Referat illustrowany szeregiem doskonałych fotografii, rysunków i planów, obudził żywe zainteresowanie tem więcej, że dotyczył epoki mało znanej, a nader dla historii sztuki w Polsce ważnej, bo czasów Kazimierza Wielkiego. Obok przepysznych szczegółów architektonicznych, jak rzeźbione zworniki, wsporniki etc. zwracały uwagę śliczne okucia drzwi gotyckich i mensa z XIV w. z kościoła w Stopnicy. Jeżeli poszukiwania w Królestwie pójdą nadal w tem tempie, jak dotychczas, i będą tak fachowo prowadzone, to w niedalekiej przyszłości będzie można spodziewać się ważnych dla nauki rezultatów.

Następnie *X. Kanonik Górzyski* przedłożył komunikat o ornamencie Długosza w Kłobucku. Ornat ten jest niepospolitym i rzadkim zabytkiem polskiego hafciarstwa z pierwszej połowy XV w. Przedstawia (na pretekstach) Chrystusa na krzyżu ze św. Janem i Matką Boską u Jego stóp, czterech Ojców kościoła oraz św. Jana Chrzciciela. Ornat zakupiony został—podług miejscowego podania—przez Jana Długosza, który był proboszczem kłobuckim od 1434 do 1449 r. Styl zabytku nie stoi w sprzeczności z tymi datami, a podanie potwierdza herb Długosza Wieniawa, wyhaftowany u dołu na przedniej pretekście.

Dr. St. Kutrzeba podał wiadomość o kilku aktach z metryki koronnej i ksiąg grodzkich krakowskich, dotyczących się budowy Wawelu, jednej z kaplic kościoła N. P. Maryi w Krakowie, katedry wileńskiej oraz kilku architektów jak Mikołaja de Castiglione, Frankensteina, wreszcie złotników: Piotra Rełmi, Jana Mayhe i t. p.

Z kolei Prof. Dr. Fr. *Pickosiński* przedłożył dwa odpisy z ksiąg poborowych archiwum Komisji skarbowej, w Warszawie. Jeden z nich z r. 1535, zawiera tekst umowy pomiędzy Bernardem Zanol'ım z Krakowa a Matenszem z Jeżowa w sprawie chrzcielnicy, oraz dwóch grobowców dla Stanisława Lasockiego z Brzeziny i jego ojca, a drugi—z r. 1544—dotyczy architektury królewskiego nazwiskiem, Job Breytfus.

Następnie p. *Kazimierz Kaczmarczyk* odczytał spis sreber Zygmunta Augusta, znajdujących się w skarbcu ziemskim w Wilnie w 1545 r. oraz komunikat o architekcie Józefie Le Brun, czynnym w Krakowie w końcu XVIII i na początku XIX w. Le Brun przybył do Krakowa prawdopodobnie z początkiem 1787 r. i dostał przywilej od St. Augusta, jako „uprzywilejowany architekt dla Krakowa i sąsiednich miast.“ Data jego śmierci nieznana. W r. 1809 pojawia się jeszcze w aktach; odkąd znika zupełnie. Prawdopodobnie umarł w tym czasie.

Komunikat p. *Stanisława Zarewicza* dotyczył epoki renesansu. Referent przedłożył fotografię interesującego nagrobka z XVI w. wmurowanego obecnie w ścianę kruchty kościoła parafialnego w Sanoku. Rzeźbę tę wykopano na placu św. Michała na miejscu pierwotnego kościoła parafialnego, gdyż obecny kościół, wybudowany w 1879 r., wzniesiono nieco dalej. Zdaniem referenta jest to fragment nagrobka Sebastyana Lubomirskiego, zmarłego w 1558 r. Styl zażytku oraz napis, przytoczony przez Starowolskiego, popierają tę hipotezę.

Wreszcie p. Przewodniczący przedłożył plany i fotografię cerkwi w Uliczu, nadesłane przez prof. Teodora Talowskiego.

— Z Tow. PRZYJACIÓŁ NAUK W POZNANIU. Na ostatniem zwyczajnem posiedzeniu wydziału przyrodników i techników Towarzystwa Przyjaciół Nauk, odbytem w Poznaniu dnia 30 stycznia, omawiano następujące sprawy:

Ks. kanonik *Adamski* demonstrował fonograf, którego wyjaśniał mechanizm, przedstawił funkcyonowanie i zastosowanie do korespondencyi, wykładów itd. Fonograf wierniej od stenografów notuje każde słowo wypowiedziane.

Dr. *F. Chłapowski* wypowiedział rozprawę „Wydział przemysłowy Kasyna Gostyńskiego i Przewodnik Rolniczo-Przemysłowy 1837—45.“ Tu referent ubolewał nad tem, że tak mało dotąd wiemy o społecznym i kulturalnym rozwoju dzielnicy poznańskiej. Nawet najnowsi dziejopisarze Księstwa Poznańskiego nie znają wszystkich ognisk kultury w tym kraju. Do takich należy Kasyno Gostyńskie, założone w 1835—45 r. przez męża wielkiego serca, *Gustawa Potworowskiego*. Spełniało ono z początku zadanie zespolenia ziemian i inteligencyi w celach towarzyskich. Wkrótce po założeniu powstały w nim dwa wydziały, literacki i przemysłowy, o którym to głównie delegat mówił. Przedstawił więc prelegent akta tegoż kasyna 1835—40, które zawdzięcza uprzejmości synowej założyciela, p. Gustawowej Potworowskiej z Goli—akta dotyczące się Instytutu Miłosierdzia (1850—53), jaki tam potem powstał; akta Związku Rolniczego w pow. kościańskim (1852—44) i inne akta dobra publicznego, utrzymywane przez *Stanisława Chłapowskiego* z Czerwonej Wsi, wreszcie 8 roczników dwutygodnika wychodzącego w Lesznie u E. Guenthera, pod redak-

cyą z początku ks. Burowicza, „Przewodnika Rolniczo-Przemysłowego,” który od r. 1839 — 1843 był prawdziwym organem tegoż wydziału Przemysłowego Kasyna w Gostyniu, a nieco później także i Towarzystwa Rolniczego W. Księstwa Poznańskiego w Gnieźnie.

Wydział przemysłowy K. G. założony w tym samym roku, co to Towarzystwo w Gnieźnie (1837), miał z początku odmienne nieco cele, zwłaszcza pod przewodnictwem jego założyciela, Józefa Łubińskiego. Nazywał się też początkowo wydziałem zachęcającym do przemysłu i rolnictwa. Mylnie więc w nr. 19 V „Rocznika Przewodnika R. P.” — podano pierwotną jego nazwy jako „wydziału do popierania rzemiosł i przemysłu miejskiego,” gdyż celem jego było od początku podniesienie *wszelkiego* rodzaju przemysłu w W. Ks. Poznańskim i budzenia w nim wogóle ducha przemysłowego.

Z czasem udział brany w przemyśle rolniczym przeważył do tego stopnia w wydziale, że można go uważać za pierwszą podwalinę do powstania późniejszego zcentralizowanego w Poznaniu Towarzystwa Rolniczego, w którym spłynął wraz z Towarzystwem agronomicznem w Gnieźnie i innemi mniejszemi na prowincyi. Lecz co udać się nie mogło kilkunastu obywatelom wiejskim, zjeżdżającym się kilka razy na rok do Gostynia, — to sowiec nagrodzonym zostało, odkąd Karol Marcinkowski, widząc te chwalebne usiłowania, powziął myśl zorganizowania naukowej pomocy w osobnem Towarzystwie z siedzibą w Poznaniu.

W papierach, jakie po ojcu pozostały w Czerwonej-Wsi, miał prelegent niezbite dowody, że wydział przemysłowy udzielał nietylko rzemieśnikom, ale i studentom zapomogi na studia i podróże i z nimi korespondował. Akta te, wręczone przez prelegenta przed 30 przeszło laty ks. biskupowi Janiszewskiemu, w celu opisanja początków Towarzystwa Naukowej Pomocy, zaginęły po jego śmierci; lecz sprawozdania wydziałowe w „Przewodniku,” (rocznik V, str. 218), świadczą wymownie o tem.

Także i w kierunku zbierania okazów przyrodniczych, które następnie przeszły na własność Tow. Przyjaciół Nauk w Poznaniu razem z biblioteką, oraz modeli dla rzemieśników i rolników, które częściowo dostały się do późniejszej szkoły imienia Haliny w Żabikowie — rozwijał czynność nie małą Wydział Przemysłowy Kasyna Gostyńskiego; ale działalność jego nie ograniczała się do tych trzech tylko kierunków, które następnie stały się wytycznymi trzech instytucyj, jakimi dotąd mamy słuszny powód się chlubić!

W rozprawach w „Przewodniku R. P.” drukowanych, a w wydziale P. K. G. wygłoszonych, spotykamy i takie, które dotyczą ułatwienia kredytu, podniesienia ludu wiejskiego, zaprowadzenia regulacji stosunków włościańskich w Królestwie (u nas regulacya już była skończoną), unormowania kwestyi komorników, zaprowadzenia sądów polubownych, wyrzeczenia się faktorów-pijawek, uważania na fizyczny rozwój dzieci wśród ludu, a więc spraw sięgających po za kwestye techniczne, choć i tych nie braknie. Między temi wspomnieć warto kwestyę osuszania Odry, w kilku doskonałych źródłowo opracowanych rozprawach, sprawę komunikacyi t. zw. „makadamizowanych szosei” i t. d. — Wydział urządzał w Gostyniu wystawy, wyselgi, igrzyska ludowe, z których w „Przewodniku” zdawał sprawę.

Ze sprawozdań tych widać, że wydział starał się wpływać na całe społeczeństwo, nie tylko krajowe, ale i zakordonowe, wreszcie i na władze; widać też pewne poparcie niektórych jego usiłowań przez władze, które mu dostarczały statystycznego materiału z miast i powiatów W. Ks. Poznańskiego.

Po 4 latach praca ta, tak wytężona i rozległa, ustaje. „Przewodnik“ przestaje umieszczać sprawozdania. Mogły się do tego przyczynić nie tylko stosunki polityczne zmienione, ale i zmiana komunikacji, wskutek czego ruch społeczny i narodowy coraz bardziej ześrodkował się w Poznaniu. W każdym razie to, co zdziałano w swoim czasie Kasyno Gostyńskie, podnosząc poziom moralny i intelektualny wielkopolskiego ziemiaństwa i mieszczaństwa, a zwłaszcza to, co jest dziełem zabiegów wydziału przemysłowego w nim — należeć będzie zawsze do najpiękniejszych kart w dziejach porobiorowych polskich.

Nie mniej pięknym jest i koniec tej instytucji, która tyle usług oddała nie tylko okolicy, ale której wpływ sięgał daleko poza granicę naszej dzielnicy! Co się stało z gmachem, w którym się zgromadzała niegdyś szlachta i inteligencja, tak dla skromnej i przyzwoitej zabawy, jak i dla pouczenia się i pobudzania wzajemnego do najszlachetniejszych celów? Został on z początku przytułkiem dla wzorowej ochronki, w której się ochroniarki wyrabiały. Myśl zakładania ochronek po miastach i wsiach wyszła od Augusta Cieszkowskiego, który tu ją przedłożył. W osobie Edmunda Bojanowskiego z Grabonoga znalazła jednak ona wykonawcę, bo on życie swe i majątek poświęcił na utworzenie Kongregacji słuźebniczek N. P. M., które się ochronkami po wsiach miały zajmować. Gdy cholera w r. 1849 w W. Ks. Poznańskim się pojawiła, do pustego już wówczas domu Kasynowego przywołano Siostry Miłosierdzia z Poznania i pod ich opiekę oddano chorych tam umieszczonych. Gdy zaś niedola licznych sierot po tym pomorze wywołała potrzebę dłuższej nad nimi opieki, natenczas fundusz za staraniem jednego z najgorliwszych członków byłego Kasyna Gostyńskiego, zebrany od obywateli okolicznych, został przeznaczony na początkowe ustalenie *Domu Miłosierdzia* w Gostyniu, w tymże samym budynku, z 20 łózkami stałymi dla chorych! I dom ten Miłosierdzia został 1851 r. nabyty i dotąd istnieje, jako świadek świetnej i pożytecznej przeszłości Kasyna, a zarazem dobroczynności jego niektórych członków.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— *BONIECKIEGO ADAMA HERBARZ POLSKI*. Do cz. I uzupełnień wyszedł zeszyt IV. Obejmuje nazwiska Białoszyccy do Biesiekierski. Najwięcej materiału heraldycznego przybyło do rodzin: Białozorów, Biernackich, Biebrzyńskich i Biesiekierskich. Uzupełnienie do tej ostatniej rodziny, dokończonem będzie w następującym zeszycie.

— *ENCYKLOPEDIA WYCHOWAWCZA* w zeszycie IV tomu VII-go zawiera: *Malowanki*, przez Anielę Szcównę (dokończenie); *Małecki Antoni*, przez Tadeusza Sinko; *Marcinkowski Karol*, przez Ignacego Zielewicza; *Markiewicz Stanisław*, przez Stanisława Kopczyńskiego; *Marnotrawstwo*, przez Maryą Bielską; *Marrené Walerya*, przez A. Szcównę; *Marycki Szymon*, przez Wiktora Hanha; *Marymont*,

przez Stanisława Rewieńskiego; *Matematyka*, przez Samuela Dicksteina; *Mechanika*, przez T. Sinko; *Melanchton Filip*, przez Romana Plenkiewicza; *Metoda dydaktyczna*, przez Antoniego Danysza (początek).

— KWARTALNIK HISTORYCZNY. Zesz. 3 1905 r. Zawiera: *Mojżesza Szorra*: Państwo i społeczeństwo babilońskie w okresie t. zw. dynastji Hamulabiego. *Fryderyka Papée'go*. O najstarszych wizerunkach świętego Kazimierza, z trzema pięknymi reprodukcjami wizerunków św. Kazim., z dziełka Ferreriusa r. 1521, z obrazu we Wilnie r. 1594 i z obrazu Krośnieńskiego 1637. Miscellanea. Uwagi o relacyach Langiewicza, przez autora „Dziejów 1863 r.“ — Bibliografię historyi powszechnęj *Eug. Barwińskiego*; Bibliografię historyi polskiej tegoż, i Kronikę tegoż. W niniejszym tomie omówione zostały następujące dzieła: Teod. Wierzbowskiego. Komisya edukacyi narodowej 1775 — 1794 zesz. 1 — 6; Bär Maksa: „Über die Gerichte in Preussen zu Zeit der Polnischen Herrschaft;“ Wespala P.: „Ein ehemaliger Klosser territorium in Pommerellen;“ Ludtke dr.: „Schematismus des Bistums Culm mit dem Bischofssitze Pelpin;“ Górskiego Władysława: „Powiat Mohylewski w gub. Podolskiej.“ Cztienija w istoriczeskom obszczestwie Nestora XV. XVI. Opis dokumentow Wileńskaho Centralnaho archiwa drewnich aktowych knig II i III; Klima T. Akta do konfederacyi r. 1768 Województwa Krak., a zwłaszcza księstwa Oświęc. i Zator.; Klima T. Przywileje i statuty cechów Wadowickich.; Monumenta Vaticana res gestas Bohemiae illustrantia Ed. Klieman Lad. T. I Acta Clementis VI.; Darowskiego Ad. Bona Sforza; Zembrzuskiego Stef.: Rossya i Król. Polskie; Konica Henryka: Komisya rządząca 1807; Grabskiego Władysława: Historia Tow. Rolniczego.

— LUD. Tom XI, zesz. III. Dr. Bruchnalski Wilhelm, „Pióro jako ozdoba wojaków i t. zw. prośba o pióro;“ Gawroński Rawita Franciszek, „Geneza legendy o smoku w związku z istnieniem człowieka czwartorzędnej epoki;“ dr. Janik Michał, „Ludność polska w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej;“ Matusiak Szymon, „O zbieraniu imion własnych;“ Łopaciński Hieronim, „Próba wyjaśnienia początku jednej z zapomnianych gier dziecięcych;“ dr. Dobrzycki Stanisław, „Ludność w Sobótce Kochanowskiego;“ Udziela Seweryn i Kipa Emil, „Materjały historyczne;“ „Odszczekiwanie obmowy;“ „Nieznana piosnka flisacka z XVIII wieku;“ ks. Błachut Augustyn, „Uroczystość poświęcenia pól w Kamieniu w pow. krakowskim;“ Madłowna Nimfa, „Topielec w Czeladzi w pow. będzińskim;“ Taromiowa Helena, „Opowiadania z pod Krakowa;“ Maksonowa, „Dusza po śmierci;“ dr. Potkański Karol, „Sprawdzenie deszczu;“ dr. Franciszek Kręć, „Św. Stanisław Szeżepanowski;“ K. Potkański, Aleksandra z Lipińskich Kręćkowa i Teofil Mleczo, „Pierwszy grzmot;“ dr. Fr. Kr. i K. C. ze Lwowa, „III Maj;“ Mikołaj Rybowski, „Sprawozdanie z czynności dziesięcioletniej Towarzystwa Ludoznawczego we Lwowie;“ Mieczysław Treter, „Przebieg obrad na XI walnem zgromadzeniu Tow. Ludoznawczego we Lwowie.“

— PRZEGLĄD FILOZOFICZNY w IV-tym zeszytzie za r. 1905, pomieszcza w dziale prac konstrukcyjnych: *Prof. Dr. Juljusz Makarewicz*, Stammerla nauka o prawie odpowiedniem. Oraz następujące sprawozdania: *Józef Słowikowski*, Znaczenie figur Kopernika i Keplera w przyrodzie, nauce i technice, przez J.

Drexlera. *Dr. Richard Oehler*, Friedrich Nietzsche und die Vorsokratiker, przez St. Schneidera. *Georg Simmel*, Kant, przez H. Bada. *P. Lacombe*, La représentation proportionnelle, przez Stefana Baley'a. Piąty międzynarodowy zjazd psychologiczny w Rzymie, przez K. Appla. W dziale zatytułowanym „Przeгляд czasopism“ omawia: *Archiv für Geschichte der Philosophie*, *N. Perzyńskiego*. *Revue Néo-Scholastique*, *N. Perzyńskiego*. *Vierteljahrsschrift für wissenschaftliche Philosophie und Soziologie*, *J. Serwin*.

— PRZEGLĄD POLSKI. Listopad. Dr. Kazimierz Morawski, „Elektra. Tragedya Sofoklesa. Słowo wstępne i tłumaczenie;“ dr. Adam Krzyżanowski, „Umiejętność zrzeszania się;“ X. Franciszek Starowiejski, „Z dziejów Stolicy św. za pontyfikatu Leona XII. 1823 — 1829“ (c. d.); Sprawy krajowe XXXIII. Dr. Stanisław Grabski, „O regulacji pastwisk wspólnie używanych“.

— PRZEGLĄD SĄDOWY I ADMINISTRACYJNY, wychodzący we Lwowie pod red. dr. Ernesta Tilla, w zeszycie Lutowym r. b. taką zawiera treść: Rękopisemstwo w prawie polskiem. Z powodu książki dra P. Dąbkowskiego. Napisał *Oswald Balzer*. O przejęciu długu. Trzy odczyty. Ułożył *Dr. Stanisław Dnie-strzański* (ciąg dalszy). Związki zawodowe rolników. Napisał *Adam Krzyżanowski* (ciąg dalszy). Wystąpienie z stowarzyszenia zarobkowego w toku likwidacji. Napisał *Stanisław Wróblewski*. Zapiski literackie. Kronika.

— PRZEGLĄD WSZECHPOLSKI. Sierpień — październik. „Rosyjska izba ogólnopauństwa a zadania polityki polskiej;“ R. Dmowski. „Koniec legendy;“ B. Ostoja, „Bilans socjalistyczny wobec zadań ruchu robotniczego;“ Prawnik, „Duma a biurokracja;“ J. L. Popławski, „Polityka interesów ekonomicznych;“ G. Topór, „Rzut oka na wypadki w okresie wojny;“ W. Tokarz, „Ustrój Królestwa Polskiego za czasów Wielopolskiego;“ I. Zasław, „Żywiół polski na Litwie;“ Idem, „Na Podolu i Ukrainie;“ J. L. Jastrzębiec, „Z całej Polski;“ Ko-wicz, „Polityka zagraniczna;“ Ver..., „Listy warszawskie I i II;“ Dokumenty: I. Memoryał, II. Odezwa Ligi narodowej; Uwagi.

— PRZEWODNIK NAUKOWY I LITERACKI, wydawany przy Gazecie Lwowskiej, w zeszycie Styczniowym zamieszcza: 1) *Gustawa Roszkowskiego*, O XIV kongresie pokoju z 1905 r. 2) *Aleksandra Kraushara*, Podróże królewicza polskiego, późniejszego króla Augusta III (Niemcy—Francya—Włochy) 1711—1717 z dyaryusza rękopiśmiennego. 3) *Gustawa Mantuffla*, Birże Litewskie. 4) *Bohdana Barwińskiego*, Zygmunt Kiejstutowicz, Książę Starodubski. 5) *Tadeusza Truskolańskiego*, Andrzej Bohdan Zebrzydowski, biskup Krakowski † 1560, Monografia historyczna. 6) Pamiętnik *Napoleona Sierawskiego*, oficera konnego pułku gwardyi za czasów. ks. Konstantego. 7) *Kazimierza Pułaskiego*, Z dziejów Konfederacyi Barskiej. Teki Teodora Wessla Podskarb. Kor. 1769 — 1772.

B I B L I O G R A F I A.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

BANDROWSKI BRONISŁAW DR.: O analizie mowy i jej znaczeniu dla filozofii. (Sprawozdanie I dyrekcji c. k. II gimnazjum w Rzeszowie za r. szk. 1905). Rzeszów, 1905. Nakł. funduszu naukowego. 8-o, str. 95.

BRATKOWSKI STEFAN KS. T. J.: Przez Maryę do Jezusa. Kraków, 1905. Nakł. Apostol. Modlitwy. 8-o, str. 2 nl. 108.

ENCYKLOPEDIA kościelna podręczna, opracowana pod kierunkiem ks. ks. Galla, J. Niedzielskiego, H. Przedzieckiego, A. Szlagowskiego, A. Taura i redaktora Z. Chelmskiego. T. V—VI. Wydawn. „Bibl. dzieł chrześcijańskich,” zes. 54 i 55. Warszawa, 1905. Gebethner i Wolff. 8-o, str. 419. B—C.

NIETZSCHE FRYDERYK: Zmierzch bożyszcz, czyli jak filozofuje się młotem. Przełożył Stanisław Wyrzykowski. Warszawa, 1906. Nakł. J. Mortkowi-cza. Skł. gł. w księg. G. Centnerszvera i Sp. 8-o, str. 132.

SIENIATYCKI KS. DR.: Dowód kosmologiczny na istnienie Boga. Odbit. z „Gazety Rolniczej.” Lwów, 1906. Gubrynowicz i Schmidt. 8-o, str. 66.

TENŻE: Ogólna katolicka dogmatyka, podręcznik szkolny. Lwów, 1906. Gubryn. i Schmidt. 8-o, str. IV, 119.

H I S T O R Y A.

CHOŁODECKI JÓZEF: Lista osób szlacheckiego pochodzenia zasądzonych w Galicyi za udział w tajnych stowarzyszeniach i pracach rewolucyjnych w latach 1833—1848. Lwów, 1905. Nakł. autora. 8-o for. mały, str. 15.

CZERMAK WIKTOR DR.: Illustrowane dzieje Polski. Tom I, od początków do X wieku. Dzieje powszechne illustrowane pod kierunkiem L. Kubali. Część V, t. I. Wiedeń, 1905. Nakł. F. Bondego. 8-o for. większy, str. VIII, 338, przeszło 100 ilustr. w tekście oraz 18 na osobnych kartonach i mapy.

FLAWIUSZ JÓZEF: Dzieje wojny żydowskiej przeciwko Rzymianom. Z oryginału greckiego wydania J. Destinowa i Benedykta Niesego, na język polski przetłumaczył, przedmową, uwagami, skorowidzem etc. zaopatrzył Andrzej Niemojewski. Warszawa, 1906. Nakł. Stow. wzaj. pomocy pracowników handlowych wyzn. mojżeszowego. Księg. Powsz. (Okładka i plan ryc. Jana Bukowskiego). 8 o, str. XXXIX, 575.

GAWROŃSKI RAWITA FR.: Bohdan Chmielnicki do elekei Jana Kazimierza. Lwów, 1906. Nakł. księg. H. Altenberga, E. Wende i Sp. w Warszawie. 8-o, str. 360 i 2 nl. z ilustr.

JAWORSKI FRANCISZEK: Obrona Lwowa 1655 r. Wspomnienie dziejowe w 250 rocznicę oblężenia miasta przez Moskali i Kozaków. Lwów, 1905. Nakł. gminy m. Lwowa, Gubrynowicz i Schmidt. 8-o, str. 44 z ryciną.

KOŚCIŃSKI KONSTANTY: Kaszubi giną. Wiązanka wiadomości historycznych i statystycznych. Poznań, 1905. Nakł. autora. 8-o, str. 67.

KRUCZKA WACŁAW KS.: Historia polska w Ameryce. Początek, wzrost i rozwój dziejowy osad polskich w Północnej Ameryce (Stanach Zjednoczonych i Kanadzie) T. V. Wydanie poprawione. Milwaukee, 1905. 8-o, str. 120.

LECIEJEWSKI JAN DR.: Runy i runiczne pomniki słowiańskie. Lwów, 1906. H. Altenberg, E. Wende i Sp. w Warszawie. 8-o, str. IV, 207 i 2 nl.

POMNIKI dziejowe Lwowa z archiwum miasta. Księga przychodów i rozchodów miasta 1414—1426, wydał dr. Aleksander Czołowski. Lwów, 1905. Nakł. gminy miasta Lwowa, Gubryn. i Schmidt. 8-o, for. duży, str. 2 nl. i 187.

HISTORIA LITERATURY.

BRUCHNAŁSKI WILHELM DR.: Pióro jako ozdoba wojaków i junaków i t. z. prośba o pióro. Odb. z „Ludu“ B. m. i r. w. Kraków, 1905, 8-o, str. 18.

FELDMAN WILHELM: Henryk Ibsen. Wykłady wygłoszone na kursach wakacyjnych w Zakopanem w lecie 1905 roku. Warszawa, 1906. Nakł. księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 216.

GAWROŃSKI RAWITA FR.: Geneza legendy o smoku w związku z istnieniem człowieka czwartorzędowej epoki. Odb. z „Ludu.“ B. m. i r. w. Kraków, 1905. 8-o, str. 6.

GŁOGER ZYGMUNT: Nieznany śpiewnik historyczny polski z końca wieku XVI. Warszawa, 1905. Skł. gł. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 55.

JABŁONOWSKI WŁADYSŁAW: Maksym Gorkij. (Szkic literacki). Warszawa, 1906. Nakł. księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 54.

KSŁĄŻKA zbiorowa ku uczczeniu pamięci Adama Mickiewicza w 50-tą rocznicę śmierci poety. Petersburg, 1905. Skł. gł. w księg. Polskiej. 8-o, str. 218.

STEN JAN: Szkice krytyczne. Lwów, 1906. Nakł. księgar. Narodowej. 8-o, str. 206.

P E D A G O G I A.

AKT fundacyjny fundacji edukacyjnej ś. p. Wiktora Osławskiego. Kraków, 1905. 8-o, str. 23.

HERODOT: Wybór z dziejów opracował dla użytku młodzieży szkolnej P. B. — Księga VI. Rozdział 1—213. „Bibl. klasyków rzym. i grec.“ zesz. 235—241. Lwów, Zloczów, 1905. Nakł. i druk. W. Zukerkandla. 8-o, str. 1-320.

KOPECZYŃSKI STANISŁAW DR.: Hygiena i szkoła. Uwagi i rady. Napisał ... Warszawa, 1905. Nakł. M. Areta, Ks. dla wszystkich № 217. 16 o, str. 93.

ŁOPACIŃSKI H.: Próba wyjaśnienia początku jednej z zapomnianych gier dziecięcych. Odb. z „Ludu“ B. m. i r. w. Kraków, 1905. 8-o, str. 12.

ODCZYTÓW siedm ... o wychowaniu, wypowiedzianych z okazji dwudziestopięciolecia Stowarzyszenia matek chrześcijańskich w Krakowie. Kraków, 1905. 8-o, str. 179.

SPRAWOZDANIE VI dyrekeji kursów wyższych dla kobiet im. A. Baranieckiego za rok 1904—5, istnienia XXXVII. Kraków, 1905. Nakł. Kursów. 8-o, str. 22.

UNSZLICHT-BERNSTEINOWA JULIA: Przeblyski nowych form wychowawczych. Odczyt wygłoszony w Krakowie w Uniwersytecie ludowym im. Mickiewicza. Warszawa, 1906. Skł. gł. w księg. Naukowej. 8-o, str. 22.

ŻUKOWSKI O. M.: Wychowanie młodzieży w Polsce od IV aż do I połowy XVII wieku, w świetle opisu W. A. Maciejowskiego, wstępem i objaśnieniami opatrzyl ... Odbit. z „Miesięcznika pedag.“ Cieszyn. Nakł. pols. Tow. pedagogicznego. Gubrynowicz i Schmidt we Lwowie. 8-o, str. 30.

N A U K I Ś C I S Ł E.

BR. L.: Młody chemik. Zbiór doświadczeń chemicznych dla młodzieży. Opracował według K. Scheida. Warszawa, 1905. Nakł. M. Areta. Moja Biblioteczka. 8-o, str. 135.

KOWALEWSKI M.: Studya helmintologiczne. Cz. IX. O dwóch gatunkach tasiemców rodzaju Hymenolepis Weidl. Odb. z „Rozpr. wydz. matem.-przyrodn.“ Ser. B., T. XLV. Kraków, 1905. Nakł. Akad. Umiej. Spółka wydawn. polska. 8-o, str. 19 z tabl. VII, podwójną.

OLSZEWSKI K.: Dalsze próby skroplenia helu. Odb. z „Rozpr. wydz. matem.-przyr.“ Ser. A., T. XLV. Nakł. Akad. Umiej. Spółka wydawn. polska. 8-o, str. 7.

TENŻE: Przyczynek do oznaczenia punktu krytycznego wodoru. Kraków, 1905. Nakł. Akad. Umiej. 8-o, str. 7.

RACIBORSKI M.: O rodzaju paproci Allantotodia Wall. Odb. z „Rozpr. wydz. matem.-przyrod.“ Kraków, 1905. Nakł. Akad. Umiej. 8-o, str. 7.

M E D Y C Y N A.

ALKOHOLIZM A WIEDZA. Odezwa lekarzy do polskiego społeczeństwa. Fol. k. 1. Kraków, 1905. Nakł. Tow. Eleuteryi.

LANGIE ADAM DR.: Szlakami cholery, szkic historyczny. Odb. z „Przegl. lek.“ Kraków, 1905. 8-o, str. 4 i tabl. VIII.

NAUKA O CHOROBYCH WEWNĘTRZNYCH, wydał prof. Walery Juworski. Tom I. Choroby zakaźne. Zatrucia. Choroby przemiany materji, Opracowali

dr. Biegański Władysław, dr. Marischler Julian, prof. Domański Stanisław, psof. Prus Jan i dr. Wilczyński Ludwik. Kraków 1905. Nakł. H. Altenberga. 8-o, str. VI, 500 i tabl. XII.

Tom II. Choroby jamy ustnej, narządu oddechowego, serca i naczyń krwionośnych. Choroby mięśni, stawów, kości i gruczołów. Opracowali prof. Głuziński Antoni, dr. Latkowski Józef, prof. Korezyński Ludomił, prof. Pieniążek. Kraków, 1905. 8-o, str. 496 i III tabl.

OLTUSZEWSKI WŁADYSŁAW DR.: Szkic nauki o mowie i jej zboczeniach. (Niemota, bełkotanie, mowa nosowa, jąkanie i t. d.). Oraz higiena mowy. Z rysunkami i tablicami w tekście. Napisał ... Warszawa, 1906. Nakł. autora. Bibl. lek. rok II, t. X.

PILZ JAN DR.: Stanowisko psychiatrii w rzędzie innych nauk lekarskich, oraz nowoczesne jej zadania i cele. Wykład wstępny. Odb. z „Przegl. lek.“ Kraków, 1905. 8-o, str. 42.

S Z T U K A

LOBE E. J.: Katechizm muzyki, z 22 wydania niemieckiego przełożył Jan Kleczyński. Warszawa-Kraków, 1905. Nakład Gebethnera i Wolffa. 8-o, k. nl. 4 + 136.

MAKOWSKI CZESŁAW.: Profile, płaskorzeźby osób znakomitszych z krótkimi życiorysami. Część I. Warszawa, 1906. Nakł. M. Arcta. 8-o, str. 116.

WILDE OSKAR: Dyalogi o sztuce („Intentions“), przedmowa Nowaczyńskiego, przekład M. Feldmanowej. Lwów, 1905. Księg. Narodowa. (Okładka rysunku Jana Bukowskiego). 8-o, str. XLVIII, 217 z portretem autora.

WITKIEWICZ STANISŁAW: Juliusz Kossak. Wyd. 2 powiększone bez ilustr. Lwów, 1906. Nakł. Tow. wydawniczego, E. Wende i Sp. w Warszawie. 8-o, str. 288.

P O W I E Ś Ć. — P O E Z Y A.

FRANCE ANATOL: Wybór pism IV. Tais, tłómaczył Jan Sten. Lwów, 1905. Polskie Towarz. nakładowe, księg. P. Połonieckiego, E. Wende i S-ka w Warszawie. 8-o, str. 282.

IBSEN HENRYK: Związek młodzieży, sztuka w 5 aktach, przetłómaczył Wł. Prokesch. Bibl. powsz. 526 — 527. Lwów-Złoczów, 1905. Nakł. i druk. W. Zuckerkandla. 8-o, str. 136.

KRASIŃSKI A. I. KS. BISKUP. Aforyzmy wierszowane. Wydał M. Krasiński. Wydanie II, z życiorysem i portretem autora. Nakł. Księg. Ludowej, K. Wojnara. 8-o, str. VIII, 104.

MICKIEWICZ ADAM: Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego. Tekst pierwotny, z autografu wydał Józef Kallenbach. Paryż, 1905. Wyd. Muzeum A. Mickiewicza. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. III, 54.

MULTATULI: Wybór pism. Przełożyła i zaopatrzyła przedmową Malwina Posner - Garfeinowa. Wyd. II. Warszawa, 1906. Nakł. Księg. Naukowej. 4-o, str. 308.

NIEMOJEWSKI ANDRZEJ: Z pod pyłu wieków. I. Sokrates, II, Aszur i Mucur. Tom II. Warszawa, 1906. Nakł. Księg. Powsz. (Książkę zdołił Jan Bukowski). 8-o, str. 160 i 2 nl. + 154 i 2 nl.

ROGOWICZ WACŁAW: Mozajka kaukaska. Impresye.—Legendy.—Kartki z podróży.—Opowiadania.—Wrażenia. Warszawa, 1905. Gebethner i Wolff. 8-o, str. 167.

STAFF LEOPOLD: Godiwa, dramat w 3 aktach. Lwów, 1906. Nakł. Księg. Polskiej B. Połonieckiego, E. Wende i Sp. w Warszawie. 8-o, str. 157.

WALEWSKA CECYLIA: Moje służby. Dziennik Mareysi, poprawiony z rękopisu przez ... Warszawa, 1906. Księg. Naukowa. 8-o, str. 138.

NAUKI SPOŁECZNE I PRAWNO POLITYCZNE.

KOMIEROWSKI ROMAN DR.: Kola Polskie w Berlinie 1875—1900. Poznań, 1905. 8-o, str. 343 i XIX.

POPIEL JAN: O stanowisku deputowanych z Królestwa Polskiego w Petersburgu. Kraków, 1906. Nakł. i druk. W. L. Anczyca i Sp. 16-o, str. 23.

SULIGOWSKI ADOLF: Instytucye ziemskie w państwie rosyjskiem. Odb. z „Przegl. polskiego.“ Kraków, 1905. Spółka wyd. polska. 8-o, str. 24.

SZUKIEWICZ WOJCIECH: Co to jest współdzielczość? Napisał ... Odb. z „Przegl. współdzielczego.“ Warszawa, 1905. 8-o, str. 51.

WIADOMOŚCI statystyczne o stosunkach krajowych, wydane przez krajowe biuro statystyczne pod redakcją dr. Tadeusza Pilata. T. XX, zeszyt II. Stosunki zawodowe i socyalne ludności Galicyi według wyznania i narodowości na podstawie spisu ludności z dnia 31 grudnia 1900 r. przedstawił dr. Józef Buzek. Lwów, 1905. 8-o, str. 51 i 31.

WRZOSEK S.: Zasady ustroju państwowego na zachodzie. Przełożył A. T. Warszawa, 1906. Skł. gł. w Księg. Powszechnej. Bibl. Społeczna № 4. 8-o, str. 63.

ZDZIARSKI BOLESŁAW: Jaki samorząd czyli autonomia jest potrzebna dla Królestwa Polskiego. Warszawa, 1905. Nakł. autora. 8-o, str. 17.

